

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



**HUBERT
HURKACZ**
Mistrz na
kozetce ► 26

FOT. SHUTTERSTOCK



**WYSOKIE
OBCASY**
Natalia Waloch
przeciwko
kompromisom



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

WOLNOŚĆ MA WOLNOŚĆ BEZ SOLIDARNOŚCI

RAPORT
WAJRAKA

**WILKU,
PRZEPRASZAMY CIĘ**

- Czy jest groźny
- Gdzie go spotkamy
- Czym podpadł Tuskowi i Unii Europejskiej ► 4

Rosjanki.
Piękne
i bestie
► 18



**Bosak na
prezydenta?**
Wielkie badanie
wyborców ► 12

FOT. SHUTTERSTOCK

**„Czułem się
jak mięso”.**
Polak
na Tinderze ► 32

**Folksdojcz
nie znaczy
kolaborant**
► 40

**Za co Litwini
podziwiali
Polaków**
► 46

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



Agnieszka
Kublik

Naprawdę nie widać 3 promili?

Piją. Ćpają. Mają zakaz prowadzenia samochodu. Ale i tak pchają się za kółko. Jadą i zabijają. Czy tylko oni są tu winni? Przecież wie rodzina. Wiedzą przyjaciele. Wiedzą znajomi.

Od ponad 10 lat policja prowadzi akcję „Nie reagujesz – akceptujesz”? Dotyczy przestępczości w naszym otoczeniu w ogóle, ale jej ważnym elementem jest hasło „zabierz kluczyki” pijanemu. Na ten pomysł policjanci wpadli, analizując wyniki z Europy Zachodniej. Tam ponad 90 proc. przestępców łapanych jest na gorącym uczynku w efekcie zgłoszeń obywatelskich. U nas trzy razy mniej. No więc chcieli wbić do głowy Polakom, że jak nie reagują – to znaczy, że akceptują. Nie udało się.

Bo taka akcja obywatelska jak w lipcu w Gilowicach, to rzadkość. Czujny obywatel zatrzymał na parkingu podejrzanego kierowcę i zabrał mu kluczyki. Słusznie zabrał. Zastopowany miał

blisko 3 promile we krwi. I nie miał prawa jazdy. Stracił je kilka lat wcześniej za jazdę po pijaku.

Kto wiedział, że stracił? Rodzina, sąsiedzi, znajomi? Kto wiedział, że mimo to siada za kierownicą?

Gdzie była rodzina, gdzie znajomi? Czemu nikt nie zabrał kluczyków pijanemu?

Na pewno ktoś. Przez lata nie udało mu się tego ukryć. A więc ktoś wiedział, że pijak bez prawa jazdy siada za kółkiem. Czyli akceptował. Czyli jest odpowiedzialny za wszystkie konsekwencje. Za śmierci na drodze.

Akurat ten z Gilowic nikogo nie ranił, nie zabił. Bo obcy człowiek wykazał się czujnością. Ale nikt kluczyków nie zabrał Łukaszowi Ż.

Warszawa, wrzesień. Volkswagen, którym kierował Łukasz Ż., z ogromną prędkością uderzył w forda, jechała nim czteroosobowa rodzina. Zginął ojciec, żona i dzieci trafiły do szpitala. Łukasz Ż. nie miał prawa jazdy. Był pijany. Nikt go nie powstrzymał, ani koledzy, ani rodzina, która wiedziała, że nie może prowadzić.

A może nie wiedziała, może wypierała? Ale czy można nie wiedzieć lub wypierać, gdy ktoś w wieku 26 lat ma tak bogatą kartotekę? Oprócz tego, że Łukasz Ż. siedział za posiadanie znacznej ilości narkotyków, za oszustwo, za groźby karalne, to w 2019 r. prowadził pod wpływem albo środków odurzających, albo alkoholu. Był kilka razy skazany za prowadzenie bez prawa jazdy. Jeden z wyroków uprawomocnił się w czerwcu.

Nikt kluczyków mu nie zabrał. Ani rodzina, ani znajomi.

Lipiec, Borzęcin pod Warszawą. W grupkę chłopców na rowach, jadących chodnikiem, uderza bmw. Ginie 12-latek, świadkowie znajdują go wiele metrów dalej. 26-letni kierowca wydychuje 3 promile. Koledze, od którego pożyczył auto, powiedział, że jest trzeźwy. Nikt kluczyków mu nie zabrał. Ani rodzina, ani znajomi.

Dlaczego nie zachowujemy się wszyscy, jak obywatel z Gilowic, gdy widzimy, że ktoś, kogo znamy, zachowuje się tak nieodpowiedzialnie? Albo i nieznajomy? Czytelniku, wyrwij z ręki pijakom i ćpunom kluczki do auta! Uratuj komuś życie, a wielu innym oszczędź cierpienia i łez. ●

Albania

Każdy może zjeść obiad z Giorgią Meloni



FOT. FLORIAN GOGA/REUTERS

W porcie Shëngjin na północy Albanii, do którego dopłynął pierwszy statek z migrantami odesłanymi z Włoch – w tamtejszych eksterytorialnych ośrodkach mają przechodzić włoskie procedury azylowe – otworzyła się restauracja ozdobiona kilkudziesięcioma portretami premierki Włoch. Oferuje dania rybne, ale media okrzyknęły ją „Trattoria Meloni”. – Ujęła mnie jej osobowość – tłumaczy właściciel, przyjaciel premiera Albanii, i dodaje: – Kiedy sztuka, kuchnia i polityka schodzą się razem, można zrobić piękne rzeczy.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

41K7F6N

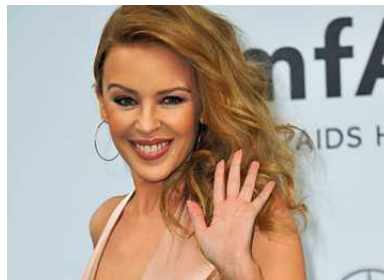
- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 19-20.10.2024 r.

Kylie Minogue 50 lat to dopiero początek

Pamiętacie tajemniczą dziewczynę, którą Nick Cave w balladzie „Where the Wild Roses Grow” pokochał na zabój? Kylie Minogue opłaciło się pomóczyć w stawie i poudawać zwłoki, bo za sprawą tego teledysku jej kariera ożyła. 27-letnia Australijka już była popularna – sukces przyniosła jej rola w operze mydlanej „Sąsiedzi”, pomogły też wczesne hity, takie jak „I Should Be So Lucky”, dziś obecne na playlistach w rodzaju „Wstydlive przyjemności z lat 80.” – ale nie była traktowana poważnie, szczególnie przez publiczność zainteresowaną alternatywą, a w ostatniej dekadzie XX wieku była to publiczność masowa. Nick Cave dał się rodaczce pokazać z innej strony, a ona wykorzystała okazję.

W nowe stulecie Kylie weszła z przytupem – album „Fever” z 2001 r. rozszedł się już w 6 milionach sztuk, a singel „Can’t Get You Out of My Head” to najpopularniejsza piosenka pierwszej dekady stulecia. Rekordy to u Kylie nie wyjątek, lecz re-



FOT. SHUTTERSTOCK

gula – jest jedyną kobietą, której płyty przez pięć dekad z rzędu trafiały na pierwsze miejsce brytyjskiej listy sprzedaży. Nie zatrzymała jej nawet walka z rakiem piersi w 2005 r., za to onkolodzy na całym świecie mówili o „efekcie Kylie” – młode kobiety, zainspirowane jej otwartymi opowieściami, chętnie zgłaszały się na badania.

Jej zeszłoroczną płytę „Tension” otwiera utwór „Padam Padam”. W obcym języku to musi znaczyć coś innego niż po polsku, bo Kylie jest niezmordowana. Koncertuje non stop i nie zamierza przestać, bo właśnie wydała kolejny album, już siedemnasty, „Tension II”, równie roztańczony jak poprzedni. ● **Jarek Szubrycht**

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

*Najlepszy sposób,
by zapewnić
bezpieczeństwo
personelowi ONZ, to
posłuchać apelu Izraela
i czasowo usunąć się
z niebezpiecznych
terenów*



BENJAMIN NETANJAHU

po tym, jak w atakach na Hezbollah w Libanie zostali ranni żołnierze Błękitnych Hełmów

Małgosia Łozińska

nie żyje. . .

Nasza ukochana, jedyna, odeszła 25 września 2024 roku.
Była tłumaczem i psychologiem.
Miała barwne i satysfakcjonujące życie.

Żegnaj Promyczku!

Osamotnieni rodzice

Teresa i Roman Łozińscy

Małgosia spoczywa na Cmentarzu Parafialnym Św. Klemensa w Nadarzynie.

Dom Pogrzebowy „Służew”
przepraszają rodzinę i czytelników
za błędne informacje umieszczone w poprzednich nekrologach.

www.nekrologi.wyborcza.pl/34342426

Prawdy, półprawdy i kłamstwa. Analizujemy orędzie

Prezydent rządowi ręki nie poda

Rozliczanie złodziejstwa ludzi PiS to „polowanie na czarownice”, Bodnar skrzywdzi neosędziów, a „dobrej woli rządu nie było i dalej jej nie ma”. Co powiedział Duda wprost, co między wierszami i co z tego wynika

Wielowiejska



W środę, przy okazji rocznicy wyborów 15 października, doszło do wymiany poglądów między Andrzejem Dudą a Donaldem Tuskiem. Prezydent postanowił wykorzystać instytucję orędzia do zaatakowania rządu.

Konstytucja przewiduje, że wokół orędzia nie przeprowadza się w parlamencie debaty, więc dla głowy państwa to dobra okazja, aby zaprezentować swój punkt widzenia bez potrzeby słuchania, co do powiedzenia ma druga strona. Dlatego Duda wygłosił mowę w Sejmie i natychmiast opuścił Wiejską. Marszałek Hołownia po przemówieniu prezydenta ogłosił krótką przerwę, po której wystąpił premier. Wtedy klub PiS opuścił salę, argumentując, że Tusk złamał konstytucję.

To bzdurna interpretacja. Konstytucja mówi o braku „debaty” a debata oznacza, że wszystkie kluby zapisują się do głosu i oceniają prezydenta. Szef rządu wystąpił, bo ma prawo zabrać głos w dowolnym momencie. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

PiS to oprotestował, bo plan był taki, aby słowa Dudy wybrzmiały bez odpowiedzi. Komiczne, że Jarosław Kaczyński teraz podnosi takie larum. Przecież w poprzedniej kadencji wchodził na mównicę „bez żadnego trybu”, bo miał podporządkowane władze Sejmu.

Przemówienie Dudy było sprawnie skonstruowane i mogło się podobać wielu nie tylko pisowskim krytykom rządu, bo sprawiało wrażenie obiektywizmu. Prezydent w niektórych punktach chwalił rządzących. W sposób przemyślany wybrał priorytety. Zaczął od bezpieczeństwa i podkreślał, że tu współpraca z rządem jest dobra. Chwalił Władysława Kosiniaka-Kamysza za kontynuowanie zakupów dla armii.

Istotne jest to, że tylko Kosiniak zasłużył na pochwałę. Duda i jego otoczenie realizuje plan ogłoszony niegdyś w Klubie Ronina przez Marcina Wolskiego, a który zawiera się w słowach: „Cmokajmy w pupcię Trzecią Droę”. Część PiS widzi potencjalnego koalicjanta w PSL. Choć dopiero w czasach, gdy Kaczyński nie będzie już rządził – ów na ostatnim kongresie wyraźnie powiedział, że nie ma co szukać sojuszników w gronie rządzących, trzeba stawiać na obóz „niepodległościowy”.

Kaczyński obłaskawianie PSL uważa za błąd, bo to osłabia krytykę obecnego rządu. A za jego kadencji do sojuszu nie dojdzie także dlatego, że ludowcy mają świadomość, że prezes jest politycznym drapieżnikiem i koalicjantów niszczy. Tak było z LPR, Samoobroną i Porozumieniem Gowina.

W przemówieniu pojawił się wątek prawa do azylu. Na niedawnej konwencji KO premier zapowiedział „czasowe, terytorialne zawieszenie prawa do azy-

lu”. Wywołał burzę, ale osiągnął w polityce ważny efekt: zdominował agendę. Wszyscy mówili tylko o tym, a kongres PiS nikogo już nie interesował.

Tusk dobrze wyczuł nastroje, bo opinia publiczna w większości jest za szczelnością granic. Społeczeństwo chce, by dać mocny odpór akcji Łukaszenki, który sieje zamęt, zwożąc autobusami przybyszów spoza Europy, by nielegalnie przekraczali granicę. Instytut Badań Pollster na zlecenie TVP sprawdził, co o wypowiedzi Tuska sądzą Polacy. Premiera poparło 54 proc. ankietowanych. Przeciwno było 17 proc.

Strategia Tuska opierała się na kalkulacji: najpierw mocne uderzenie, aby odebrać tlen PiS i Konfederacji, a potem precyzyjne wyjaśnienie. Polska nie będzie odbierać prawa do azylu. Lecz wprowadzi zasadę, że w pasie przy granicy białoruskiej, zaraz po nielegalnym przedostaniu się na nasze terytorium, nie będzie można składać wniosków o azyl. W warunkach wojny hybrydowej z Łukaszenką, którego wspierają rosyjskie służby, wpuszczanie wszystkich chętnych do Polski wiąże się z ryzykiem, bo nikt nie wie, kogo wysłać nam białoruski reżim. A kwestie humanitarne można rozwiązać łatwo – wystarczy, by rząd zadekretował, że wszyscy migranci w Białorusi mogą składać wnioski o azyl online. To otworzy furtkę dla tych, którzy faktycznie potrzebują ochrony międzynarodowej.

– Zapowiedź premiera z ostatnich dni nie posłuży uszczelnieniu granicy. Za to uniemożliwi przedstawicielom białoruskiej opozycji schronienie w Polsce – stwierdził prezydent. Ale to nieprawda. Polska będzie przyjmować dyzydentów z Białorusi. A prześladowani Białorusini nie przyjeżdżają autobusami Łukaszenki na granicę.

Duda popełnia błąd, bo rozmija się z emocjami Polaków, w szczególności elektoratu PiS. Natomiast ma rację, przypominając, że za rządów PiS duża część zaplecza KO atakowała Straż Graniczną. Jednak sam Tusk zawsze stał stanowisko, że szczelność granicy jest kluczowa. Gdy wrócił do polskiej polityki, pierwsze, co zrobił, to publicznie zdyscyplinował działaczy KO za ich akcje w rodzaju biegania z reklamówką przy granicy.

Prezydent także w tym wątku realizował strategię „cmokania”, bo pochwalił PSL za to, że klub ludowców głosił za budową muru na granicy.

Dalej prezydent poruszył temat wielkich inwestycji, załamywał ręce, że nie są realizowane. Tymczasem rząd Tuska z tych inwestycji się nie wycofał. Buduje CPK, projekt elektrowni atomowej też jest kontynuowany.

Tusk odpowiadał: „Gdzie są te wielkie pomniki infrastrukturalne i energetyczne po 10 latach kadencji Andrzeja Dudy i 8 latach rządów PiS?”. Politycy PiS robili dużo szumu wokół tych inwestycji, wydając mnóstwo publicznych pieniędzy na ich promowanie, czyli samych siebie. Ta ekipa tego nie robi. Lecz za tempo tych inwestycji rząd Tuska będzie surowo rozliczany.

W Sejmie Duda wypowiedział się też na temat sporu o ambasadorów. Pałac Pre-

zydencki nie chce ich powołać, bo uważa, że rząd nie bierze pod uwagę prezydenckich sugestii. W efekcie na placówki jadą dyplomaci w randze charge d'affaires.

– Ze strony rządu w wielu ważnych polskich sprawach dobrej woli nie było i nie ma. Pokazuje to sytuacja związana z ambasadorami Rzeczypospolitej, których nagle wezwano do Warszawy. Dlatego to rząd ponosi pełną odpowiedzialność za to, że Polska ma dzisiaj w wielu krajach obniżoną reprezentację dyplomatyczną – stwierdził prezydent. Dodatkowo skrytykował Konferencję Ambasadorów RP, organizację dyplomatów bardzo krytyczną wobec rządów PiS. I zarzucił niektórym przyszłym ambasadorom, że kształcili się w moskiewskich uczelniach.

Duda i jego otoczenie realizują plan ogłoszony w Klubie Ronina przez Marcina Wolskiego, który zawiera się w słowach: Cmokajmy w pupcię Trzecią Droę

Tyle że to Duda jest współodpowiedzialny za konflikt, bo nie przyjął żadnego wniosku szefa MSZ Radosława Sikorskiego. Nawet o obsadzenie tych krajów, w których od dawna ambasadora nie było, bo PiS nikogo tam nie wysłał. Prezydent nie mianował też tych dyplomatów, którzy nie mają nic wspólnego z Konferencją Ambasadorów. Zastosował odpowiedzialność zbiorową, ignorując fakt, że to rząd prowadzi politykę zagraniczną. Co więcej, szef BBN Jacek Siewiera, bardziej nastawiony na współpracę z rządem, miał namawiać prezydenta do zaakceptowania niektórych kandydatów, np. na ambasadora Izraela. M.in. ta ważna placówka nie była przez dłuższy czas obsadzona. Ale Duda na te porady pozostał głuchy.

Natomiast rząd trzyma się ustaleń z prezydentem i w ramach dobrej woli nie odwołał ambasadorów kojarzonych z Pałacem: funkcje nadal pełnią ambasador przy ONZ Krzysztof Szczerski, ambasador w Pekinie Jakub Kumoch, ambasador w Watykanie Adam Kwiatkowski, ambasador w Bukareszcie Paweł Soloch. Jest też sporo kluczowych placówek, w których rządzą ambasadorowie powołani za czasów PiS. Jeśli chodzi o USA, urzędujący tam do niedawna Marek Magierowski dostał propozycję pracy dyplomatycznej w innych krajach, ale nie skorzystał, zapewne dlatego, że rozważa karierę polityczną. Takich ambasadorów, jak on, którzy rozwiązyali stosunek pracy z MSZ, jest więcej. Trudno więc uznać postawę Sikorskiego za konfrontacyjną.

Kolejna pretensja do rządu: prezydent uznał, że mamy do czynienia z „polowaniem na czarownice”, bo prokuratura rozlicza patologie za czasów PiS. Duda świadomie użył ogólnego sformułowania, by nie brać odpowiedzialności za przypadki złodziejstwa, a zyskać poklask posłów PiS i twardego elektoratu.

Tymczasem można przypomnieć prezydentowi, że np. w sprawie afery Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, która dotyczy otoczenia Morawieckiego, prokuratura opiera się m.in. na materiałach zebranych przez CBA za czasów „Robespierre’a prawicy” Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Których zasługi prezydent tak docenia, że najpierw ukrył ich w pałacu, a potem ścisnął się z nimi, gdy wyszli z aresztu.

Oczywiście prezydent nie byłby sobą, gdyby nie wspomniął o konflikcie wokół wymiaru sprawiedliwości, ale tu zwyczajnie minął się z prawdą. Oświadczył, że będzie bronił neosędziów, którzy są „stygmatyzowani”. – Te działania są tym bardziej nikczemne, gdy uświadamimy sobie, że na ich czele stoją często prominentni i powszechnie znani przedstawiciele środowiska prawniczego odpowiedzialni za to, że po upadku komunizmu w Polsce nie dokonano rozliczenia komunistycznych sędziów i pozostawiono sędziów splamionych przynależnością do PZPR i odpowiedzialnych za wyroki przeciw członkom antykomunistycznej opozycji. Dziś ci sami ludzie chcą weryfikować młodych sędziów i zmuszać ich do wyrażania czynnego żalu – stwierdził.

Ani minister sprawiedliwości Adam Bodnar, ani sędziowie z Iustitii nie są odpowiedzialni za brak rozliczeń sędziów po PRL. Bo są za młodzi.

A młodym sędziom kręgosłupów zaś nikt nie będzie łamał, bo Bodnar zapowiedział, że wszyscy, którzy weszli do zawodu zaraz po asesurze, będą nadal sędziami bez żadnych dodatkowych warunków. Problem jest z awansami sędziowskimi, co często, aby zająć wyżę, zwykli koniunkturaliści wysługiwalili się władzy PiS.

Niemniej z instytucji czynnego żalu Bodnar się wycofał. Kluczowe jest to, aby powołana zgodnie z prawem Krajowa Rada Sądownictwa zweryfikowała te awanse. Ważne jest też usunięcie z zawodu osób, które się sprzeniewierzyły zasadzie niezawisłości. Bodnar, który dostał w rządzie najtrudniejszą działkę, przygotowuje projekt uporządkowania chaosu w wymiarze sprawiedliwości z pomocą Komisji Weneckiej, organu Rady Europy. Chce przeprowadzić tę operację zgodnie z zasadami praworządności, a nie w logice odwetu. A KW postuluje, aby nie stosować odpowiedzialności zbiorowej, i by każdy neosędzia miał prawo odwołać się do sądu, jeśli jego awans będzie cofnięty.

No i przecież Bodnar przedstawił prezydentowi kompromisową wersję ustawy o nowym sposobie powoływania KRS, ale Duda to odrzucił. Trzeba więc szykować projekty i czekać na zmianę w Pałacu Prezydenckim.

Przemawiając w rocznicę wyborów, prezydent zignorował fundamentalny fakt, że rok temu zdecydowana większość Polaków opowiedziała się za odsunięciem PiS od władzy, bowiem skłania patologii przekroczyła granice wytrzymałości społeczeństwa. Lecz prezydent, mimo wszystkich ansów z Kaczyńskim i poczucia, że był traktowany instrumentalnie, jest wciąż ważnym politykiem obozu PiS. I to determinuje jego wszystkie działania.

Dominika Wielowiejska

ZNALEZIONO

tylko obrozę

Spotkanie z TIR-em, panika w lokalnym portalu, urwana łapa, kłusownicy na tropie. Ale też rozbrykane dzieciństwo i wielka monogamiczna miłość. Raport o polskich wilkach

Robert Jurszo

Dla większości z nas wilki to byty wirtualne. No bo ilu i ile z nas widziało je na żywo? Zwykle oglądamy je w mediach, i to najczęściej jako truchła – skłusowane przez myśliwego lub zabite przez samochód. Rzadziej żywe, na przykład uratowane po wypadku przez jakiś ośrodek rehabilitacji dzikich zwierząt. Albo jedynie o nich słyszymy, kiedy, na przykład, w jakiejś wsi zaczynają ginąć trzymane na łańcuchach psy, które wilkom zdarza się traktować jako przekąskę bądź konkurentów do usunięcia. To sprawia, że mamy bardzo fragmentaryczny obraz życia wilków. Sprzyja to sentymentalizacji tych zwierząt, rzutowaniu na nie ludzkich wyobrażeń moralnych, wręcz idealizacji. Albo przeciwnie – demonizacji, tworzeniu iluzji krwiożerczej bestii nastającej również na ludzkie życie. Oba obrazy są fałszywe, każdy szkodliwy – dla nas i dla wilków.

Jestem dziennikarzem od przyrody, miałem szczęście poznać kilka wilczych biografii. Każda z konieczności była niekompletna z powodów, o których napisałem wyżej. Są jednak cegiełkami, z których można spróbować stworzyć opowieść o tym, jak wygląda wilcze życie – od narodzin do zgonu – by zobaczyć je bardziej kompletne. Spróbujmy.

ŚLEPY ODKRYWCA Z PUSZCZY

Naszego wilka nazwijmy Siwym. Na świat przychodzi w północnej części dawnej Gollnower Heide, znanej od 1945 r. pod nazwą Puszczy Goleniowskiej na Pomorzu Zachodnim. Matka szczeni się w starej borsuczej norze, którą wcześniej poszerzyła i pogłębiła. Wilki potrafią kopać schronienia również samodzielnie, ale ta znaleziona była tak wygodna, że szkoda było z niej nie skorzystać.

Siwy przychodzi na świat jako ślepa i głucha futrzana kulka. Miną dwa albo i trzy tygodnie, zanim zyska pełnię zmysłów. Jednak nawet niewidomy i niedosłyszający pod czujnym okiem matki zaczyna – wspólnie z czwórką rodzeństwa – nieporadnie wyczolgiwać się z nory, by poznawać świat. Węch, najważniejszy dla wszystkich psowatych zmysł, ma już w pełni sprawny.

Przez pierwsze tygodnie matka jest ciągle przy Siwym i jego rodzeństwie. Karmi wilczki mlekiem, czule wylizuje lub asystuje przy pierwszych nieporadnych eksploracjach. Ojciec w tym czasie ostro się uwija, by karmić samice, zresztą młodzież niedługo też przestawi się już na pokarm stały. W polowaniach pomaga mu trójka rocznych dzieci z poprzedniego roku. Choć tylko on jest dopuszczany do wnętrza ciasnej nory, to i tak najczęściej staje przed wejściem, żałośnie popiskując, by dać partnerce znać, że doniósł kolejną porcję dziczyzny.

BRAT ZDERZYŁ SIĘ Z SAMOCHODEM

Mija kilka miesięcy. Jesienią Siwy jest już całkiem wyrośnięty, choć nie osiągnął jeszcze dorosłych rozmiarów. Jest już jednak wystarczająco duży i sprawny, by wspólnie z rodzicami i rodzeństwem patrolować terytorium łowieckie swojej grupy rodzinnej.



FOT. SHUTTERSTOCK

Podczas jednego z październikowych wieczorów dochodzi do tragedii. Rodzice prowadzą podrostki do resztek upolowanego dzień wcześniej jelenia. Muszą przekroczyć biegnącą pod Kamieniem Pomorskim drogę między Rekowem a Dobropolem. Grupa zna dobrze teren, w końcu tu poluje, więc przebiegnięcie jezdni nie stanowi problemu. Jest jednak ciemno, a do tego ruch jest niespotykane intensywne.

Ostatni z przebiegających wilków źle odmierza moment skoku. Impet zderzenia z samochodem osobowym sprawia, że wilk wpada do przydrożnego rowu. Siła uderzenia jest tak duża, że główki kości udowych po prostu wylatują ze stawów biodrowych. Młody wilk bardzo cierpi, a z takimi obrażeniami jest skazany na powolną śmierć. Tak się jednak nie stanie.

Siwy nigdy się nie dowie, że jego brat stanie się znany, wręcz sławny, jako Kamyk, trójnogi wilk z Międzyzdrojów. Przeleży kilka dni na poboczu, ale przypadkiem uratują go ludzie. W Szczecinie zoperuje go znany weterynarz Leonard Gugała i już dzień później wilk stanie na nogi.

Ta historia ma tylko częściowy happy end: okaże się, że Kamyk ma sparaliżowaną po wypadku przednią łapę i trzeba będzie mu ją uciąć, bo i tak już zaczął sobie ją odgryzać. Sukces zamieni się w porażkę, bo wilka w takim stanie nie można zwrócić przyrodzie.

Kolejny rok Kamyk spędzi w ciemnej ceglanej komórce, by w końcu trafić do woliery Wolińskiego Parku Narodowego. Kilka miesięcy później ucieknie przez podkop – wykopany jedną tylko łapą! – pod ogrodzeniem. Kolejne pół roku minie mu „na gigantcie”; za dnia zręcznie unika strażników parkowych, wieczorami jest dokarmiany przez turystów, a nocami buszuje po śmietnikach. Ranki spędza na wylegiwaniu się na promenadzie w Międzyzdrojach. Przypuszczalnie to najszcześniejszy okres w jego życiu.

Ale szczęście nie trwa wiecznie – w końcu go złapią i zamkną. Dokooptują mu partnerkę, wilczycę Freję. A nowy wybieg będzie miał solidną wylewkę, by już nigdy nie się nie podkopał. Lecz tamtego październikowego wieczora Siwy widzi Kamyka po raz ostatni w życiu.

RODZICE POWARKUJĄ, ODGANIAJĄ OD POSILKÓW

Zimą Szary uczy się od rodziców polować. Wilcza szkoła jest praktyczna – młody wilk po prostu ściga zdobycz razem z nimi i rodzeństwem, a potem wspólnie uczują. Jest prawie gotowy, by zacząć żyć na własną łapę.

Minęło już dziesięć miesięcy od narodzin, jest luty i rodzice zaczynają się mieć ku sobie. To czas wilczej miłości, a jej owoc pojawia się dwa miesiące później, wiosną. Roczny Siwy robi więc to, co wcześniej robiło jego starsze rodzeństwo: pomaga przy maluchach. Kiedy trzeba – bawi się z nimi, innym razem – przypilnuje.

Z czasem Siwy zaczyna zauważać, że rodzice już mniej chętnie dzielą się z nim mięsem upolowanych zwierząt, powarkują, gdy próbuje się poczęstować. Teraz priorytetem są tegoroczne młode, które rosną jak na drożdżach. Pewnego jesiennego dnia po prostu odchodzi, być może nawet nie oglądając się za siebie, choć nie wiemy, jakie uczucia w tym momencie nim targają. Pewne jest tylko to, że już nigdy nie zobaczy ani swoich braci i siostr, ani ojca i matki.

Ma półtora roku i właśnie wyrusza w najdłuższą i najważniejszą podróż swojego życia.

CÓRKA WPROWADZA SIĘ DO RODZICÓW

Naukowcy od wilków nazywają ten czas dyspersją. Europejski rekordzista, samiec oznaczony numerem GW1909m, zaczął wędrówkę w Dolnej Saksonii, w okolicach miasta Nordhorn, gdzie przyjechał na świat, a zakończył w katalońskiej gminie Vilaller w Pirenejach. Szedł kilka miesięcy i przebył w tym czasie najdłuższą dotąd znaną wilczą trasę – 1240 km.

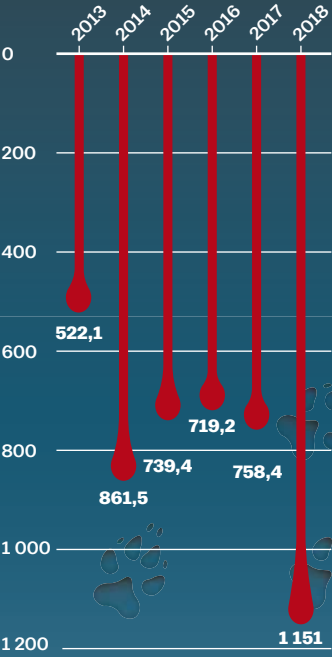
Młody wilk wędruje, dopóki nie znajdzie partnera bądź partnerki i wolnego, niezajętego przez inne wilki obszaru, na którym stworzy własną rodzinę. Badacze do tej pory nie dowiedzieli się, dlaczego

Wilcza natura

Odszkodowania wypłacone w Polsce za szkody wyrządzone przez wilki

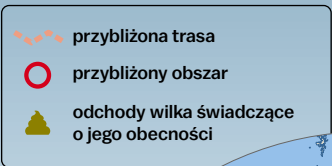
Dane w tys. zł

Kwota z 2018 r. stanowi 4,5 proc. rekompensaty za szkody spowodowane przez wszystkie chronione gatunki



ŹRÓDŁO: GDOŚ, GUS, STOWARZYSZENIE DLA NATURY „WILK”

Dyspersja wilka o numerze GW1909m



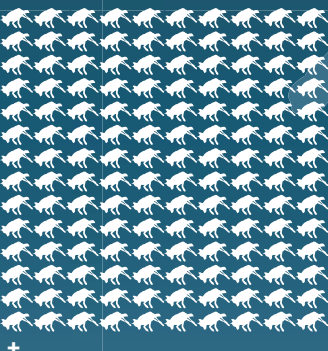
ŹRÓDŁO: LE NOUVELLISTE



• Nie ma potwierdzenia, że pełnia Księżyca prowokuje wilki do wycia. Jego najważniejszą funkcją jest komunikacja między członkami grupy rodzinnej

140

• Co najmniej tyle wilków jest nielegalnie zabijanych rocznie w Polsce, choć jest to gatunek ściśle chroniony

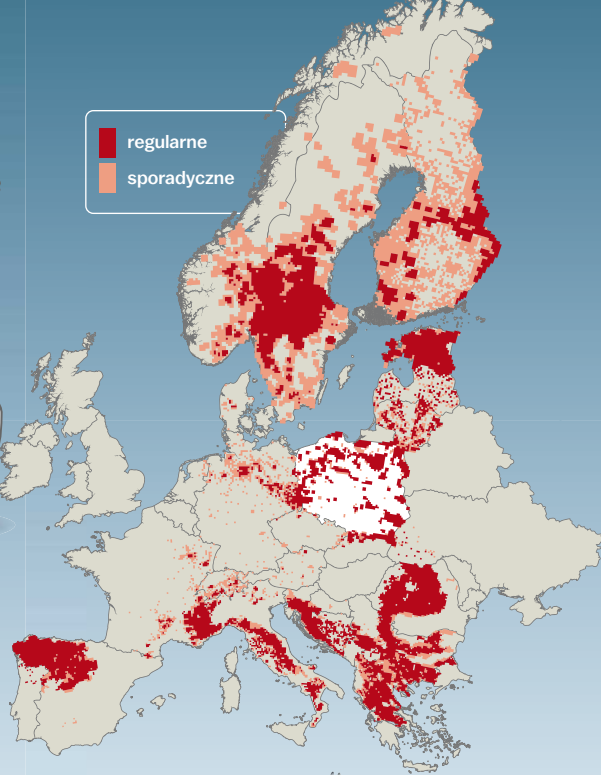
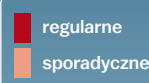


0

• Liczba ludzi zabitych przez wolno żyjące wilki w Europie, zarówno dzieci jak i dorosłych, wynosi równe zero

ŹRÓDŁO: STOWARZYSZENIE DLA NATURY „WILK”, UNIwersYTET WARSZAWSKI I ROZTOCZAŃSKI PARKU NARODOWEGO, „BIOLOGICAL CONSERVATION”

Występowanie wilka w Europie w latach 2012–2016



ŹRÓDŁO: DRYAD.ORG

2-3 TYGODNIE

• Wilki rodzą się ślepe i głuche. Dopiero po 2–3 tygodniach osiągają pełnię zmysłów



„Szok. Wilki zaatakowały w samym Szczecinku!” – alarmuje lokalny portal. W tle zamazane zdjęcie częściowo zjedzonej łani. „W samym Szczecinku” to skraj miasta, tory kolejowe stacji Szczecinek Chyże, tuż obok otwartych łąk i jeziora. Ale lokalna społeczność jest nastraszona

go wilki, podejmując dyspersję, obierają taki, a nie inny kierunek.

Udało się za to zaobserwować ciekawe prawidłowości. Na przykład taką, że im wilk szybciej opuszcza swoją rodzinę, tym dłuższą wędrówkę podejmuje. Warto wspomnieć, że najmłodszy znany wilk, który podjął dyspersję, miał zaledwie 9 miesięcy. To zaskakujące również dlatego, że w tym wieku nie osiągnął jeszcze dojrzałości płciowej, którą wilki osiągnają dopiero po pierwszym roku życia.

Czasem jest tak, że wędrówka ma zaskakujący przebieg, ponieważ... kończy się powrotem. Znanne są przypadki wilków, które wyruszyły w liczącą setki kilometrów podróż, po czym wróciły i zajęły obszary sąsiadujące z terenem łowieckim rodziców. A jeszcze bardziej zaskakujący jest przypadek pewnej wilczycy z Puszczy Białowieskiej, która nie tylko razem z partnerem osiedliła się po sąsiedzku, ale nawet wykroiła fragment obszaru swoich rodziców. I nie wiązało się to z żadnym konfliktem.

SKĄD WILK W CENTRUM ŁODZI

A jak jest z Siwym? Rusza na południe, idzie przez Puszcę Goleniowską, pewnego ranka jest widziany na opłotkach Goleniowa. Lokalny portal pisze o tym artykuł, w którym ekspertem jest myśliwy. – Wilki robią się zbyt śmiałe, to wynik tego, że nie reguluje się ich populacji, więc przestały bać się ludzi – przekonuje.

To bzdury wyssana z palca. Dzięki badaniom z wykorzystaniem obroży telemetrycznych, które umożliwiają śledzenie wilczych wędrówek, wiemy, że te drapieżniki nieustannie zbliżają się do ludzkich zabudowań, czasem nawet pojawiają się w granicach miast. W marcu 2015 r. widziano wilka w centrum Łodzi! Zwykle dzieje się to właśnie podczas dyspersji, a do ludzkich osiedli wkraczają często przypadkiem, ponieważ podczas migracji nierazko idą wzdłuż brzegów rzek, właśnie tam zaś buduje się *homo sapiens*. A zauważamy je rzadko, bo typową porą wilczej aktywności jest noc, nie dzień.

Jak wędruje Siwy? Na wysokości Szczecina skręca na wschód, kierując się w stronę Ińskiego, a następnie Drawskiego Parku Krajobrazowego. To właśnie tam spotyka partnerkę, z którą spędzi resztę życia.

PIERWSZA RANDKA

Dotąd Siwy, jak tylko mógł, unikał innych wilków, bo nie tolerują one na swoim terenie obcych. Spotkanie z pobratymcami mogłoby się dla niego źle skończyć, nawet śmiercią. W rejonie Ińskiego Parku Narodowego natyka się na samotną młodą samicę, która najprawdopodobniej również jest na swoim tripie życia. Możemy sobie wyobrazić, jak wygląda pierwsze spotkanie.

Zapewne obydwu wilki są podenerwowane. Delikatnie kołyszają ogonami, sygnalizując napięcie. Początkowo unikają swoich spojrzeń, jakby udając, że siebie nie widzą, nerwowo się przy tym oblizując.

W końcu ktoś wykonuje ruch, który w języku ciała wszystkich psowatych jest uniwersalnym gestem zaproszenia do zabawy: wygina ciało w łuk, kładąc się na przednich łapach i jednocześnie wypinając zadek do góry. Zaproszeniu odpowiada merdanie ogonem po drugiej stronie – zostaje przyjęte.

Od tej chwili wilki wędrują już razem. W końcu docierają w okolice Szczecinka. Wiosną na świat przychodzi ich potomstwo.

TEREN ŁOWIECKI PRZY TORACH

Pierwszy rok życia młodych mija szczęśliwie, wszystkie przeżywają. Zimą są w stanie polować już z rodzicami. W lokalnej prasie ukazuje się artykuł „Szok. Wilki zaatakowały w samym Szczecinku!” zilustrowany groźnie zerkającym na czytelnika wilkiem. W tle zamazane zdjęcie częściowo zjedzonej łani.

„W samym Szczecinku” to w rzeczywistości okolice leżącej na północnym skraju miasta stacji Szczecinek-Chyże, która sąsiaduje z otwartymi terenami łąkowymi przylegającymi do jeziora Wielimie. To teren łowiecki rodziny Siwego, która zagoniła łanię w kierunku torów i zabudowań. Próba zapędzenia ofiary na przeszkodę czy w młodnik, gdzie będzie miała ograniczoną możliwość ucieczki, to typowa metoda wilczego polowania. Nie ma to nic wspólnego z zagrożeniem dla ludzi. Ale lokalna społeczność została nastraszona, a artykuł jest najpopularniejszy na portalu tutejszej gazety.

MOŻE TO BYŁ PIES, ALE LUDZIE SIĘ BOJĄ

Wielu mieszkańców zdążyło się już do wilków uprzedzić wcześniej. Kilka lat temu zginęło sześć danieli z hodowli pod miastem. Zwierzęta były za ogrodzeniem, ale bez podmurówki, więc łatwo było się pod nim podkopać. W okolicy widywano włóczące się dziczale psy, jednak oskarżono wilki, choć wysłany na miejsce urzędnik nie był w stanie jednoznacznie stwierdzić, kto zagryzł. Nie pobrano też – w Polsce się tego nie praktykuje – próbek śliny z okolic ran, które pozwoliłoby rozstrzygnąć problem w laboratorium.

Hodowca dostał odszkodowanie, ale widok sześciu zwierząt z poprzegryzanymi gardłami i ranami szarpanymi nim wstrząsnął. Lokalnym mediom opowiadał, że boi się, że „krwiożercze bestie” dobiorą się do ludzi.

Nic takiego się nie stało, ale strach został rozbudzony. Irracjonalny, bo z wiedzy naukowej o mechanizmie takich „masakr” wynika, że ludziom nic stać się nie mogło.

Polowanie – czy to psa, czy wilka, czy lisa w kurniku – jest czynnością w dużym stopniu odruchową, którą wyzwalają określone bodźce, np. ucieczka ofiary. Tu ofiary były skupione na niewielkiej, ogrodzonej przestrzeni, więc pies/wilk zadowoliliby się i najadł jedną ofiarą, ale kolejna, próbująca salwować się ucieczką, aktywowała reakcję pościgu.

WPAŁ POD TIR-A. POLICJA SPROWADZA MYŚLIWEGO

W styczniu kolejnego roku szczęście odwraca się od Siwego. Późnym wieczorem, podobnie jak jego brat dwa lata wcześniej, podczas przebiegania przez drogę ekspresową SII wpada pod samochód. I to nie jakiś osobowy, ale pod TIR-a. Te wielkie pojazdy są szczególnie niebezpieczne dla wilków, ponieważ ich długość prawdopodobnie dezorientuje zwierzęta – przepuściwszy ciągnik siodłowy, czyli samą ciężarówkę, wskakują pod koła naczepy.

Jednak Siwy ma szczęście – i to podwójne. Najpierw wezwana policja sprowadza myśliwego, który chce od razu wilka dostrzelić. Sprzeciwia się temu przypadkowy kierowca, który zatrzymał samochód, zainteresowany wypadkiem. Okazuje się, że ma znajomego w ośrodku rehabilitacji dzikich zwierząt.

W ciągu kilku godzin Siwy trafia do lecznicy. Na szczęście jest tylko potłuczony i ma zwichniętą łapę. – To cud – mówi weterynarz, przypominając, że wilk miał kolizję z TIR-em. Opowiada, że kiedyś już widział wilczą ofiarę takiego wypadku – tamtej samicy urwało tylne łapy. Miała dość siły i woli życia, by przez kilka godzin czołgać się przez las. Trzeba było ją uśpić.

Od lekarza Siwy jedzie bezpośrednio do ośrodka rehabilitacji dzikich zwierząt. Spędza tam miesiąc. Po okresie obserwacji w specjalnej zagrodzie zapada decyzja: wypuszczamy.

CIAŁA NIE ODNALEZIONO, OBOK AMBONY MYŚLIWSKIE

Siwy wraca na wolność mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie doszło do wypadku. Bez trudu znajduje rodzinę, wspólnej radości nie ma końca.

Tuż przed wypuszczeniem wilkowi założono na szyję obrożę telemetryczną. To standardowa procedura, która pozwala na śledzenie dalszych losów zwierzęcia. Również tego, jak radzi sobie po wypadku. Przez kolejne miesiące odczyty wskazują na to, że Siwy przemieszcza się regularnie w granicach rewiru łowieckiego swojej grupy rodzinnej. Jednak w pewnym momencie odczyty pochodzą tylko z jednego miejsca.

Zaniepokojeni biolodzy monitorujący Siwego jadą w teren. Spodziewają się najgorszego, jednak na miejscu nie ma wilka. Znajdują jedynie płytko zakopaną obrożę. Wiedzą, że zdjąć wilkowi można ją tylko w jeden sposób – ucinając mu głowę.

Wszystko jest więc jasne, Siwy nie żyje. Jeden z ostatnich odczytów pochodzi z polany obstawionej przez ambony myśliwskie, co sugeruje badaczom prawdopodobną przyczynę śmierci. Ciało Siwego nigdy nie zostaje znalezione.

Według szacunków opublikowanych w 2023 r. w czasopiśmie naukowym „Biological Conservation” rocznie w Polsce może ginąć z rąk myśliwych-kłusowników nawet 140 wilków.

„WILKI ZBLIŻAJĄ SIĘ DO LUDZI”. MYŚLIWI ZMYŚLAJĄ, DZIENNIKARZE POWTARZAJĄ

Czytelnikowi niezaznajomionemu z tematem ta historia w swojej brutalności może się wydawać nieprawdopodobna, ale kluczowe fakty, z których utkałem życie Siwego, zaczerpnąłem z rzeczywistości, jedynie fabularyzowane przestrzenie między nimi uzupełniałem wyobraźnią.

I tak historia Kamyka jest w całości prawdziwa. Nie zmyśliłem też artykułu ze Szczecinka, choć zmieniłem nazwę medium. Za to zmyśliłem artykuł z Goleniowa, ale teza o tym, że „wilki niebezpiecznie zbliżają się do ludzi, bo jest ich tak dużo”, w łowieckim środowisku jest powszechna, a stamtąd regularnie przenika do portali i gazet, nie tylko lokalnych.

Opowieść o czołgającej się godzinami przez las samicy bez nóg usłyszałem kilka lat temu od prof. Sabiny Pierużek-Nowak ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”, która profesjonalnie ratuje i bada te zwierzęta.

Historia wypadku i potwornej śmierci Siwego jest zaś oparta na smutnych dziejach wilka Miko. Najpierw go uratowano po potrąceniu przez auto – tak, przybyły na miejsce myśliwy chciał go dobić, „by się nie męczył” – a potem ktoś go zabił i uciął mu głowę, by zdjąć obrożę i ukryć prawdziwe miejsce jego śmierci. Ciało również nie znaleziono. Różnica jest jedynie taka, że Miko wciąż był w trakcie dyspersji, nie zdążył założyć rodziny.

Jak widać – rzeczywistość wyprzedza fikcję. I właśnie to w tym wszystkim jest najbardziej przerażające. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

KIM JEST DZIŚ CZERWONY KAPTUREK

Wilki są wyjątkowo łatwym celem dla wszelkiej maści populistów.

Adam Wajrak

Iu nie chodzi o wilki, albo nie tylko o wilki. Chodzi o to, czy poradzimy sobie z ekologiczną katastrofą i na jakich podstawach będzie oparta Unia Europejska. Donald Tusk przyłożył się osobiście do uruchomienia bardzo niebezpiecznego procesu, który dotknie nie tylko ochrony przyrody w naszej wspólnocie.

Rankiem 23 września w gmachu Ministerstwa Klimatu i Środowiska przy ulicy Wawelskiej w Warszawie wybuchła panika. Wywołał ją telefon kogoś „od samego kierownika”. Nie wiem, kto to był, ale kierownik to Donald Tusk. Tak nazywają premiera politycy i polityczki koalicji rządzącej.

Ten ktoś „od kierownika” zakomunikował tylko, że polski przedstawiciel w Unii Europejskiej zgłasza za zmniejszeniem ochrony wilka w Europie. Panika w resorcie była zrozumiała. Dotychczasowe ustalenia mówiły o neutralnym stanowisku naszego kraju w tej sprawie.

Jak to wytłumaczyć wyborcom, bo oczywiście przytłaczająca większość nie tylko wyborców koalicji, ale w ogóle Polaków jest za ochroną wilków. Znow będzie jak przy prawie o odbudowie przyrody. Oto rząd wyłoniony przez Koalicję 15 października, która obiecywała zmianę w podejściu do środowiska, głosi na forum unijnym przeciw temu ważnemu rozporządzeniu.

Decyzję podejmuje wraz ze swoimi politycznymi przyjaciółmi w Europie Donald Tusk, a tłumaczyć musi się Paulina Henning Kłoska albo ktoś inny z kierownictwa resortu.

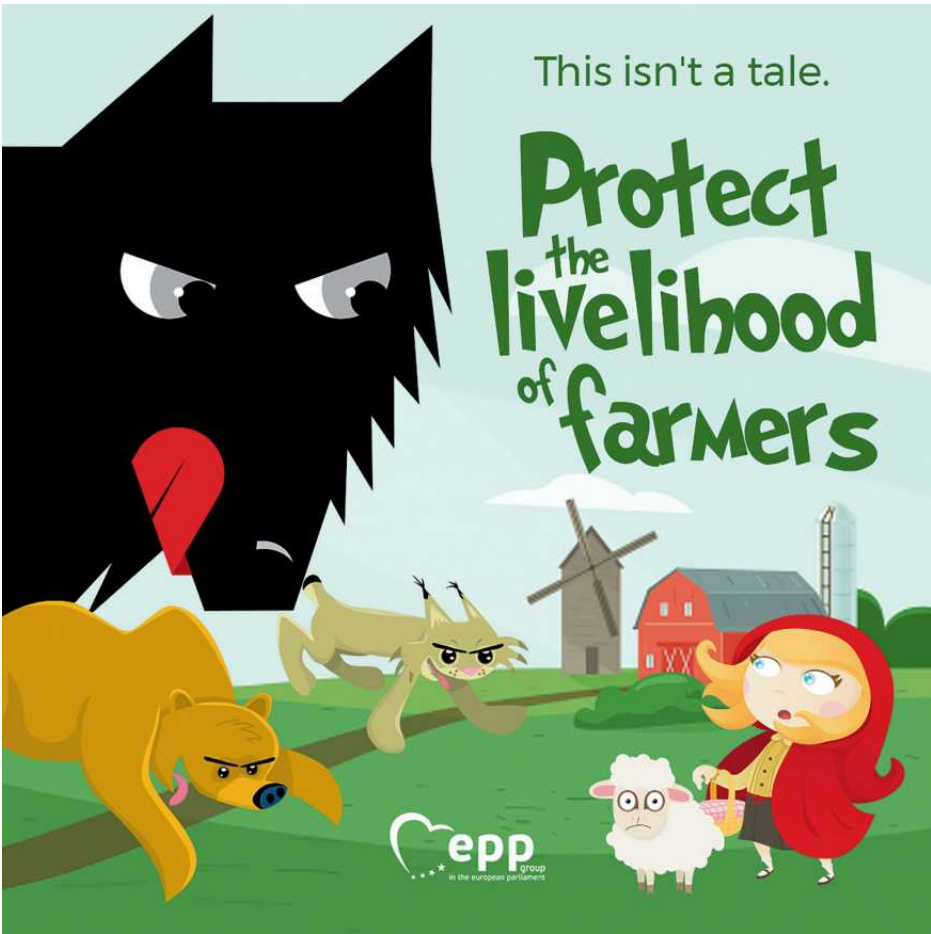
Tłumaczyć się z czegoś, do czego łagodnie mówią, nie jest przekonany. Przecież przy prawie o odbudowie przyrody resort wydał opinię wspierającą to rozporządzenie, a na Radzie Europejskiej nasza ministra środowiska głosowała przeciw, choć stwierdziła, że z „przykrością”.

SOLIDARNOŚĆ W ZABIJANIU

Z wilkami jest podobnie. Gdy wybucha awantura, przedstawiciele rządu zapewniają, że w Polsce wilki pozostaną chronione, a w tym głosowaniu Polska wykazała się tylko „solidarnością” z innymi krajami. Przynajmniej, że nie najlepiej brzmi ta „solidarność w zabijaniu”.

Przeciętny słuchacz i słusznie musiał wyczuć fałszywą nutę w zapewnieniach, że w Polsce wilki pozostaną chronione. Rząd uczynił pierwszy, choć nieformalny krok, do zdjęcia ochrony z wilków również w naszym kraju.

Zacznijmy od tego, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach. Pod koniec grudnia



• „To nie bajka. Chroń byt rolników” – mem z oficjalnej strony Europejskiej Partii Ludowej

Komisja Europejska zapowiedziała, że zwróci się do krajów członkowskich o obniżenie statusu ochronnego wilka w Konwencji Berneńskiej i przesuniecie go z załącznika określającego gatunki ściśle chronione do załącznika gdzie mamy gatunki tylko chronione.

Ta podpisana w 1979 w szwajcarskim Bernie konwencja ma służyć ochronie europejskich fauny, flory oraz ochronie siedlisk. Jest 51 sygnatariuszy, w tym poszczególne kraje wchodzące w skład Rady Europy, cztery państwa afrykańskie, Białoruś i Unia Europejska.

Polska ratyfikowała ją w 1995 roku. Konwencja ma załączniki, z których wynika, jak powinny być traktowane poszczególne gatunki. Na gatunki ściśle chronione nie można polować. Zabijanie ich jest możliwe tylko pod specjalnymi warunkami.

Na gatunki chronione polować znacznie łatwiej. Kraje podpisując konwencję mogą wyrażać zastrzeżenia co do statusu gatunków i uzyskiwać wyjątek od powszechnej reguły obowiązującej w danym załączniku, ale gdy już przystąpią do konwencji o zmiany jest bardzo trudno.

Co ważne: dla Unii Europejskiej konwencja berneńska jest podstawą jednego z najważniejszych aktów chroniących przyrodę na terenie wspólnoty czyli dyrektyw 92/43EWG w sprawie ochrony sie-

dlink przyrodniczych oraz dzikiej fauny i flory. To tzw. dyrektywa siedliskowa.

Ta dyrektywa oraz tzw dyrektywa ptasia to podstawy unijnej ochrony przyrody. To dzięki nim tworzone są obszary ochrony Natura 2000. To za ich złamanie kraje członkowskie stawiane są przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości. Złamanie dyrektywy siedliskowej w Puszczy Białowieskiej było powodem druzgocącego dla Polski wyroku w 2018 roku.

Później sprawy toczą się już szybko. Następuje głosowanie w Komitecie Stałych Przedstawicieli Rządów Państw Członkowskich przy UE. 25 września okazuje się, że za utrzymaniem ochrony wilków opowiedziały się tylko dwa kraje: Irlandia gdzie nie ma wilków i Hiszpania.

Hiszpania jest szczególnym przypadkiem, bo posiada prawdopodobnie największe pogłowie owiec w Europie i jedną z największych wilczych populacji, która od niedawna jest ściśle chroniona na terenie całego kraju. Stanowisko Hiszpanii jest jasne: nie ma naukowych podstaw do zmniejszenia ochrony, odstrzał może przynieść więcej problemów niż korzyści.

Neutralne stanowisko zajęły cztery kraje. Reszta w tym Polska jest za zmniejszeniem ochrony. W wielu krajach np. na Słowacji zmienił się rząd i populiści doszli do

władzy. Na uwagę zasługują Niemcy, które zmieniają stanowisko o 180 stopni, bez zmiany u sterów. Mało tego – zielona minister środowiska Steffi Lemke w styczniu 2023 podpisała list 11 ministrów środowiska UE domagających się utrzymania ochrony wilka. Skąd ta zmiana? Odpowiedzią jest rosnące w siłę AfD, które bardzo silnie postuluje odstrzał wilków.

– Znajdź choć jedną różnicę – znajomy naukowiec pracujący w Niemczech wysłał dwa identyczne niemal teksty dotyczące wilków w Niemczech, domagające się odstrzału. Nie znajduję żadnej. – Jeden jest Zielonych drugi AfD. – wyjaśnia i dodaje – Zieloni biegają jak kurczak z obciętą głową. Rzeczywiście ta partia przeżywa gigantyczny kryzys. Jej kierownictwo po zwycięstwie AfD w Brandenburgii podało się do dymisji.

WILK POŻRE SŁOŃCE I KSIĘŻYC

Wilki są wyjątkowo łatwym celem dla wszelkiej maści populistów. Powód pierwszy jest taki, że my ludzie mamy ewolucyjnie wrodzony strach przed drapieżnikami. Ten lęk ma dokładnie te same podstawy co instynktowne cofanie się na widok pająka lub węży, choć może to być zupełnie niegroźny pajak lub wąż.

Gdy zamkniemy oczy i wyobrazimy sobie potwora będzie miał on najczęściej zwierzęcą postać. Nasze ewolucyjne strachy zostały z nami, choć dawno nie są już aktualne. Dziś szansa, że coś nas pożre, jest znikoma. Giniemy w wypadkach samochodowych lub porażeni prądem, zabijamy się z broni palnej.

Te zagrożenie są na tyle krótko z nami, że nie zdążyły wpisać się w naszą instynktowną i ewolucyjną pamięć. To dlatego samochód czy pistolet na pierwszy rzut oka nas nie przeraża, choć powinien.

Drugi powód jest taki, że lęk przed wilkami był w Europie, a później Ameryce silnie wspomagany przez kulturę. Zasłużył się tu nie tylko słynny Czerwony Kapturek. Albo marsz wilków z filmu „Akademia Pana Kleksa”, który stał się traumatycznym przeżyciem dla całego mojego pokolenia i kilku po sąsiedzku.

Nie tylko filmy o wilkołakach, traperskie opowieści z Ameryki Północnej o bohaterstwie odganiania wilczych watach, czy malarstwo z motywami zimowych ataków wilków na sanie, ale też znacznie wcześniejsze mity.

W nordyckiej mitologii wilk Hati, czyli „ten, który nienawidzi”, miał za zadanie pożreć księżyc, a wilk Skoll, czyli „ten, który porusza się szybko” – pożreć słońce. Doprowadzi to do końca świata – znanego jako Ragnarok.

W wilcze skóry przebiali się Breserowie, młodzi germańscy wojownicy, pozostawieni poza swoimi społecznościami walczący bez żadnych zasad, często w narkotycznym w szale. To im zawdzięczamy zapewne mit o ludziach zamieniających się w demoniczne wilkopodobne potwory czyli o wilkołakach. Owszem bywały też legendy sprzyjające wilkom jak ta o Medeinie, litewskiej leśnej bogini eskortowanej przez wilki. To zapewne od niej wzięła się polska legenda, którą opowiadała mi babcia

o Matce Boskiej gromnicznej, której wilki ślepiami oświetlają drogę w zimową noc, gdy wędruje od domu do domu.

Legend o złych wilkach jest jednak znacznie więcej. Powód ich tworzenia wydaje się banalnie prosty. Chcieliśmy eks-terminować ten gatunek, bo wilki konkurowały z nami o zwierzynę w lasach. Bo są zwyczajnie bardzo sprawnymi, polującymi zespołowo, a raczej rodzinnie, myśliwymi.

Bo staliśmy się w wielu miejscach na ziemi hodowcami i nie mogliśmy przeboleć, że ktoś poza nami samymi zabija od czasu do czasu nasze owce, krowy albo renifery.

No i pierwszymi udomowionymi zwierzętami były w właśnie wilki. To one są przecież przodkami psów, czyli naszych najwierniejszych towarzyszy i sług. Dzikie wilki przypominają nam, że nie wszyscy z tego plebienia dali się zniewolić, a my ludzie nienawidzimy „zbiegłych niewolników”. Nic nas tak nie niepokoi jak coś, nad czym nie mamy kontroli, choć wydaje nam się, że powinniśmy.

Z tych właśnie powodów wydaliśmy na wilki wyrok. Najpierw w Europie, a później w Ameryce Północnej. Mało które dzikie zwierzę było i wciąż w wielu krajach jest zabijane z taką zawziętością. Wilki łapano w sidła, potrzaski, wilcze doły, strzelano do nich, truto je. Wybierano z gniazd szczenięta, by przywabili rodziców. Dorosłe wilki zabijano, a młodym czasami pozwalano żyć w niewoli.

Zorganizowane przez struktury państwowe czyli przez książąt, a nawet królów akcje wybijania wilków zaczęły się w zachodniej Europie już we wczesnym średniowieczu. We wczesnośredniowiecznej Skandynawii trzeba było zapłacić, aby wywinąć się od antywilczej akcji.

W wydawałoby się tak cywilizowanym państwie jak Kanada jeszcze kilka lat temu w prowincji Alberta całkiem oficjalnie truto wilki w ramach rządowego programu.

Nie ma eksterminacji bez odpowiedniej narracji. W wypadku wilków to opowieść o tym, że są złe, podstępne, krwiożercze, niebezpieczne, że zabijają dla czystej przyjemności zabijania. Zresztą wilki nie zabijają tylko „zarzynają”. Przecież budujemy takie opowieść też wewnątrz naszego gatunku. Gdy chcemy eksterminować jakąś grupę społeczną lub etniczną to najpierw musimy zbudować opowieść o tym jaka jest zła i podstępna.

POWRÓT

Ta paskudna opowieść o wilkach z nami została, tkwi w naszych głowach. Co z tego, że jest irracjonalna, gdy spotkamy wilki od razu się uruchamia. Wiem co piszę, bo choć od dawna miałem w głowie również wiedzę, która mówiła, że są to zupełnie niegroźne zwierzęta przy pierwszych spotkaniach z nimi trzęsły mi się nogi, bez przenośni.

Kolejny fakt który sprzyja populistycznym działaniom: wilki wracają na wiele terenów po długiej, nawet kilkusetletniej nieobecności. Wracają dzięki ochronie, której w końcu się doczekały.

Wracają na przykład do Niemiec. Zaczęły się pojawiać w 2000 roku i dziś ich populacja skupiona głównie na wschodzie liczy około 1200 zwierząt. Dla wielu społeczności są czymś nowym, nieznanym. Przybyłszy, którego „tu nigdy niebyło”, choć to „nigdy” nigdzie nie jest prawdziwe.

Nic tak nie sprzyja populistycznym mitom jak brak osobistego kontak-

tu z „obcą” istotą i nic tak skutecznie im nie zapobiega jak właśnie stała obecność i przenikanie się.

Zrozumiałem to w Puszczy Białowiejskiej, w której nie tylko wilki trwają właściwie nieprzerwanie, ale i ludzka populacja jest w miarę zasiedziła.

– Bać się wilków, chyba oszalałeś? Może jeszcze jeleni mam się bać! – to mniej więcej niechodzą do Puszczy, bo tam są wilki. Czy Jarek jak był mały, drżał ze strachu chodząc na grzyby, bo przecież gdzieś tam może czaić się wilk?

Jarek patrzył się na mnie jak na idiotę. Nawet to, że wilki przechodzą przez naszą wieś, nie budziło niepokoju. Wieś jest w Puszczy, to przechodzą przez nią wilki i tyle.

Kontrastowało to z mrozącymi krew w żyłach historiami, jakich nasłuchałem się w Bieszczadach. Ale Bieszczady to historia właśnie o braku kontaktu. Na miejscach wysiedlonych w czasie akcji Wisła przyszli ludzie z terenów, gdzie wilków od dawno dawna nie było, a wilki, ale i też niedźwiedzie, korzystając z krzywdy, jaką jedni ludzie wyrządzili innym, wrócili na te tereny po naprawę długiej nieobecności.

BĘDĄ PORYWAĆ DZIECI I JUŻ JEDZĄ LUDZI

Jak w każdej populistycznej opowieści muszą też być fake newsy i grupa uporczywie je produkująca. Muszą być siewcy strachu, którzy pilnują, abyśmy ani na moment nie przestali się bać.

Nie mam wątpliwości, że w Polsce są to głównie myśliwi i w mniejszym stopniu hodowcy. Dlaczego myśliwi? Odpowiedź jest nieco bardziej złożona niż to, że w wilkach widzą konkurenta do jeleni lub saren.

ale kojota czyli gatunek z Ameryki Północnej. Oryginalny opis: „Kobieta sfotografowała kojota, który niczym szczeniak bawi się starą psią zabawką”.

W niedawnym wywiadzie „Rymański Live” Marcin Możdżonek, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej opowiadał, że bez myśliwych byłoby bardzo niebezpiecznie na drogach. „Liczba wypadków śmiertelnych byłaby przeogromna. Wie pan co ile minut dochodzi do wypadku ze zwierzętami? Co 29 minut”.

Można naprawdę się przestraszyć tym bardziej, że Rymanowski nie dopytuje o szczegóły. Tymczasem Możdżonek albo świadomie wprowadza w błąd, albo mylą się mu zdarzenia drogowe z wypadkami – wypadek jest wtedy gdy dochodzi do uszczerbku na zdrowiu, a nie np. drobnej kolizji.

Gdy się spojrzy na statystyki wypadków w danych policji z 2023 to wygląda już nie tak groźnie jak w opowieści łowczego. Najechanie na zwierzę jest dopiero dwunaste w kolejności – 174 wypadki, daleko za najechaniem na drzewo 1025, lub na znak lub słup – 289 i nie mówiąc o takich kategoriach jak boczne zderzenie pojazdów – 6522 lub najechanie na pieszego – 4787

Zapytany o wilki w Polsce Możdżonek odpowiada: „chodzą sobie jak chcą i gdzie chcą i nie mają żadnego respektu przed człowiekiem. Już jest kilka przypadków śmiertelnego kontaktu z wilkiem. Zwierzęta gospodarskie są zagryzane”.

Wypowiedź jest tak skonstruowana, że nie wiadomo czy chodzi o ludzi czy zwierzęta gospodarskie. Dalej jest jeszcze lepiej. Łowczy opowiada historię, nie wątpię, że prawdziwą o babci z wnuczką spod Ostródy która poszła na spacer z psami wzdłuż lasu. Psy „się ładnie bawiły” i nagle pojawiły się wilki, które „złapały jednego psa i do widzenia”.

W tym, że wilki zabijają wolno biegające psy, nie ma nic dziwnego. Psy nie powinny biegać luzem tam gdzie są dzikie zwierzęta. Zamiast jednak, jak przy-

– Znajdź choć jedną różnicę – naukowiec wysłał dwa fragmenty dotyczące wilków w Niemczech domagające się odstrzału. Nie znajduję żadnej. – Jeden jest Zielonych, drugi AfD

Oczywiście, że to ma jakieś znaczenie. Jakieś znaczenie np. w Skandynawii może mieć to, że wilki zabijają puszczone luzem myśliwskie psy.

Ale myślę, że dziś bardziej chodzi o coś innego. O to, jak postrzegamy zabijanie zwierząt. Myśliwi zabijający dla tradycji, sportu, rozrywki naprawdę wyglądają źle na tle drapieżników. One zabijają nie tylko, aby przeżyć, ale spełniają kluczową rolę w funkcjonowaniu ekosystemów.

Dziś to zohydowanie wilków jest bardziej walką o społeczną duszę i wizerunek, niż o jelenia. Myśliwi, którym od czasu do czasu zdarza się kogoś zastrzelić – w zeszłym roku w Polsce zginęło tak pięć osób – marzą, aby w lesie był ktoś groźniejszy od nich, ktoś przed kim muszą nas bronić.

A jak to się odbywa? Proszę, oto kilka przykładów. Na jednym z myśliwskich profili na portalu społecznościowym widzimy wilkopodobne zwierzę trzymające w pysku niebieskiego pluszaka. Zwierzęcie ucieka z nim do lasu, a podpis mówi: „Wcale nie są takie złe. Dziś zabawka, jutro właściciel zabawki” i emotikony symbolizujące wilki.

Parę minut z wyszukiwarką wystarczy, żeby ustalić, że na zdjęciu widać nie wilka,

stało na znawcę przyrody, zrobić krótki wykład o tym, jak dbać o pupili wśród dzikiej przyrody zadaje dramatyczne pytanie – A co by było, gdyby dziecko złapało?

Ponieważ dziennikarza jakoś nie dopytał łowczego, ile dzieci w Polsce lub Europie zostało już przez wilki złapanych, a nie chciałbym aby czytelnik pozostał z tym pytaniem – odpowiem. Liczba ludzi zabitych przez wolno żyjące wilki w Europie, zarówno dzieci jak i dorosłych, wynosi równe zero.

Wilki są jednymi z ostatnich na liście zwierząt, jakie mogą nam zagrozić. Może dochodzić do pogryzień, w Polsce w 2018 roku były trzy przypadki w Bieszczadach i jeden w Wielkopolsce, ale wszystko wskazuje na to, że były to oswojone lub dokarmiane przez człowieka zwierzęta.

W Ameryce Północnej w ciągu ostatnich stu lat były dwa przypadki zabicia człowieka przez dzikie wilki – na Alasce w 2010 roku zginęła uprawiająca jogging kobieta, a pięć lat wcześniej w Kanadzie w prowincji Saskatchewan wilki zabiły młodego geologa.

W obu miejscach poluje się na wilki, więc cała opowieść o tym, że polowania coś mogą zmienić, jest nieprawdziwa. Przytaczam te dwa przypadki, bo zostały dobrze udokumentowane przez profesjonalne państwowe służby. Zostawiam bez komentarza wszystkie opisy z Indii oraz krajów postsowieckich, bo tu trudno o wiarygodne dane, a nie trzeba daleko szukać, by zobaczyć jak usiłuje się wilkom przypisać ludzkie ofiary.

Kiedy po miesiącu poszukiwań w styczniu 2022 roku w powiecie przemyskim znaleziono objedzone szczątki zaginionego mężczyzny, właściwie każdy artykuł na ten temat był opatrzone zdjęciami wilków. Nie pomagały zaprzeczenia władz ani naukowców. Ponieważ zdjęcia zwłok dzięki olbrzymiemu zaangażowaniu łowieckiego środowiska krążyły po internecie, mogłem się im przyjrzeć. Widziałem setki wilczych ofiar i jedno co mogłem powiedzieć to to, że wilków przy zwłokach zaginionego mężczyzny nigdy nie było.

Sytuacja powtórzyła się w 2023, gdy pod Ostródą znaleziono objedzone przez padlinożerców zwłoki człowieka. Myśliwskie środowisko zawyło z zachwytem, że w końcu wilki kogoś zjadły. Prokuratura i śledczy jednak temu szybko zaprzeczyli.

Znaczące jest to, że mrozące krew w żyłach historie z wilkami nie zdarzają się ludziom badającym lub fotografującym te zwierzęta, choć spotykają je oni często z bardzo bliska. Dotyczy to również niżej podpisanego. Żadna, ani żaden z nas nawet nie otarł się o groźną sytuację. To oznacza, że albo chodzimy do innych lasów, albo spotykamy inne wilki, albo ktoś tu z rozmysłem kłamie, żeby wzbudzić strach.

GW950M ZJADŁ KUCYKA URSULI VON DER LEYEN

Moja redakcyjna koleżanka przecierała oczy ze zdumienia, gdy pokazałem jej profil Europejskiej Partii Ludowej na portalu X. Ja też, gdy to pierwszy raz zobaczyłem, nie za-

bardzo mogłem zrozumieć, jak coś tak absurdalnie głupiego może opublikować ugrupowanie, w którym przecież są lub wtedy były takie wielkie postacie jak Jerzy Buzek, Janusz Lewandowski albo Danuta Hubner. W Polsce czegoś takiego nie odważyłby się pokazać nie tylko PiS, ale nawet Konfederacja. Mem przedstawia sielski rolniczy krajobraz z wiatrakami, silosem i stodołą. Do tego przerażoną owieczkę i jeszcze bardziej przerażoną dziewczynkę o blond włosach i niebieskich oczach i – a jakże – w czerwonym ubranku z kapturkiem. Ale to mniejsza część, bo większość to skradający się złośliwy rys, niedźwiedź o wyraźnie fałszywym i wrednym spojrzeniu i oczywiście największy z tej całej trójki i dominujący czarny jak smoła wilk o ogromnych ślepiach oblizujący się wielkim czerwonym jęzorem.

„To nie bajka. Chroń byt rolników”. Mem pojawił się na profilu partii 23 listopada 2022 roku i został opatrzony następującym opisem: „Coraz więcej ataków wilków, niedźwiedzi i rysi na zwierzęta gospodarskie w Europie powoduje, że byt rolników stał się zagrożony”. Obecne rozwiązania są niewystarczające”

Mem pojawia się ponad rok po tym, jak koło północy 1 września 2022 w Dolnej Saksonii wilk zidentyfikowany na podstawie próbek DNA jako GW950m zabił starego kucyka o imieniu Dolly.

Wilk był dorosłym samcem, a kucyk znajdował się na padoku, który ni jak nie był zabezpieczony. To dziwne, bo krążący po okolicy GW950m miał już inne ataki na zwierzęta domowe na sumieniu. Proces wydawania decyzji na odstrzał tego zwierzęcia zaczął się już wcześniej. W Niemczech podobnie jak w Polsce, wilki są chronione, ale gdy któryś zagraża zwierzętom gospodarskim, wydawana jest zgoda na odstrzał.

Po zabiciu kucyka ten proces przyspiesza, decyzja zostaje wydana na określony czas. Czy wilkowi uda się przetrwać? Belgijskie „Politico” uruchamia zegar. W końcu licencja wygasa. Jak podaje „The Guardian” GW950m żyje sobie spokojnie w lasach w okolicach Hanoweru żywiąc się jeleniami.

Wielkie europejskie gazety z uwagą przyglądały się losom GW950m, bo zabity przez niego kucyk należał do niebyle kogo. Był maskotką Ursuli von der Leyen przewodniczącej Komisji Europejskiej i wpływowej polityczki niemieckiej chadecji i Europejskiej Partii Ludowej.

To z tym zdarzeniem dziennikarze wiążą, że najpierw Europejska Partia Ludowa, a później Komisja Europejska wzięła na celownik wilki. Tylko, że to nie do końca prawda. Wilki stały się czarnym ludem dla prawicowych, ale też skrajnie lewicowych polityków europejskich znacznie wcześniej.

Pierwszym, który wskazał je jako wcielone zło był polityk zielonych, alterglobalista, anarchista, człowiek których blokował budowę MacDonalda we Francji, a na statkach Greenpeace protestował przeciwko testom nuklearnym -czyli Jose Bove.

Był on dwa razy wybrany do parlamentu europejskiego z ramienia Zielonych. W 2012 roku wybuchła wewnętrzna awantura wśród francuskich Zielonych, gdy Bove ogłosił, że tylko odstrzał wilków może uratować małych rolników z górskich regionów Europy. Bo dodajmy, że Bove jest też hodowcą owiec.

Już jako poseł Zielonych zorganizował w 2018 roku konferencję pt. „Obrona pasterstwa”. Warto przyjrzeć się jej uczestnikom. Poza kilkoma naukowcami i ekologami, spełniającymi rolę figowe listka, komisarzem do spraw środowiska, szefem Europejskiej Federacji Myśliwskiej (FACE) i oraz prezesem Europejskiej Organizacji Posiadaczy Ziemi (ELO) uczestniczy też paru polityków.

Wśród nich był Herbert Dorfmann. To dziś wpływowy polityk Europejskiej Partii Ludowej, człowiek odpowiedzialny za politykę rolną w tym ugrupowaniu. Dorfmann jest Tyrolczykiem z północnych Włoch. Ze względu na pochodzenie ma świetne kontakty nie tylko z włoską prawicą, ale również z niemiecką i austriacką. Dorfmann szybko wyczuwa, że z wilków można zrobić polityczne złoto.

To on stoi za pomysłem, aby parlament europejski zaapelował o zdjęcie ochrony z wilków. Prace nad tą uchwałą ostatecznie przyjętą w listopadzie 2022 zaczynają się na długo przed śmiercią kucyka Dolly.

SPACERUJĄC WŚRÓD OWIEC

Gdyby przyjrzeć się komunikatom Europejskiej Partii Ludowej można odnieść wrażenie, że nie tylko co druga owca w Europie zjadana jest przez wilki, ale też zagrażają one ludziom. „Dajcie nam wolność, abyśmy mogli bronić się przed wilkami” – głosi komunikat tej partii po głosowaniu w sprawie konwencji berneńskiej.

Na oficjalnym profilu Komisji Europejskiej można przeczytać wypowiedź przewodniczącej von der Leyen: „Koncentra-

Myśliwy zabijający dla tradycji, sportu, rozrywki naprawdę wyglądają źle na tle drapieżników

cja watah wilków w niektórych regionach Europy stała się realnym zagrożeniem dla zwierząt gospodarskich, a potencjalnie także dla ludzi”, czym wprowadziła w konsternację naukowców zajmujących się dużymi drapieżnikami.

Straszenie wilkami weszło do europejskiego mainstreamu. Zostawmy fantazjowanie, jakim jest mówienie o zagrożeniu dla ludzi, choć jest ono groźne, gdy pada z ust tak wpływowych polityków, ludzi którzy powinni jakoś trzymać się faktów i uspokajać nastroje.

Spójrzmy, jak wygląda sprawa z wilkami i ich atakami na zwierzęta domowe. Owszem – jak mówią specjaliści – lokalnie, dla poszczególnych hodowców to może być problem szczególnie gdy chodzi ę pozbawione opieki owce. Ale w skali Europy wilki odpowiadają za 0,06 proc strat wśród pogłowia tych zwierząt. Cała reszta to głównie choroby.

W Polsce – gdzie mamy ten gatunek pod całkowitą ochroną, populację liczącą między 2-3 tysiące wilków – są one odpowiedzialne za zaledwie 0,08 proc wszystkich zgonów bydła w polskich gospodarstwach i około 0,12 proc. cieląt. Odszkodowania za szkody wyrządzone przez wilki wyniosły w 2022 nieco ponad 2 miliony złotych czyli śmieszne pieniądze w skali państwa.

W Niemczech wypłaty odszkodowań również nie były szokująco wysokie – nieco ponad 616 tys. euro w 2022. W Brandenburgii oraz Dolnej Saxonii 75 proc. skutecznych ataków wilków na zwierzęta gospodarskie miała miejsce tam, gdzie nie było żadnych zabezpieczeń. Pozostałe 25 proc – tam gdzie były tylko podstawowe, czyli ogrodzenie.

Czy politycy Europejskiej Partii Ludowej o tym nie wiedzą? Otóż wiedzą doskonale.

– W zeszłym roku przeprowadziliśmy dwa projekty pilotażowe w moim regionie używając wszystkich środków – psów, ogrodzeń i innych – i nie było więcej ataków – mówi w portalu Euroactive nie kto inny tylko Herbert Dorfmann. To w czym problem? Precyzuje, że takie zabiegi są bardzo drogie i koszty utrzymania jednej owcy zabezpieczonej przed wilkami przewyższają zyski, jakie można uzyskać z jej sprzedaży.

Dorfmann nie wspomina, że Unia w ramach wspólnej polityki rolnej i programów Life + przeznaczyła środki na ochronę przed dużymi drapieżnikami. Trzeba po nie sięgać. Dlaczego ludzie tacy jak Dorfmann o tym nie mówią? Odpowiedź kryje się w kolejnych wypowiedziach. Dorfmann zwraca uwagę, że wszystkie te ogrodzenia elektryczne, psy pasterskie, to nie są dobre rozwiązania dla Alp, bo..... będą odstraszać turystów.

Innymi słowy nie będą tu nam jakieś wilki odbierały przyjemność chodzenia po alpejskich halach wśród szczęśliwych owieczek.

Oczywiście, że dla wielu ludzi, którzy odwiedzili np. Dolinę Kościeliską w Tatrzańskim Parku Narodowym, gdzie tłumy turystów przewalają się obok pasterskich psów, które gdy są dobrze wyszkolone i zaopiekowane nie zagrażają turystom, to brzmi idiotycznie.

Niby dlaczego tak nie można? Oczywiście, że można. Ale tak naprawdę Dorfmann i jemu podobni komunikują coś

innego: nie musicie nic zmieniać, nie musicie się dostosowywać do zmieniającego się świata. Wystarczy zabić wilki i będzie jak dawniej.

Pytanie tylko, czy będzie jak dawniej. Mamy przecież kraje w Europie, w których wilcze populacje są intensywnie redukowane i jakoś nie widać efektów i końca kłopotów.

W niewielkiej Estonii w sezonie 2023/24 wydano zezwolenie na zabicie 144 wilków. To bardzo dużo, bo populacja oceniana jest na 360 zwierząt. Zabito 145. Tymczasem już latem straty w regionie Parnu wzrosły. Jeden z hodowców owiec zwierzył się w mediach, że od 25 lat nigdy nie miał tylu ataków wilków.

Przyczyny mogą być dwie. Pierwsza: tak wysokie odstrzały sprawiają, że hodowcy nie przykładają się do ochrony stad. Druga jest znacznie ciekawsza: w niezależnych badaniach hiszpańskich i amerykańskich naukowców okazało się, że po odstrzale straty nie maleją tylko rosną.

Otóż naturalne ofiary wilków takie jak jelenie doskonale wiedzą, jak unikać drapieżników. Żeby skutecznie na nie polować wilki muszą działać zespołowo, a dokładnie rodzinnie. Rozbiecie rodziny przez odstrzał powoduje, że polowanie na dzikie zwierzęta staje się znacznie trudniejsze. Wilki nie mają wyboru i przełamują strach przed człowiekiem.

W innych badaniach widać, że ataki na zwierzęta domowe mogą być również związane z redukcją naturalnych ofiar wilków przez myśliwych.

POTRZEBUJEMY DUŻYCH DRAPIEŻNIKÓW

W 1995 roku 41 kanadyjskich wilków zostało wypuszczonych w pierwszym parku narodowym jaki powstał na świecie czyli w Yellowstone. Wilki, które eksterminowano na tych terenach w latach 20. ubiegłego wieku wracały tam dzięki pomocy człowieka. Przyglądali się temu, i wciąż przyglądają, naukowcy.

Wyniki badań z Yellowstone pokazują jedno: wilki mają olbrzymi wpływ na ekosystem i jest to wpływ ze wszech miar pożądany.

Podobne badania z drugiego końca świata czyli z Puszczy Białowieskiej mówią to samo.

Naturalny las nie może funkcjonować bez dużych drapieżników.

Tylko one są w stanie sprawić, że również bardzo potrzebni w tym ekosystemie roślinożercy tacy jak jelenie są w stałym ruchu, unikają określonych miejsc (takich gdzie są martwe drzewa i drapieżniki) i dzięki temu wiele gatunków drzew może spokojnie wyrosnąć.

Aby poradzić sobie z globalną katastrofą, którą lubimy nazywać klimatyczną choć tak naprawdę dotyczy nie tylko klimatu, ale też wielu innych aspektów

na naszej planecie, musimy mieć zdrowe i naturalne lasy. Bez wilków ich nie będzie.

Jeżeli do tego dołączymy takie usługi ekosystemowe jak ograniczenie przez wilki przez zabijanie słabych zwierząt i zjadanie padliny takich chorób jak ASF widać, jak bardzo ich potrzebujemy.

Oczywiście, że ten gatunek jest w tej chwili w Europie w ekspansji – mówi się o 20 tys. wilków na terenie wspólnoty, ale wciąż jest masa terenów, na których wilków potrzebujemy, a na innych musimy nauczyć się z nimi bezkonfliktowo współistnieć.

Wsparta przez Polskę decyzja Komisji Europejskiej może zatrzymać ten proces i niestety go odwrócić. Nie wiadomo, co będzie przy następnym kroku czyli zmianie dyrektyw siedliskowej. Czy zostanie zmieniona cała, czy tylko wilki zostaną przeniesione do innego załącznika.

Otwarcie prac nad tą dyrektywą przy takim układzie sił politycznych może się skończyć np. sprowadzeniem do fikcji obszarów Natura 2000.

Zresztą tu nie chodzi tylko o wilki. Choć politycy Europejskiej Partii Ludowej zastrzegają, że tylko je mają na celowniku, to jednak w wyborczym memorandum tej partii mowa jest również o niedźwiedziach.

Ale najważniejsze jest chyba coś innego. Pierwszy raz w historii i to w dobie planetarnej katastrofy ekologicznej jeden z najważniejszych organów wspólnoty europejskiej czyli Komisja Europejska działa na rzecz obniżenia, a nie podwyższenia standardów środowiskowych. Robi to z czysto politycznych pobudek, bez żadnych naukowych podstaw. To bardzo niebezpieczny precedens. Co będzie następne?

TUSK I WILKI

A co z wilkami w Polsce? Na pewno tracimy wizerunek kraju, który dobrze chroni przyrodę. Szkoda, bo nasze doświadczenia ochrony wilków mogłyby być przydatne w wielu europejskich krajach. Szkoda, bo po PiS-ie Europa potrzebowała innego sygnału z Polski.

Owszem, wilki wciąż są chronione prawem krajowym, ale to może się szybko zmienić. Co będzie jak zmieni się rząd? Zresztą nie musi się zmieniać. Minister rolnictwa Czesław Siekierski oświadczył: populacja wilka przekracza dopuszczalny stan, jest ich za dużo i populacja powinna zostać obniżona. Weszliśmy na naprawdę niebezpieczną ścieżkę, która może zaprzepaścić lata pracy.

I na koniec pytanie: dlaczego Donald Tusk to zrobił. Myślę, że odpowiedź jest prosta. Zrobił, bo mógł. Te uprzejmości wobec przyjaciół z Europejskiej Partii Ludowej jak dotąd nic go nie kosztowały.

Pozwolili mu na to jego koalicjanci z Lewicy i Polski 2050, którzy siedzą jak mysz pod miotłą. Ale jest ktoś jeszcze, kto mu na to pozwala. To wyborcy. Tusk wie, że polski wyborca nie skleja działań w Parlamencie Europejskim, Radzie albo Komisji z tym co dzieje się, albo zaraz stanie w Polsce. Wystarczy spojrzeć na frekwencję w wyborach do PE. Dlatego premier może sobie pozwolić na głoszenie jednego w kraju i robienie czegoś zupełnie innego w Europie.

Pora to zmienić i sprawa wilków jest ku temu świetną okazją. Wciąż jest szansa, aby przy głosowaniu nad zmianą dyrektywy Polska zmieniła zdanie. Inaczej możemy się pewnego dnia obudzić w kraju i wspólnocie, która niekoniecznie będzie się nam podobać. ●



- Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
- Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Krew, kość i „odrobina kręgosłupa”

Mogło się tak stać, że wyborcy powiedzieliby Dudzie po pierwszej kadencji: „Panie prezydencie Andrzej Duda, drugi raz pan prezydentem nie będzie”. Także dlatego, że wyborcy posługują się sprawniej wólcem od prezydenta.



Michał Rusinek

Prezydent Andrzej Duda wziął niedawno udział w konferencji zorganizowanej przez Sąd Najwyższy, zatytułowanej „Lavoro pericoloso. O pracy sędziego”. Nosila ona tytuł polsko-włoski, bo została zorganizowana we współpracy z sędziami i naukowcami z Włoch. Jak widać, polska część tytułu nie jest przekładem włoskiej: dla Włochów praca sędziego wiąże się z niebezpieczeństwem; dla Polaków – to tylko praca. Ale za to wyłączenie dla mężczyzny, więc w domyśle: niebezpieczna, bo męskie prace takie przecież są. Pomijając kwestie prawne, których analizę zostawiam prawnikom i prawniczkom, a także brawurową mimikę, gestykulację (zwłaszcza prawą dłońią z usztywnionym orzezą środkowym, a więc nieprzyzwoitym palcem) oraz teatralne pauzy, których interpretację zostawiam specjalistom i specjalistkom od body language, należy zauważyć, że wystąpienie pana prezydenta dotyczyło także kwestii językowych i na nich właśnie chciałbym się skupić.

Prezydent, jako rasowy retor, zaczął od nawiązania do wy-

powiedzi swojej przedmówczyni. Zaczął od podziękowań: „Przed wszystkim chcę bardzo serdecznie podziękować pani pierwszej prezes Sądu Najwyższego, pani profesor Małgorzacie Manowskiej za zorganizowanie dzisiejszej konferencji poświęconej wyzwaniom, jakie niesie ze sobą pełnienie służby sędziowskiej w wielu jego wymiarach, ale także, a może przede wszystkim, ze swojej strony o zaproszenie na tą konferencję”. W zdaniu tym widać mordercze zmaganie prezydenta ze składnią. Dzięki takim zmaganiom język przestaje być przezroczysty i nasza uwaga kieruje się właśnie ku kwestiom językowym.

Manowska mówiła o dwóch słowach: „niezlomności” i „przyzwoitości”. Andrzej Duda skomentował je następująco: „To ważne cechy w ogóle, ale szczególnie jeżeli chodzi o wymogi, jakie można postawić wobec sędziów. Nie od każdego los wymaga, aby udowodnić, że jest niezlomny. Inaczej jest z przyzwoitością, która ma wymiar bardziej uniwersalny. Co to oznacza: być przyzwoitym człowiekiem, przyzwoitym przedstawicielem władzy, czy po prostu przyzwoitym sędzią?”. Wymogi stawia się raczej komuś, a nie wobec kogoś, ale mniejsza o to.

Znamienne, że pan prezydent nie poświęca szczególnej uwagi niezlomności, bo to jedno ze słów-kluczy dobrej zmiany, używane zarówno w kontekście żołnierzy (częściej nazywanych wykłętymi), jak i sędziów, a więc słowo oswojone, głęboko osadzone w dobrozmiłowej mitologii. Ciekawa jest figura gradatio, jaką prezydent stosuje wobec przyzwoitości: człowiek – władza – sędzia. Sugeruje ona z pozoru, że sędzia znajduje się najwyżej na drabinie przyzwoitych bytów, ale dodanie sformułowania „po prostu” odwraca tę figurę w antyklmaks, odnosimy bowiem wraże-

nie, że sędzia jest na samym dole owej drabiny, skoro jest „po prostu przyzwoitym sędzią”.

Dosyć karkołomny to zabieg. Podobnie jak inne gradatio: „Wiecie, gdzie jest największe niebezpieczeństwo ulegania naciskom i wpływom?” – spytał retorycznie prezydent, zapowiadając jakąś paradoksalną, a przynajmniej nieoczekiwaną odpowiedź.

Tymczasem brzmiała ona: „W domu, w rodzinie, w kręgu towarzyskim, a przede wszystkim w sądzie”. To chyba dość oczywiste, że sędzia może być narażony na naciski w sądzie. A że jest też narażony w domu i wśród znajomych? To już nie tylko sędzia. Rzeczywiście, warto się od czasu do czasu zastanowić, czy nasza rodzina nie stała się toksyczna.

Przeczytawszy swoje wystąpienie, zawierające wyłącznie kwestie prawne, pan prezydent zamknął teczkę i zaczął mówić od siebie. Wymieniał kwestie, które porusza wówczas, gdy przyjmuje ślubowania sędziowskie. Nie był szczególnie dobrze przygotowany, gdyż czterokrotnie zapowiadał: „i ostatnia rzecz”, wiedząc zapewne, że nic tak dobrze nie pobudza uwagi słuchaczy, jak powiedzenie: „ja już kończę”. Oczywiście pod warunkiem, że naprawdę się kończy.

Pan prezydent dodał, że rozumie, iż stosowanie się do przepisów prawa jest „trudne, uciążliwe w wielu przypadkach”. Ale sędzia jednak też powinien

Wśród owych kwestii (nieostatnich) była jedna naprawdę ważna: by sędziowie, zwłaszcza w uzasadnieniach wyroków, posługiwali się językiem zrozumiałym dla każdego obywatela. Przyklaskują temu postulatowi. Prezydent dał nawet przykład, jak to robić, bo cała jego wypowiedź – mimo że kierowana do prawników i prawniczek – utrzymana była właśnie w prostym i zrozumiałym stylu. Co może sugerować, że w gruncie rzeczy mówił do nas, nieprofesjonalistów.

Mówił, że politycy sędziom „nie mogą nic kazać” i „do niczego zmusić”; że sędzia nie powinien „improwizować” z niewłaściwymi ludźmi: z jednej strony adwokatami, z drugiej – gangsterami; że nie powinien przechodzić przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i parkować tam, gdzie przepisy tego zabraniają; że powinien stosować się do ograniczeń prędkości (tu posłużył się wstrząsającą przypowieścią o policjantach, którzy zatrzymują sędziego za przekroczenie prędkości, a potem ten sam sędzia orzeka w sprawie o przekroczenie prędkości – i jak to wygląda?). Po czym dodał, że rozumie, że stosowanie się do przepisów prawa jest „trudne, uciążliwe w wielu przypadkach”. Ale sędzia jednak też powinien. Współczujemy sędziom.

Grzmiał na „niektórych profesorów”, których słucha „z politowaniem”, kiedy piszą „czysto polityczne” apele, w których zwracają uwagę, że jakaś ustawa jest niekonstytucyjna, choć o tym nie decyduje żaden profesor, a Trybunał Konstytucyjny, który, jego zdaniem, upolityczniony nie jest. Grzmiał też na sędziów, którzy „bawią się w politykę”: „Nie mam prawa wiedzieć, jakie poglądy ma sędzia”. Oczywiście, sędzia może mieć poglądy, ale walczyć o nie może tylko przy urnach wyborczych: „Nie w telewizji, nie na sali sądowej, nie w gazetach, nie chodząc na różnego rodzaju po-

lityczne demonstracje, czy pisząc różnego rodzaju polityczne apele”. Jeśli sędzia chce być politykiem, to musi zrezygnować z roli sędziego. Ale pan prezydent tego nie poleca, bo politycy podlegają surowej ocenie wyborców. I przecież mogłoby się tak stać, że wyborcy powiedzieliby mu po pierwszej kadencji: „Panie prezydencie Andrzej Duda, drugi raz pan prezydentem nie będzie”. Także dlatego, że wyborcy generalnie posługują się sprawniej wólcem od Andrzeja Dudy.

Wystąpienie prezydenta było także interesujące pod względem metaforycznym, choć była to metaforyka wysoce ryzykowna. Poza zleksykalizowanymi sformułowaniami, jak „sędzia z krwi i kości”, pan prezydent powiedział, że jeśli sędzia „ma odrobinę kręgosłupa” i jest inteligentny, to co mu można zrobić? „Nic mu nie można zrobić”. Istotnie, stan pacjentów z rozległymi urazami kręgosłupa zwykle uważa się za poważny i często chirurdzy są bezradni. Choć może to nawiązanie do piosenki Jeremiego Przybory „Odrobina męczyzny”, śpiewanej przez Irenę Kwiatkowską w Kabarecie Starszych Panów. Lekko makabryczne wydaje się też wykrzywane zapewnienie, że pan prezydent będzie bronił „do upadłego” mianowanych przez siebie sędziów: „Nie oddam ani jednego! Ani pół nawet!”. W warstwie dosłownej jest to czysta makabra, ale w warstwie literackiej – subtelne nawiązanie do przypowieści o Salomonie, który rozkazał rozciąć na pół dziecko, o które spierały się dwie matki. Historia dobrze się jednak skończyła, bo był to sprytny test na to, która z kobiet jest matką prawdziwą. Jest w tym jakieś pocieszenie. Na przykład takie, że i pewien tragicomiczny wątek naszej historii ma szansę się wreszcie skończyć. Za dziesięć miesięcy. ●

REKLAMA

Kraj/34337848

Dwóch braci - dwa wojenne światy, polityczny konflikt i miłość do tej samej kobiety

**BRAWUROWA POWIEŚĆ
SENSACYJNO-HISTORYCZNA
LAUREATA NAGRODY
CZYTELNIKÓW
WIELKIEGO KALIBRU**

FOT. BEOWULF SHEEHAN

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl



I jak w tym kraju nie być symetrystą

L: Oto mój subiektywny przegląd najbardziej populistycznych wydarzeń ostatnich dni



Marcin Matczak

Zeszłoroczne spotkanie z Wojciechem Sadurskim na temat jego książki „Pandemia populistów”. Pytam autora, czy jest możliwe życie po populizmie bez populizmu. Profesor ma nadzieję, że jest, mnie się wydaje, że nie. Populizm to polityczne podgrzewanie emocji kosztem rozumu, za bardzo wszedł nam w krew. Chcemy emocji w polityce, pragniemy polityków, którzy je w nas rozbudzają. Zatruto nas tym populizmem i półśrodki nie są już u nas sexy.

Oto subiektywny przegląd najbardziej populistycznych wydarzeń ostatnich dni, w których rozsądek starł się z ludzkimi emocjami i sromotnie poległ.

Tusk zawiesza azyle, Kaczyński konstytucję

Kaczyński mówi, że jak wygra wybory, to zawiesi konstytucję. Tusk mówi, że zawiesi prawo do azylu. I jak w tym kraju nie być symetrystą? Bartłomiej Sienkiewicz oświadcza, że obrońcy praw

czlowieka są oderwani od rzeczywistości. Pobrmiewają tu kpi-ny z posłów KO, gdy ci donosili na granicę białoruską pizzę i też byli oskarżani o „oderwanie”, tyle że przez PiS. Ludzie znów pytają, kto jest większym dyktatorem.

Nawet zimny jak skalpel prawnik, profesor Ireneusz Cezary Kamiński, w odpowiedzi na propozycję Tuska trochę kpi, że trzeba by najpierw zmienić art. 56 konstytucji, potem jakoś zawiesić Europejską Konwencję Praw Człowieka. Ostatecznie pozostaje po-lexit.

Ale zaznacza też, że prawo migracyjne „pochodzi z innej epoki” i w dobie Lampedusy sądy w sprawach azylu są jakby mniej proazylowe. A kraje europejskie, w tym Holandia, składają wnioski o wyłączenie z reguł polityki migracyjnej UE – czyli o jej zawieszenie wobec nich. Poza tym art. 9 konwencji genewskiej pozwala „w razie zaistnienia „poważnych i wyjątkowych okoliczności” podjąć w stosunku „do określonej osoby środki”, które państwo uważa za „niezbędne dla bezpieczeństwa narodowego, zanim uzna, że osoba ta istotnie jest uchodźcą”.

Nawet jeśli tryb zawieszenia azylu jest, a trybu zawieszenia konstytucji nie ma, Tusk pojechał populizmem. I to jest jakieś echo tego mrocznego czasu, gdy nawet matematykę zawieszano, twierdząc, że 1:27 to zwycięstwo, i gdy tłoczono w nas strach przed gwałcącymi krowę przybyszami ze Wschodu. Smutne to bardzo.

Spór o neosędziów

Dziś PiS już kocha Komisję Wenecką, choć wcześniej się u nas nie przyjęła. Bo oto coś skrytykowała w planach czyszczenia stajni Augiasza, którą w sądownictwie zostawił Ziobro i spółka.

Komisja powiedziała, że trzeba zweryfikować – czyli sprawdzić – i, jeśli są przesłanki, unieważnić, WSZYSTKIE powołania sędziowskie dokonane przez neo-KRS. Nie można jednak zrobić tego hurto-wo, ustawą, ale trzeba indywidualnie. A poseł Janusz Kowalski już publikuje wpis, w którym – tłumacząc jego słowa na metaforę stajni – cieszy się, że Komisja tego obornika, który na sale sądowe wwiózł PiS, nie pozwala wywieźć koparką, tylko każe powoły wywalać łopatami.

Grzegorz Sroczynski przeprowadził z Marcinem Szwedem, prawnikiem z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, wywiad w temacie KRS, zatytułowany „Rządzący pogłębiają chaos w sądownictwie”. To tak, jakby powiedzieć, że chirurg wyciągający kulę z ciała „pogłębia ranę”. Ale dziś wierzy się emocjonalnym nagłówkom. Zwolennicy PiS chwytają się każdego słowa dr Szweda, gdy ten rozróżnia nieważność postępowania i wyroku wydanego przez neosędziego. Może fakt, że te wyroki nie są od razu nieważne, ale podważalne, powoduje, że nic się nie stało?

Stało się. Jeśli wyrok można podważyć, bo wydał go ktoś powołany w wadliwej procedurze, to znaczy, że PiS popsuł sądownic-

two. Co ci, człowieku, po najlepszym wyroku, jeśli można go podważyć? Jakbyś kupił dom i ktoś by ci powiedział, że kupiłeś go wadliwie, ale nie martw się, jeszcze trochę możesz w nim pomieszkać, to byś był spokojny? Że twoja umowa jest technicznie ważna, ale druga strona będzie mogła ją podważyć i stracisz go, ale dopiero za jakiś czas? Chyba nie.

Ziobro pokazuje zdjęcia

Zbigniew Ziobro w odpowiedzi na wymysły rozumu, czyli opinię biegłego, według której, mimo choroby, może zeznawać, pokazał zdjęcia. A dzisiaj obraz poniżej słowo i odsuwa na bok rozumowe kalkulacje. Widzimy cierpienie i współczujemy. Ziobro nawiązał do patronki świętej wojny emocji z rozsądkiem prawa, czyli uwiedzionej przez agenta Tomka posłanki Beaty Sawickiej.

Tam kobiecie lzy wygrały z zimną Temidą, tu emocja pobiła rozum w sposób oczywisty. Nikt nie zauważa, że zeznawanie przed komisją w sprawie Pegasusa ma doprowadzić do odkrycia prawdy, a więc czegoś, co jest sensem racjonalności. Gdy ktoś tak jak Ziobro odmawia zeznań, emocją umożliwia trwanie kłamstwu.

PAD skarży ustawy o TK do TK

I ostatnia sytuacja, w której emocja zabija rozsądek. Tym razem śmiechem. Prezydent wysłał ustawy, które mają naprawić Trybunał Konstytucyjny, do tegoż Trybunału, żeby sam ocenił, czy jest zepsu-

ty. W efekcie Krystyna Pawłowicz znowu zrobi to, co najbardziej lubi, czyli będzie sędzią we własnej sprawie: oceni, czy legalna jest nowa konstrukcja dyscyplinarek, którym mogłaby za moment podlegać. Równie dobrze można by poprosić jakiś trybunał karpi, żeby oceniły konstytucyjność Bożego Narodzenia.

Duda zakwestionował też przepis, który mówi, że politycy nie mogą od razu być powołani na sędziów TK, tylko muszą odczekać cztery lata. Dlaczego? Bo dotyczy nie tylko posłów i ministrów, ale także jego! A on, jak pisze we wniosku, jako pomazaniec narodu, jest apolityczny! Jakby nawet od razu w maju został sędzią TK, zawsze sądziłby tak, jak nakazuje prawo i sprawiedliwość.

Duda więc to nie tylko świetny kandydat na Kaligulę, który nawet swoje zwierzę domowe może mianować sędzią czy profesorem (jak mówił ostatnio, wskaże po prostu palcem, mówiąc, „ten się nada, ten nie”). To także świetny kandydat na nowego króla Salomona i żadna ustawa nie może mu tego zabronić.

Jak się skończy ta walka emocji z rozsądkiem? Oby nie tak, że Tusk w końcu odwiesi azyle, Kaczyński, bojąc się napływu migrantów zawiesi konstytucję i Tuska, a o tym, czy to wszystko jest legalne, zdecyduje Duda jako nowy prezes TK. A na końcu zdrowy, daj mu Boże, Ziobro, zorganizuje konferencję prasową, i ogłosi, że już nigdy żaden azyl przez tego Tuska nie zostanie odwieszony.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/3433778

ZAMÓW DO 24 PAŹDZIERNIKA

PRENUMERATĘ TECZKOWĄ
NA LISTOPAD
I ODBIERZ DOSTĘP
DO WYBORCZA.PL*

CENA
159,90 ZŁ
**GWARANCJA
NAJNIŻSZEJ
CENY****

CODZIENNIE



* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu:

1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy.

** Cena sugerowana

Raport o poglądach i wyborach Polaków

A NA KOŃCU
WYGRYWA BOSAK?Wchłonięcie Lewicy i Trzeciej Drogi może zaprowadzić KO tam, gdzie dziś jest PiS,
czyli do partii bez zdolności koalicyjnej.

Przemysław Sadura, Sławomir Sierakowski

W rok od wyborów 15 października 2023, gdy siły demokratyczne odsunęły PiS od sterów państwa, przeprowadziliśmy badania, które pokazują kondycję rządu i opozycji z perspektywy nie liderów, ale wyborców.

Podobnie jak w zeszłorocznym „Społeczeństwie populistów” nie chcieliśmy ocenić rządzących – to robią prasa i eksperci – ale dowiedzieć się, jak rządzenie i zachowanie opozycji wpłynęły na nastroje w społeczeństwie. Zazwyczaj zapowiadają zmiany poparcia, które mogą się przełożyć na szersze procesy polityczne, a finalnie – na dalszy kurs kraju.

Całość przedstawiamy w 9 tezach odzwierciedlających najważniejsze ustalenia sondażu i wywiadów grupowych, które przeprowadziliśmy z każdym z elektoratów: 1. Dziś wygrałoby populiści. 2. Koalicja Obywatelska i Konfederacja zyskują fanatycznych wyborców. 3. Selektywny liberalizm KO i selektywny konserwatyzm PiS. 4. Rekordowy przepływ elektoratów – rozbiór Trzeciej Drogi. 5. Konfederacja na drodze do 20 proc. poparcia. 6. PiS nie traci wyborców cynicznych. 7. Kryzys przywództwa na Lewicy i w Trzeciej Drodze. 8. Kryzys identyfikacji z rządem. 9. Trzaskowski na autostradzie do prezydentury.

TEZA 1

Dziś wygrałoby populiści

W kraju o skrajnej polaryzacji wybory wygrywa się przez lepszą niż przeciwnik mobilizację swoich wyborców, bo niewielu da się odebrać drugiej stronie. Jak zatem zmobilizowani są dziś Polacy?

Zapewnienia ankietowanych, jak licznie poszliby w momencie przeprowadzania badań do wyborów, to puste słowa, bo zawsze chodzą znacznie mniej licznie. Obecnie chęć udziału w wyborach deklarują blisko 2/3 badanych, z czego 56 proc. jest zdecydowanie przekonane, że by głosowało. Jednak frekwencja w Polsce ma to do siebie, że znacząco rośnie w deklaracjach przed głosowaniem i po nim. Spada za to w wyborcze niedziele. Żeby oszacować realny wynik, należy sprawdzić, jak wyglądały poprzednie deklaracje.

W badaniu przed wyborami do Parlamentu Europejskiego zdecydowaną wolę udziału deklarowało 48 proc. ankietowanych. Realna frekwencja wyniosła 40,65 proc. Gdyby założyć, że z podobną luką mamy do czynienia i tym razem, do urn poszłoby 47-48 proc. uprawnionych i byłaby to jedna z najniższych frekwencji w wyborach parlamentarnych ostatnich 20 lat. Rekordowa, prawie 75-procentowa mobilizacja wyborcza, spadłaby w ciągu roku o ponad 1/3. To najlepiej pokazuje skalę demobilizacji wyborczej.

Motywacja do głosowania jest tym większa, im gorzej ktoś ocenia sytuację w kraju, a myślom o wydarzeniach w Polsce towarzyszą negatywne emocje. Odsutek chcących głosować jest wysoki (73 proc.) wśród osób, dla których PiS jest partią pierwszego wyboru lub którym zdarza się pokłócić na tematy polityczne ze znajomymi czy członkami rodziny (71 proc.). Jaki elektorat tym razem zostałby w domach? dokładnie ci, którzy przesądzi o wyniku październikowych wyborów. A więc: młodzi, kobiety młode i w średnim

34

PROC.

• wyborców Konfederacji poparłoby Trzaskowskiego, gdyby drugą opcją w wyborach prezydenckich była kobieta z Lewicy



RYS. TOMASZ WAWER

wieku, mieszkańcy i w szczególności mieszkanki wielkich miast, zwolennicy partii demokratycznych liczący na spełnienie wyborczych obietnic, m.in. w zakresie praw kobiet. Wynik wyborów byłby więc diametralnie inny niż w 2023 roku. 15 października okazałby się jedynie odchyleniem od populistycznej normy.

A jak rozkładają się głosy poparcia dla poszczególnych partii? Na KO chce głosować 28 proc. – to oznacza różnicę w stosunku do PiS (30 proc.) w granicach błędu statystycznego – równie dobrze to KO mogłaby być na pierwszym miejscu, co jednak nie przekułoby klęski w sukces, bo Konfederacja dogoniła łącznie poparcie Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi. Dodatkowo wśród tych, którzy nie wiedzą, na kogo głosować, przeważają zwolennicy PiS.

TEZA 2

Koalicja Obywatelska i Konfederacja zyskują fanatycznych wyborców

Badania w ostatniej dekadzie pokazywały, że KO (wcześniej PO) ma elektorat słabo przywiązany. Najczęściej mówiono: „mniejsze zło” albo „anty-PiS”, co podkreślało z jednej strony rozmytą tożsamość partii, kiedyś neoliberalną i konserwatywną, później ewoluującą w stronę liberalnej, a z drugiej strony słabą identyfikację wyborców z partią. Spoiwem KO był PiS.

Dziś PiS jest spoiwem rządu – ale już nie KO. Przełomem w budowie silnej identyfikacji z partią okazał się Donald Tusk. Polityk, który długo miał wysoki elektorat negatywny, pokazał, że można to przezwyciężyć i dać drugie życie partii, którą dwie dekady temu zakładał. KO może się dziś pochwalić tym, co wyróżniało PiS, czyli mocnym zakorzenieniem w społeczeństwie, a więc żelazną bazą wyborców.

Lecz jeszcze większym zaskoczeniem jest jednak to, że taką samą bazę zbudowała Konfederacja, dotąd określana jako niespójna konstelacja rozmaitych środowisk. W szczegółach wygląda to tak:

PiS wciąż wyróżnia się wysokim odsetkiem (55 proc.) żelaznego elektoratu, włączając w to aż 33 proc. tych, którzy za partią Jarosława Kaczyńskiego gotowi są pójść w ogień. To zapewne oni z dnia na dzień przenieśli się z TVP Info do TV Republika. To przede wszystkim wyborcy 60-letni i starsi.

KO cieszy się tym samym wynikiem (choć wyrażnie mniej ma najbardziej fanatycznych wyborców, co tłumaczyć można tym, że nie jest to partia kwestionująca cały porządek polityczny, obalająca III Rzeczpospolitą albo oddziaływająca na emocje retoryką wojenną – choć Tusk zaczął mówić o „demokracji walczącej”, wyczuwając emocje elektoratu).

Absolutnym liderem staje się Konfederacja (62 proc.), jeżeli połączymy wyborców utożsamiających się z partią w bardzo dużym i dużym stopniu.

Elektorat Trzeciej Drogi wyraźnie różni się od pozostałych. Tylko 7 proc. wyborców w bardzo dużym stopniu czuje się z nią związane, a co trzeci (34 proc.) w dość małym lub bardzo małym stopniu. Wyborcy PSL utożsamiają się ze swoją partią, a nie szyldem Trzeciej Drogi. Partia Szymona Hołowni jest zaś zbyt nowa, aby stać się podstawą budowania tożsamości politycznej. To sprzyja odpływowi wyborców do innych partii; jeśli trend miałby trwać, to byłoby to przede wszystkim przechodzenie z jednej strony do KO, a z drugiej do Konfederacji.

TEZA 3

Selektywny liberalizm KO i selektywny konserwatyzm PiS

W wywiadach zwolennicy PiS akcentują marzenie o Polsce suwerennej i nowoczesnej technologicznie, z rozbudowaną infrastrukturą (CPK, elektrownia atomowa).

- Chciałbym, żeby Polska była wiodącym krajem w Europie. Żebyśmy dogonili Niemców, Francuzów, żebyśmy nie musieli jeździć na saksy, byli traktowani podmiotowo. Żebyśmy mieli silną armię, dobrze strzeżoną granicę i dobrą politykę społeczną.
- Dodałabym zreformowaną służbę zdrowia.
- Żebyśmy byli jak najbardziej samowystarczalni.
- Żebyśmy dobrze zarabiali, żeby stać nas było na zrealizowanie planów życiowych.

PiS_Lublin1

Błędne jest postrzeganie elektoratu PiS jako takiego, który odrzuca nowoczesność jako taką i nie pragnie postępu. Już badania Macieja Gduli z 2017 r. „Dobra zmiana w Miastku” pokazały, że elektorat PiS postrzegał Kaczyńskiego jako nowoczesnego i zachodniego, transfery społeczne, jak 500+, odbierano bowiem jako krok w stronę standardu zachodnioeuropejskiego. Nasze badania to potwierdzają. Jednocześnie, gdy badaliśmy emocje związane z obecną sytu-

Wyborcy PiS o Kaczyńskim wypowiadają się z szacunkiem, ale bez entuzjazmu, jak o kimś bardzo zasłużonym, na którego odejście czeka się jednak już od pewnego czasu

acją w Polsce, okazywało się, że zwolennicy PiS znacznie częściej niż inni mówią o zdenerwowaniu, frustracji, gniewie oraz strachu. Te emocje mają moc mobilizowania do walki i do udziału w wyborach.

A jakiej Polski chcą warszawscy wyborcy KO? Świeckiej, z prawem do aborcji i równością małżeńską, odnawialnymi źródłami energii, bezpłatnym transportem, czystym powietrzem i zielenią. Jednocześnie ma to być kraj bez Ukraińców i nielegalnych imigrantów, bez „socjału dla patusów”, „bez pisiorów”. Chcą „państwa będącego jednym z liderów Unii”, którego „mieszkańców stać na zakup mieszkań”. Liberalizm wyborców KO jest selektywny. Może być afirmatywny wobec praw jednej grupy (kobiety) i dyskryminujący inną (uchodźcy, imigranci). Nie brakuje języka nienawiści, choć mniej obecnego niż w elektoracie PiS.

Polska waszych marzeń za 20 lat czym się różni od Polski dzisiaj?

- Ja powiem wprost: to jest Polska bez Ukraińców.
- Tak, bez nielegalnych imigrantów, bez tych z Bliższego Wschodu, z Afryki, bez nich wszystkich.
- I bez socjału!!!
- Ale plus prawa kobiet.
- Małżeństwa dla par homoseksualnych.
- Czyste powietrze, dostęp do zieleni.
- Wyższe wynagrodzenia, lepsze warunki dla przedsiębiorców.
- Bezpłatny transport.
- Tolerancyjność.
- I szacunek dla drugiego człowieka plus tolerancja na każdym polu.
- Bez podziałów, bo jak dzieje się tragedia w naszym kraju, to można przez dwa miesiące być zżytym, wszyscy razem chodzą, przytulają się, śpiewają.
- Wyobrażam sobie Polskę jako jeden z liderujących Unii krajów.
- Ze źródłami odnawialnymi energii i nadal z niskim bezrobociem.
- Z możliwością dla każdego normalnie pracującego człowieka kupna sobie mieszkania lub domu.
- W PRL człowiek dostawał mieszkanie i mógł mieszkać i rozwijać się zawodowo.
- Teraz musi brać kredyt.
- Jak mu go dadzą.

KO_Warszawa1

Gdyby wybory odbyły się w okresie badania, trzecią siłą w parlamencie byłaby Konfederacja. Konfederacji już około dwukrotnie powiększyli poparcie z jesieni, a obecne wyniki sondażowe są bliskie najlepszym notowaniom partii Bosaka i Mentzena z przeszłości. Wzrost głosów tym razem ma jednak zdecydowanie inny charakter i nie powinien być lekceważony.

Poparcie dla Konfederacji najlepiej objaśniają wiek i płeć wyborców. W grupie osób przed czterdziestką to ugrupowanie cieszy się najwyższym poparciem, wśród dwudziestolatków deklaruje rywali (37 proc. poparcia wśród chcących głosować w tej grupie wiekowej, druga KO – 23 proc.). Co drugi (!) wyborca – mężczyzna przed czterdziestką – (a tylko co dziewiąta kobieta) popiera Konfederację.

Konfederacja miała już tak wysokie wyniki wiosną ubiegłego roku. Wtedy na chwilę przyciągnęła „nie swój” elektorat – młodych liberalnych mężczyzn i kobiety, których zwabiły kwestie podatkowe. Składał się z osób, które były zbyt prounijne, proklimatyczne, tolerancyjne i liberalne światopoglądowo, aby utrzymać się przy partii Bosaka i Brauna. Kiedy media przyjrzały się partii i zaczęły przypominać kontrowersyjne wypowiedzi liderów, nowi wyborcy zorientowali się, kogo popierają, i notowania wróciły do punktu wyjścia. Tym razem wzrost poparcia może być dużo trwalszy. Konfederacja zbiera wyborców rozzaczarowanych z różnych powodów PiS.

Do Konfederacji przechodzą już wyborcy Trzeciej Drogi, która okazała się częściowo partią sezonową. Obecnie szukają partii bardziej wyrazistej w artykułowaniu poglądów. To więc elektorat konserwatywny, spójny z wartościami Konfederacji, który tak łatwo od niej nie odejdzie, o ile liderzy powstrzymają się od wypowiedzi radykalnych, ośmieszających i dyskredytujących ją w oczach nowych wyborców.

• **Raport przygotowany przez „Instytut Krytyki Politycznej”**

Wyborcy Bosaka i Mentzena chcą Polski silnej, wolnej i bezpiecznej: „Mocne granice. Nie może do nas wlecieć żaden pocisk, dostać się żadna osoba”. Ich zdaniem bezpieczeństwu i wolności zagrażają uchodźcy („wzrost wypadków na drogach to jest ich wina”) oraz Unia Europejska: „Potrzebna jest większa wolność, bo zakaz wjeżdżania do Warszawy autem, budowanie domów tak, jak chce Unia, to nie jest żadna wolność. Nie każdego na to stać”. Polska ma pozostać w Unii, ale na warunkach takich, jak z okresu, kiedy do niej wchodziliśmy (nie być płatnikiem netto; nie musieć spełniać wymogów dotyczących relokacji uchodźców, nie wprowadzać Zielonego Ładu itd.).

Jak oceniacie bieżącą sytuację w kraju?

- Wszystkich dotyka wysoka inflacja. Wiele mikrofirm upadło, większe sobie poradziły. Wysokie ceny. Masło, chleb, jajka za horrendalne sumy.
- Rynek mieszkaniowy. Znajomi w Europie, tam, gdzie jest euro, płacę mniej za wynajem niż my. Wiele młodych osób chciałoby mieć mieszkanie.
- Kiedyś baliśmy się, że dostaniemy w mordę od kibola, a teraz może się okazać, że kibole cię uratują, jak wyskoczy na ciebie imigrant z nożem.
- Ceny zakupu są pokręcone, nie tylko najmu. Imigranci, nie tylko z Ukrainy, ale i z Bangladeszu. Zaczyna być niebezpiecznie.

Konfa_Warszawa2

Emocje, które odczuwają jej wyborcy, to podobnie jak w przypadku PiS mieszanek rozgoryczenia, złości, frustracji i strachu. Mieszanek nie tylko wybuchowa, ale także mobilizująca, żeby angażować się politycznie. Obie partie typowane są jako alternatywna dla rządzącej koalicji.

Gdybyśmy mieli w skrócie opisać Lewicę, to jest ona kobietą. O ile jednak wcześniej była pierwszym wybo-

rem najmłodszych kobiet, o tyle spadła w tej grupie na drugie miejsce, z wyraźnym dystansem do KO. Zmiana proporcji nie wynika jednak z tego, że tak wiele z nich przeszło z Lewicy do partii Tuska. One wycofały się z życia politycznego. To cena za wejście Lewicy do koalicji rządzącej, która nie usatysfakcjonowała młodych kobiet. Wiele z nich, które pierwszy w życiu wyborczy głos oddały Lewicy, poczuło się na tyle zawiedzionych, że tym razem wolą zostać w domach.

Nadal prawdziwa jest też zależność, zgodnie z którą 30-latki w porównaniu z 20-latkami znacznie rzadziej wybierają lewicowy szyld. Lewicowi wyborcy i wyborczynie to bowiem nie tylko studentki z wielkich miast, domagające się prawa do aborcji i tolerancji dla osób LGBT. To także mieszkanki i mieszkańcy mniejszych ośrodków. Wyborcy Lewicy we Wrocławku, gdzie prowadziliśmy nasze badania jakościowe, obok praw kobiet przypominają o innych tradycyjnie lewicowych postulatach.

O czym marzą wyborczynie i wyborcy Lewicy w średniej wielkości mieście? O społeczeństwie, w którym „ludzie są bardziej życzliwi i uśmiechnięci, bo mają więcej czasu dla rodziny, a mniej pracy”. Wyrażnie artykułują odrzucenie „kultury zapierdolu”. Jeśli chcesz pracować, bo chcesz mieć coś więcej, to twoja sprawa. Nie chcesz, to nie, i pracujesz niezbędne minimum. No i oczywiście, żeby PiS więcej nie rządził.

- Praca.
- Godna płaca za dobrą pracę.
- Żeby nie pracować całe dni za grosze.

Lewica_Włocławek2

Widać więc, że o ile najbardziej charakterystycznym tematem dla zwolenniczek i zwolenników Lewicy są prawa kobiet, o tyle drugim jest praca. Uważają, że świadczenia typu 800 plus wypłacać należy tylko osobom aktywnym zawodowo (co postulują elektoraty wszystkich partii). Dostrzegają w ostatnich latach rozbudowę infrastruktury komunikacyjnej, budowę bloków z mieszkaniami pod wynajem, ale mówią także o wyższych kosztach życia, wydłużeniu się kolejek do lekarza oraz wysokich cenach leków w aptekach. Najważniejsze emocje wyrażające ich stosunek do sytuacji w Polsce to: bezradność, smutek i rezygnacja.

Trzecia Droga ma najbardziej sprofilowany elektorat. Jeśli ktoś prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą lub zajmuje się rolnictwem, to ze znacznie wyższym prawdopodobieństwem zagłosuje na PSL i Polskę 2050 niż na inne partie. To obok konserwatywnych wartości jedna z niewielu cech, które zbliża PSL i Polskę 2050.

Dla zwolenników PSL Polska przyszłości ma być spokojna, co przypomina przysłowie: „Wsi spokojna, wsi wesola”. Władza jest otwarta na ludzi i skupio-

na na zaspokajaniu ich potrzeb. Społeczeństwo nie powinno być naznaczone podziałami społecznymi i konfliktami politycznymi. Emocje, które odczuwają, gdy myślą o obecnej sytuacji, to niepewność, rozczarowanie niespełnionymi obietnicami (zwłaszcza powstrzymania napływu taniej żywności z Ukrainy), lęk dotyczący gospodarki.

Rozczarowanie?

– Tak.
– Tak walczyli o to, że nie ma być tych produktów z Ukrainy. Ale teraz jest to samo, ale po cichu, jako rolnik to wiem. Dlaczego maliny skupują co drugi dzień? Bo jest ze wschodu, zmieszają z naszymi i mamy polską malinę.
– Z jakiego rzepaku jest olej?
– Nie wiem, po co tę żywność z Ukrainy ściągają. Jedyne, co może, to chcieli obniżyć ceny, niech lud się cieszy, bo chleb, olej jest trochę tańszy. A nikt nie zdaje sobie sprawy, jak to jest zrobione, opryski. Wykończą polskie rolnictwo, nie będzie polskiego zboża, będzie uzależnienie.

PSL_Lublin2

Z kolei wyborcy Polski 2050 chcą Polski tolerancyjnej, z ustabilizowanym systemem prawnym, rozdziałem Kościoła od państwa, z prawami kobiet, łącznie z legalną aborcją. Kraju, w którym dobrze funkcjonują usługi publiczne, z ochroną zdrowia i oświatą na czele. Towarzyszące im emocje to rozczarowanie, bezradność, frustracja, żal, zawieszone nadzieje („i taka pustka, chciałibyśmy, aby to było, a tego nie ma”). Są rozczarowani brakiem zmian w sferze kulturowej i gospodarczej:

– Mówienie o tym, że rodzina to tylko kobieta i mężczyzna, a wszystko inne to dewiacja, to jest dramat, brak tolerancji. Zaczyna się znowu uczenie dzieci, że ten jest fajny, a ten be, i to mi się bardzo nie podoba, a czym skorupka za młodu nasiąknie, to wiadomo.

PL2050_Włocławek

– Gdybyśmy nie byli w UE, to byłibyśmy w czarnej „d”, bo partia PiS nas cofnęła. Państwa europejskie po covidzie się rozwijają. Mam w Holandii mamę i brata, Holandia dostała ogromną pomoc w formie kredytów nisko oprocentowanych i inwestują w nowoczesne technologie, w IT, w przemysł. Tam ważny jest człowiek, potencjalny podatnik.

PL2050_Włocławek

Ci wyborcy mocno wierzą w to, że Polacy są pracowici i zaradni, bardziej nawet niż inni Europejczycy. W Polsce – jak mówią – każdy zwykły Kowalski buduje tę nowoczesną Europę, u nas, tu, na dole, a nie dzięki politykom. Co prowadzi ich do wątpliwości, czy politycy i rząd są nam w ogóle potrzebni. To z kolei, gdyby rozczarowanie rosło, może niektórych zbliżyć do partii, która chce radykalnie ograniczyć wpływ państwa, czyli Konfederacji. Przy tym Hołownia, który ma coraz bardziej wizerunek polityka zachowawczego i konserwatywnego, przestaje spełniać oczekiwania własnej bazy wyborczej, znacznie bardziej liberalnej światopoglądowo.

Konkluzja: widać, że Polacy często oceniają rząd bez świadomości jego ograniczonych możliwości zmieniania prawa ze względu na blokady pozostawione przez PiS: wetującego lub osyłającego do Trybunału Konstytucyjnego ustawy prezydenta, pozostawionego przez władzę kryzysu wydatków publicznych, dualizmu prawnego.

TEZA 4

Rekordowy przepływ elektoratów – rozbiór Trzeciej Drogi

Blisko 1/3 osób deklarujących chęć głosowania w najbliższych wyborach zagłasowałaby dziś inaczej niż jesienią. W naszych wcześniejszych raportach taka skala przepływów dotyczyła procesów liczonych w latach; obecnie, po roku od wyborów, niemal co trzecia wyborczyni i co trzeci wyborca zmienili sympatie. Dodatkowo blisko 11 proc. nie wie, na kogo oddać głos. Podsumowując, sporo ponad połowa Polek i Polaków zachowa-

wałaby się dziś zupełnie inaczej niż rok temu. Dotyczy to przede wszystkim zwolenniczek i zwolenników partii demokratycznych.

Najbardziej zdyscyplinowany jest elektorat Konfederacji (61 proc. głosujących na nią w 2023 r. chce dać jej głos obecnie) i PiS (59 proc.). W przypadku KO i Lewicy zaledwie co drugi ich wyborca z 2023 r. chciałby potwierdzić swój wybór. Gdyby w III RP źródłem mandatu do sprawowania władzy były sondaże i obecna opinia społeczna, te liczby oznaczałyby daleko idącą delegitymizację koalicji rządzącej.

PiS i Trzecia Droga niemal nie zyskują wyborców z innych kierunków. Różnica między oboma elektoratami jest taka, że wyborcy TD odpływają w najróżniejszych kierunkach – do KO (7 proc.), Konfederacji (6 proc.), a nawet Lewicy (4 proc.), zaś „niełojalni” wyborcy PiS zasilają jedynie szeregi Konfederacji (6 proc.). Nasi rozmówcy popierający PiS, ze średniej wielkości miast, tym razem nie wydawali się ślepo zakochani w partii i jej liderze. Połowa deklarowała umiarkowaną, a połowa silną identyfikację z partią. W ostatnich wyborach głosowali na PiS, ale obecnie połowa waha się między PiS a Konfederacją. Dwie osoby wskazują też PSL jako partię drugiego wyboru.

Co ich oddala od PiS? Konfederacja to także partia prawicowa, najbardziej niechętna imigrantom, która – jak sądzą – reformuje socjal tak, aby był tylko dla pracujących i płacących podatki Polaków. Do PiS mają żal o afery i niedotrzymanie obietnic (np. rozliczenia poprzedników), pompowanie absurdałnej ideologii smoleńskiej i osoby Antoniego Macierewicza.

Czemu tylko średnio utożsamiacie się z partią?

– Bo mam do nich sporo żalu, np. o te afery, sporo tego wyszło. Mam sporo żalu, że PiS był antyimigrancki, a tak naprawdę dużo imigrantów wpuścił. Że nie rozliczył poprzedniego rządu, a szedł z tym hasłem do wyborów. Natomiast postrzegam PiS jako najlepszą alternatywę z tego, co jest na scenie politycznej.
– Podobnie, średnio, nie ma lepszego wyboru. Ale nie wszystko, co robili, jest dobre. Jest kilka osób, które powinny zejść z piedestału, np. Macierewicz, które powinny odejść, psują im PR.

– Podobnie, nie mogę już słuchać o zamachu smoleńskim, nie podoba mi się, że PiS układał się z ojcem Rydzykiem, Kościołem.

PiS_Lublin1

Wniosek? Konfederacja ma bazę, która trwrdnieje i może liczyć na dopływ nowych sił. To zagrożenie nie tylko dla demokracji liberalnej, ale także dla PiS. Przy poważnym kryzysie partii znaczna część wyborców może przejść do Konfederacji.

Po Konfederacji nowych wyborców najsukuteczniej przyciąga KO (m.in. spośród wyborców Lewicy i Trzeciej Drogi), traci jednak bardzo wielu, którzy gotowi są zostać w domu. W zasadzie wszyscy nasi rozmówcy z wywiadów grupowych, którzy zagłosowali za Trzecią Drogą, negatywnie postrzegają PSL, mają partię drugiego wyboru w postaci KO i Lewicy.

Pytani o ideał polityka, zaczynają od Hołowni, ale wolą szukać dalej, rozważając Tuska, Trzaskowskiego, a nawet dawnych liderów SLD. Antywzorem są Paweł Kukiz i Jarosław Kaczyński. Chociaż wyborcy są raczej przywiązani do swojej partii (deklarują mocne 4 w skali 1-5) i lubią jej lidera, to równie mocno identyfikują się z rządem i uważają, że idealnym kandydatem całej koalicji na prezydenta jest Trzaskowski i wszystkie partie powinny go poprzeć już w pierwszej turze. To czarna polewka dla Hołowni. Można zakładać, że wybór Trzaskowskiego na prezydenta da mu możliwość jednoczenia bloku demokratycznego porównywalne z tym, którym dysponuje teraz Tusk: symboliczne lub przy większym zaangażowaniu w (ponad) partyjną politykę prezydenta – rzeczowyście. Podczas badań fokusowych symptomaticzne było zachowanie wyborczyń i wybor-

■
Tym razem w domach zostaliby: młodzi, kobiety młode i w średnim wieku, mieszkańcy i w szczególności mieszkanki wielkich miast. Dokładnie ci, którzy przesądziłi o wyniku wyborów 15 października 2023

ców Lewicy. Kobiety - 2/3 grupy fokusowej we Włocławku - w połowie przypadków deklarowały, że zostaną przy Lewicy:
– Ja też na Lewicę głosowałam, argumenty jak każda kobieta, a mam też córkę.

Lewica_Włocławek2

Jednak inne przechylały się ku KO, bo wiedzą, że ona też opowiada się za prawem do aborcji, a jest większa i skuteczniejsza. Twierdziły również, że kandydat, a tym bardziej kandydatka Lewicy, nie mają szans, i od razu zagłosują na Trzaskowskiego.

To nic innego jak wchłanianie przez KO elektoratów koalicyjnych partnerów, tzn. Lewicy i Polski 2050 (ale nie PSL). Jeśli na scenie pozostanie tylko PiS i KO, to może się okazać, że jeszcze bardziej wzrośnie atrakcyjność Konfederacji. W naszych badaniach we Włocławku dwóch młodych mężczyzn głosujących na Lewicę optowało za tym, żeby tym razem postawić na Konfederację. Tłumaczyli, że do Lewicy blisko im światopoglądowo, ale zniechęcają ich niektóre polityczki, zaś do Konfederacji zbliżają ich kwestie gospodarcze i podatkowe. A więc Lewica ma nie ten elektorat, który by chciała mieć, czyli nie socjalny, ale neoliberalny (trzymając go przy Lewicy kwestie kulturowe). Niezbyt wiele ma zaś tego, do którego się odwołuje, czyli socjalnego (pozostaje przy PiS).

Marcin, zacznij.

– W poprzednich wyborach głosowałem na Lewicę. Teraz tobym postawił krzyżyk na całą kartkę. Natomiast było kiedyś tak, że gdzieś z tyłu głowy wychodziła mi Konfederacja.

Co cię ciągnęło do Konfederacji?

– Raczej kwestie gospodarcze, bo sam chciałem iść na swoje w 100 procentach, i uwzględnienie tam własnej działalności gospodarczej, co większość opcji politycznych raczej traktuje po macoszemu.

A do Lewicy co cię przyciągnęło?

– Wszystkie światopoglądowe sprawy.

Ale jesteś trochę rozczarowanym wyborcą Lewicy?

– Trochę tak. Są na pewno też osoby w Lewicy, które karykaturalnie wpływają na tę partię, np. pani Anna Maria Żukowska, której osobiście słuchać nie mogę.

Okej. Rafał?

– U mnie standardowo ze skrajności w skrajność. Glosowałem na Lewicę, chociaż są tam osoby, które mnie denerwują, jak ta Żukowska, nie da się tego słuchać. Poza Lewicą, to właśnie Konfederacja, ale nie światopoglądowo [...] Tak jak krzyczą dzisiaj o uproszczeniu podatków, to mnie się to też wydaje potrzebne, a prowadzę klub, to wiem, ile trzeba się nakombinować, aby wszystko miało ręce i nogi. Ja pod tym kątem podatkowym takim.

Lewica_Włocławek2

Można odnotować zauważalny wpływ jesiennych wyborców Lewicy do KO (9 proc.). Co interesujące, to głównie osoby po 60., a nawet 70. roku życia, a więc resztki elektoratu postkomunistycznego, który jeszcze nie przerzucił poparcia na partię Tuska, a nie np. młodsze kobiety upatrujące w partii Tuska i Trzaskowskiego skuteczniejszej

siły mogącej zagwarantować liberalizację praw reprodukcyjnych. To potwierdza tezę, że duża część młodych wyborczyń Lewicy nie zmieniła poglądów, tylko rozczarowana nowym rządem wyłączyła się z polityki.

Wysoki odsetek wyborców poszczególnych partii twierdzi, że tym razem nie zagłosuje; szczególnie duży w elektoracie KO i Lewicy.

TEZA 5

Konfederacja na drodze do 20 proc. poparcia

Zagadnienie przepływów elektoratów jest powiązane z siłą identyfikacji wyborców z poszczególnymi szyldami. Poglębiliśmy ten wątek, pytając respondentów, czy dana partia jest taką, na którą: respondent najprawdopodobniej zagłosuje (partia pierwszego wyboru); w pewnych okolicznościach mógłby zagłosować (partia drugiego wyboru); nigdy nie zagłosuje (partia odrzucana).

Największy łączny społeczny zasięg ma obecnie KO, na którą chce głosować lub w pewnych okolicznościach dopuszcza zagłosowanie 53 proc. badanych. KO charakteryzuje się też stosunkowo najmniejszym odsetkiem osób skreślających ją z listy opcji (47 proc.). Tak wysoki pułap powoduje, że jej strategia topniowego wchłaniania elektoratów Lewicy i Polski 2050 może się wydawać racjonalna. W praktyce jednak osiągnięcie całkowitego potencjalnego zasięgu raczej się nie zdarza. Na drodze stanie nie tylko odporność PSL, ale też wzrost atrakcyjności Konfederacji. A KO z Konfederacją koalicji nie stworzy. Wchłonięcie Lewicy i Trzeciej Drogi może zaprowadzić KO tam, gdzie dziś jest PiS, czyli do partii bez zdolności koalicyjnej.

Pułap PiS to 45 proc. W porównaniu z KO znacznie mniejszy odsetek osób spoza ścisłego grona wyborców dopuszcza głosowanie na partię Kaczyńskiego. PiS ma też wysoki – choć nie najwyższy – elektorat negatywny (55 proc.). To powoduje, że w najbliższym czasie PiS nie może liczyć na poparcie gwarantujące samodzielne rządy.

Społeczny zasięg Konfederacji jest niemal równie wysoki jak PiS, jednak tę partię traktuje jako najważniejszą znacznie mniej, bo 17 proc. badanych. Znacznie więcej, bo 26 proc., dopuszcza oddanie na nią głosu.

W przypadku Lewicy i Trzeciej Drogi elektorat podstawowy jest tylko niewielką częścią (Lewica – 25 proc., Trzecia Droga – ok. 15 proc.) elektoratu całkowitego. Trzecia Droga ma łączny pułap niemal tak wysoki jak KO, problem w tym, że koalicja Hołowni i Kosiniaka-Kamysza nie daje sympatykom wystarczająco dobrego powodu, by zagłosować właśnie na nią, a nie na inne szyldy (głównie KO). Podobne wyzwanie cechuje Lewicę – ma w orbicie aż 40 proc. badanych, ale 3/4 tej grupy uważa, że są lepsi reprezentanci tych samych wartości i interesów. Lewica ma ponadto największy elektorat negatywny (aż 60 proc.), co oznacza wzrost o 14 proc. od naszych ostatnich badań (kwiecień 2024, „Społeczeństwo populistów”). Być może płaci cenę za podjęcie ważnych, ale polaryzujących tematów, których nie dowiozła (np. dekryminalizacja aborcji).

Równie duży wzrost elektoratu negatywnego (15 proc.) zanotowała Trzecia Droga. Jeszcze w kwietniu dobrze się zapowiadała (udany start Hołowni w roli medialnego marszałka Sejmu), dziś dryfuje w poszukiwaniu utraconej tożsamości.

■
Ciekawe z punktu widzenia przepływu elektoratów jest sprawdzenie, kogo i jak często umieszczają na drugim miejscu wyborcy. Może to być przesłanką do przewidywań, jak może się rozwijać poparcie Polaków w kontekście możliwej dezintegracji Trzeciej Drogi czy wyjścia Lewicy z koalicji rządzącej. Blisko 60 proc. wyborców PiS w pewnych okolicznościach mogłoby zagłosować na Konfederację i vice versa. Wspólną platformą jest eurosceptycyzm i obyczajowy konserwatyzm. Obie partie mogą licytować tymi kartami. Z tej perspektywy włączenie Solidarnej Polski za wysoką cenę (miejsc we

władzach partii i frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w PE) do PiS wydaje się oczywistym posunięciem Kaczyńskiego i ma charakter defensywny (wobec Konfederacji), a nie ofensywny (wobec rządu, SP obciążają przecież afery jeszcze bardziej niż PiS). Mamy do czynienia z sytuacją, w której nagłośnienie afer i nadużyć PiS z czasów sprawowania rządów powoduje, że przepływ może być raczej jednokierunkowy, w stronę Konfederacji. Wyborcy PiS pytani o ulubionego polityka najczęściej wskazują Krzysztofa Bosaka. Czyli to on powinien być twarzą Konfederacji, jeśli ma przyciągać wyborców.

Sluchajcie. Był Bosak, ale nikt nie mówił o Mentzenie.

– Mentzen to taki youtuber troszeczkę.
– On strasznie jest popularny. Dziś na YouTube wyciągnie te swoje filmiki i on to jest facet, który gdzieś tam moim zdaniem ma takie podejście, że jak nie masz kasy, to zdychaj pod mostem. Jak w Stanach.

W waszych oczach lepiej dla Konfederacji, gdyby ich kandydatem był Bosak?

– Bałbym się mieszkać w kraju, kiedy Mentzen by wrzucił te wszystkie jego pomysły, które on w teorii wypowiada. Chciałbym zobaczyć, jak on w praktyce je wprowadza, tak? A ludzie, jak, nie wiem, starsi czy niedołęzni, to mieliby bardzo ciężko.

PiS_Lublin1

O Kaczyńskim wypowiadają się z ostrożnym szacunkiem, ale bez entuzjazmu, jak o kimś bardzo zasłużonym, na którego odejście czeka się jednak już od pewnego czasu.

– Kaczyński? Można go nie lubić, ale cenię go za to, że zawsze mówi to, co myśli, o tak!
– Jest patriotą, ale myślę... Ech. Myślę, że to czas, gdy... no powinien zejść ze sceny.

PiS_Lublin1

Elektoraty obu partii coraz bardziej oswajają się z przyszłym koalicyjnym rządem PiS-Konfederacja.

– Zależy, kto by się dostał z PiS. Jeżeli dostaliby się młodzi ludzie, którzy mają otwarte umysły, chcący współpracować, a nie tylko ci starzy, co ich afery obciążają, to można by było.
– Tylko żeby to nie był dodatek.
– Konfederacja musiałaby za coś odpowiadać, za coś ważnego.

Musiałaby być partnersko traktowana?

– Tak.

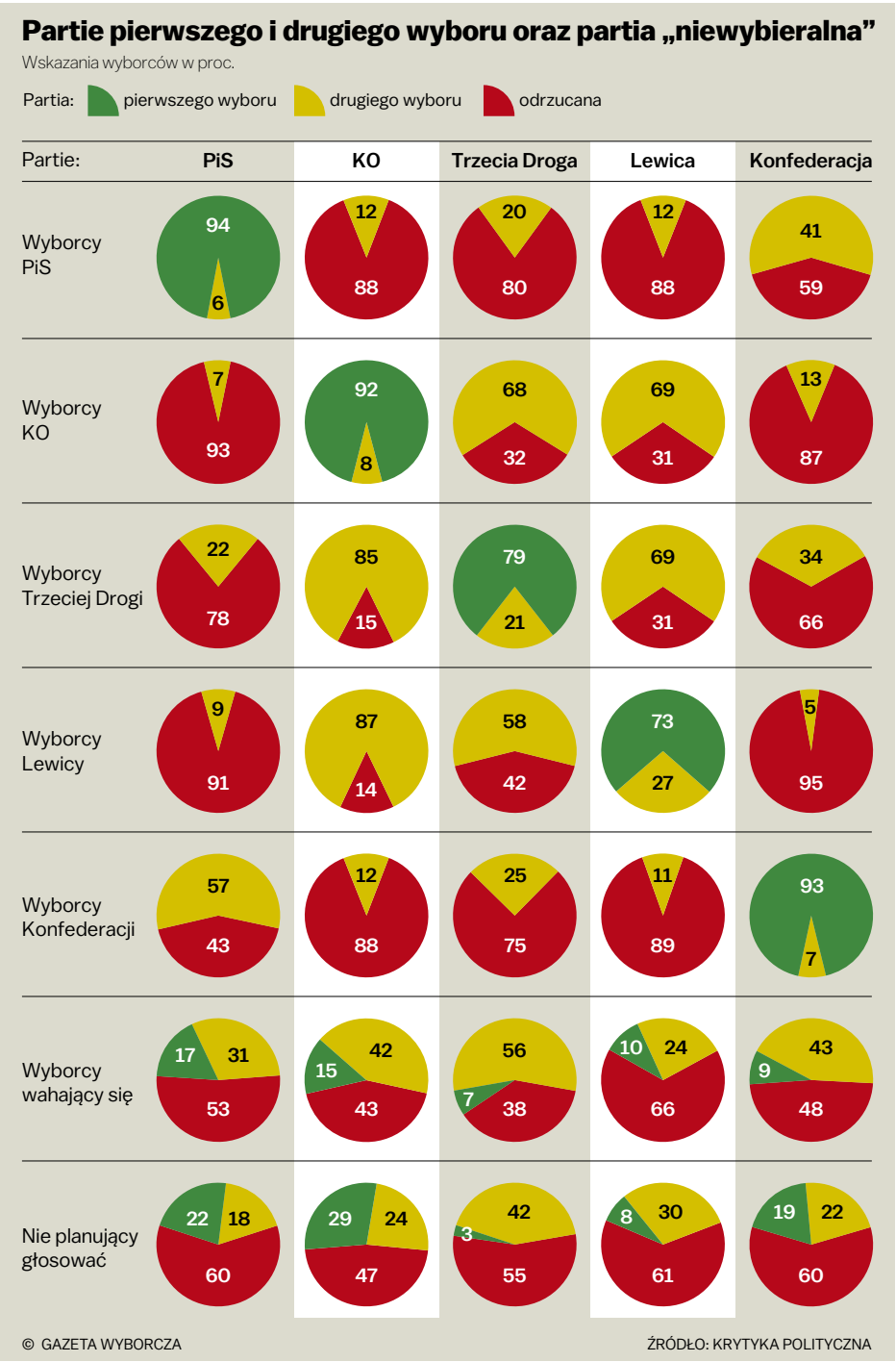
Konfa_Warszawa2

Aż około 2/3 wyborców KO mogłoby w pewnych warunkach wybrać na partnerów Trzecią Drogę lub Lewicę. W drugą stronę jest jeszcze lepiej: odsetek wyborców obu partii dopuszczających zagłosowanie na KO sięga 90 proc.! To pokazuje daleko idące podobieństwa w odbiorze tych ugrupowań. Zyskuje silniejszy – KO, która odbiera Lewicę wyborcę o progresywnych wartościach, a Trzeciej Drodze wyborców względnie liberalnych światopoglądowo, zniechęconych koalicją z tradycjonalistycznym PSL.

– Rezerwowa partia to PO, to ludzie, którzy robią dużo dobrego, myślą w sposób liberalny i chcą Polskę widzieć jako kraj nowoczesny.
– Ja głosowałem też na Polskę 2050. Czy dzisiaj też bym zagłosował? Trudno to ocenić, bo jest koalicja, trudno o każdej partii oddzielić coś powiedzieć, jest PSL, który okazał się takim szkodnikiem, a w zasadzie to jest nim od lat, bo układa się z każdym, byle tylko rządzić. Alternatywa to Koalicja Obywatelska.

PL2050_Włocławek

Elektoraty partii tworzących Trzecią Drogę coraz bardziej nie znoszą się nawzajem i rozglądają się za opcjami im bliższymi.
– Głosowałem na PSL. Teraz, jak nie PSL, to Hołownia, był klerykiem, to może będzie mniej kradł, może coś normalniejszego myślał.



– Ale on nie wykazał się jako marszałek, showman, aktorzy trochę.
– To startowanie z Polską 2050 to był zabieg strategiczny, sam PSL by nie wszedł do parlamentu.
– Zawsze, jak były badania, to PSL był pod kreską, a potem jakoś wchodzili. Zawsze tak było, jak pamiętam. Na współpracy z Hołownią PSL bardzo dużo stracił przez to, że nie jest samodzielną partią, to taka przystawka.

PSL_Lublin2

Wyborcy PSL widzą, że są partie, do których im bliżej ideowo, jednak obawiają się krytyki, która spadłaby na PSL za przejście na stronę PiS.
– Na pewno PSL jest bliżej do PiS i Konfederacji niż całej reszcie, ale żeby przechodzić na drugą stronę?
– Dla mnie byłoby spalenie.
– Średnio tak, nieładnie tak skakać z kwiatka na kwiatek.
– Tak zmieniać podglądy to nie. Jak już powiedzieli tak, to muszą wytrwać.

PSL_Lublin2

Wyborcy, którzy wahają się, na kogo zagłosować, najbardziej skłaniają się do PiS (17 proc.) i KO (15 proc.). Trzecia jest Lewica, partia pierwszego wyboru dla 10 proc. wahających się. Wśród wyborców zdemobilizowanych (deklarujących, że nie pójdą głosować) największe poparcie ma KO (pierwszy wybór dla 29 proc.), PiS (wyraźnie mniej, bo 22 proc.) i Konfederacja (19 proc.).

TEZA 6

PiS nie traci wyborców cynicznych
Pokazaliśmy stosunek wszystkich wyborców do poszczególnych partii. Teraz zrobimy to wewnątrz każdego z elektoratów, czyli pokażemy stosunek wyborców do swojej partii. Innymi słowy, nie pytamy już wszyst-

kich Polaków i Polki, co myślą o każdej partii, ale badamy każdy z elektoratów, dlaczego głosuje właśnie na tę partię.
Spośród trzech głównych motywacji: pełne przekonanie (wyborca fanatyczny), głosowanie na najmniejsze zło (wyborca sceptyczny) oraz głosowanie ze względu na indywidualne korzyści, tę trzecią motywację traktowaliśmy jako sygnał transakcyjnego stosunku do partii (wyborca cyniczny). W zamian za określone korzyści taki wyborca jest skłonny zagłosować na partię, z której poglądami się nie zgadza. Porównajmy aktualne wyniki z sytuacją z kwietnia 2023, gdy panował obóz Zjednoczonej Prawicy:
W przypadku PiS nie zaszły większe zmiany. Nadal to partia z najwyższym odsetkiem wyborców cynicznych. Dlaczego, skoro to nie PiS dziś decyduje o świadczeniach społecznych, a KO ich nie obniżyła? Bo PiS pozostaje bardziej wiarygodny jako ten, który zapoczątkował przełom w polityce społecznej. Wiosną 2023 było to aż 30 proc. wyborców tej partii, obecnie nawet więcej – 33 proc.
W elektoracie KO pojawiła się duża baza wyborców jej całkowicie oddanych, czyli głosujących z pełnym przekonaniem, że ta partia jest najlepszym, co się mogło zdarzyć Polsce. To już nie są kodziarze i Silni Razem, ale znacznie szersza grupa. To oni oczekują rozliczenia afer PiS i pozostają aktywni. Obecnie to już co drugi wyborca tej partii. Z kolei inni uważają inaczej, choć pozostają przy KO – to wyborcy sceptyczni, jest ich 39 proc. Niewielka liczba wyborców cynicznych może wynikać z tego, że KO, choć niczego nie zabrała, to jeszcze nie miała okazji dostarczyć niczego atrakcyjnego finansowo. Albo też jej wyborcy, zasobniejsi, w mniejszym stopniu potrzebują finansowej motywacji.
Przybyło nieznacznie ideowych wyborców Konfederacji (z 32 proc. do 39), a zmniejszył się odsetek cynicznych – z 29 do

16 proc. Tu można mówić o wyborcach transakcyjnych, bo motywacją finansową jest obietnica radykalnej obniżki podatków. Taki skład elektoratu wynika z migracji z PiS dużej liczby wyborców sceptycznych. Głosowali na PiS, bo uważali, że inne partie są jeszcze gorsze. Obecnie, świadomi skali nieprawidłowości za Kaczyńskiego, zdecydowali, że partia Mentzena i Bosaka oferuje im uczciwszą prawicowość.
W elektoratach Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi nadal dominuje motywacja „inni są jeszcze gorsi”, a zatem głosowanie na mniejsze zło. Historia ostatnich lat pokazuje, że sceptycyzm jest najsłabszą motywacją do udziału w wyborach i poparcia swojego faworyta, co dodatkowo obniża i tak już nadwątlone siły obu koalicjantów Tuska.

Nowy rząd, chociaż wielu się tego obawiało, nie zabrał transferów, prawda? 800 plus i tak dalej.

– Może na razie.

Mało tego. Wprowadził nowe świadczenia: babciowe, renta wdowia. Co wy na to?

– Zazwyczaj PiS by to robił. Bo to przecież PiS też proponował 800+ na przykład, podniesienie, i Platforma... ona kontynuuje to. Zrezygnować z tego nie może. Gdyby powiedziała, że tego nie robimy, straciłaby powodzenie.
– Okej, no ale mogli wygrać i tak zlikwidować, nie? Dobrze, że nie ruszyli. Ale to zasługa PiS, że nie ruszyli i że nowe dodają. Ich to zasługa jest.
– No ale, jeśli chodzi o budowę CPK i budowę elektrowni jądrowej, to hamują, tak? Sami nie wiedzą, co chcą, po medialnej burzy zobaczyli, że społeczeństwu strasznie się nie podobą, to nagle się wycofali i znowu chcą budować CPK. Tak naprawdę nie wiemy, czy go w końcu wybudują, czy nie.

PiS_Lublin1

W zasadzie podobnie się wypowiadają wyborcy KO. Tylko w ich wersji utrzymanie transferów i programów socjalnych to nie tyle zasługa, ile wina PiS. Nie można się z nich wycofać i trzeba dawać nowe.
– Ja wiedziałam od początku, że oni nie odbiorą tego socjału.
– To była taka nagonka, tylko wydaje mi się ze strony partii przeciwnej, ale to było logiczne, że nie zabiorą.
– Ludzie by się wściekli.

Przed wyborami prezydenckimi?

– Weszliśmy w niebezpieczną spiralę. Nikt z rządu tego nie będzie chciał zdjąć i chcą to zachować, i dlatego jest to w niezmienionej formie.
– Ja mam dzieci. Teraz był początek roku, dostałam wyprawkę na dwóch po 300 zł, bo trzeci jest w przedszkolu. Ale to jest nic. Córkę w podstawówce dostaje książki, superpomysł, syn w liceum, a książki to jakaś pomyłka. Syn w zerówce, jedna książka do zerówki 50 zł kosztuje. Dlaczego rząd na takie ceny pozwala?
– Zgadza się. Jestem przeciwna socjalo- wi w formie, że damy 800 zł, ale jestem za tym, aby książki do końca szkoły średniej były dla dzieci i młodzieży darmowe.
– Albo posiłki dla dzieci w szkole też powinny być finansowane.

KO_Warszawa1

Konkluzja: Koalicja mogłaby przejąć elektorat cyniczny PiS, gdyby uruchomiła kolejne transfery. Tyle kalkulacja polityczna, co innego jednak kalkulacja wynikająca z budżetowych możliwości rządu. Możliwe jednak, że KO, gdy znajdzie się pod presją kolejnych wyborów parlamentarnych, spróbuje przelicytować dokonania PiS. Odpowiedzialny ekonomista powiedziałby: nie wolno, bo nas nie stać na to (przy czym „nas” nigdy nie jest definiowane). Jeśli się spojrzy na jakość rządzenia i straty państwa wynikające z afer i polityki antyunijnej, to koszt odebrania wyborców cynicznych PiS może się jednak okazać wart poniesienia, nawet w kalkulacji czysto ekonomicznej.

TEZA 7

Kryzys przywództwa na lewicy i w Trzeciej Drodze. Zandberga wielu nie rozpoznaje

Respondentom zadano pytanie dotyczące stosunku do wybranych liderów. Oceny można było dokonać na skali od 0 do 10, gdzie 0 oznaczało, że polityk „w ogóle się nie podoba”, a 10 – że „bardzo się podoba”. Oceny od 7 do 10 potraktowaliśmy jako sygnały podobań się, oceny od 0 do 3 zaś jako wskaźniki, że dana osoba się nie podoba. Można w ten sposób zobaczyć, jak rozkładają się sympatie i antypatie do poszczególnych polityków wśród osób, które w najbliższych wyborach chcą głosować na dane partie, a także wśród wahających się lub nie zamierzających głosować. To istotne w kontekście wyborów prezydenckich. Oto kilka wniosków:

W skali całej badanej próby najkorzystniejsze oceny zanotowali Trzaskowski i Tusk (35 i 31 proc.). Mateusz Morawiecki (PiS), Tusk i Trzaskowski (KO), a także Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak (Konfederacja) mają najsilniejszą pozycję w ramach elektoratu swoich partii (podobają się 75-85 proc. wyborców swoich partii).

Nieco słabszą pozycję wśród swoich wyborców mają Kaczyński (PiS) i Hołownia (Trzecia Droga), choć nadal największą część wyborców akceptuje tych polityków (odpowiednio 67 i 60 proc.). Zauważmy przy tym, że w Polsce 2050 nie wyrósł nikt o porównywalnej do Hołowni pozycji, więc nie ma spośród kogo wybierać.

Zdecydowanie słabszą pozycję mają pozostali liderzy. Władysław Kosiniak-Kamysz (Trzecia Droga) podoba się 41 proc. wyborców swojej partii (wyraźnie spadły jego notowania wśród zwolenników Polski 2050, a znacznie lepszą pozycję ma teraz w elektoracie PSL – to kolejny znak, że na dole koalicja TD rozchodzi się w szwach).

O prawdziwym kryzysie przywództwa można mówić w przypadku Nowej Lewicy (choć warto podkreślić, że z powodu ograniczeń długości wywiadu telefonicznego mogliśmy uwzględnić tylko dwa nazwiska). Włodzimierz Czarzasty wśród wyborców swojej partii notuje tylko 27 proc. pozytywnych ocen (10 proc. negatywnych), a Adrian Zandberg – 32 proc. (18 proc. negatywnych). Lidera Razem wciąż nie rozpoznaje 18 proc. wyborców Nowej Lewicy. W elektoracie lewicowym zdecydowanie silniejszą pozycję ma Trzaskowski, który podoba się aż 65 proc. wyborców. Wyższe pozytywne oceny zanotował też Tusk – 38 proc. Wyborcy Lewicy ciążą ku partii z wyrazistymi liderami.

Politycy PiS, Kaczyński i Morawiecki, mają największy elektorat negatywny – nie podobają się około 60 proc. ogółu badanych. Są też liderami rankingu polityków, których Polacy najchętniej zobaczyliby skazanych na więzienie.

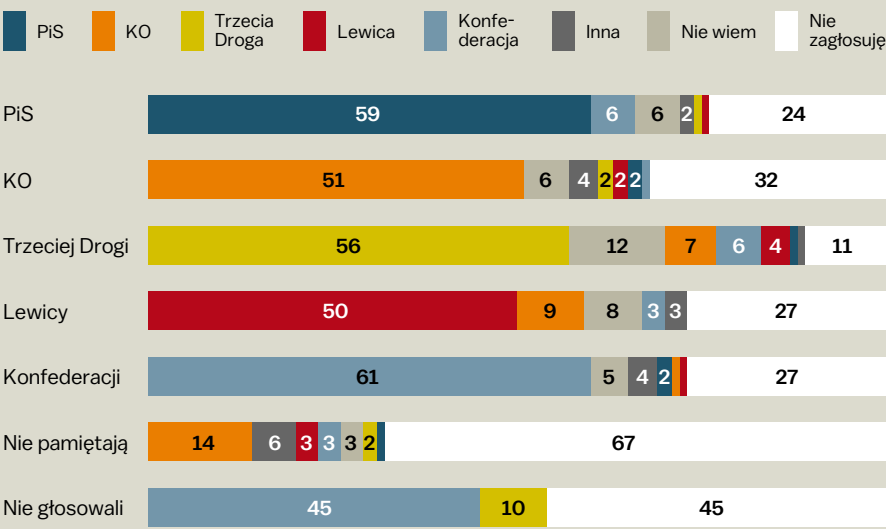
Dane z wywiadów grupowych okazały się zgodne z kluczowymi ustaleniami sondażu. Mamy polityków, którzy robią wrażenie także na elektoratach o odmiennych poglądach. Przykładem takiego polityka jest Krzysztof Bosak, atrakcyjny dla wyborców PiS, PSL, Polski 2050, a nawet czasami KO i Lewicy. Bosak nie ukończył żadnych studiów wyższych, ale erudycją i prezentacją sprawia wrażenie, jakby był specjalistą, i wyborcy na fokusach potrafią spierać się o to, czy jest prawnikiem czy inżynierem.

Wyborcy PSL dość tradycyjnie są skupieni wokół swoich liderów. Pytani o ulubionych polityków wymieniają Kosiniaka-Kamysza, Krzysztofa Hetmana i Marka Sawickiego. W przypadku tego ostatniego zauważają afirmatywnie, że nie zmienia poglądów. Za najlepszego kandydata PSL uważają przewodniczącego partii. O innych wypowiadają się bardzo krytycznie. Nie lubią Tuska, Trzaskowski to dla nich jedynie jego pomocnik. Kaczyński „się skończył”, a Morawiecki jest jego przybocznym. Pozytywnie odbierany jest Bosak (zrównoważony, popierany przez młodych, budzi szacunek). Nie jest to wyjątek, ale reguła – Bosaka wymieniają także uczestnicy

Przepletywy wyborców i elektoratów

Jak dziś zagłosowaliby wyborcy:

Procent osób, które podjęły określone decyzje wyborcze w 2023 r.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: KRYTYKA POLITYCZNA

wywiadów głosujący na PiS, Polskę 2050, a nawet na KO.

Podobnie skupieni na swoich liderach są rozmówcy z Konfederacji. Wprawdzie spontanicznie jako wzór polityka wskazuje Andrzeja Leppera za jego bezkompromisowość i charyzmę (ostatnio popularne na TikToku zrobiły się nagrania z wypowiedziami lidera Samoobrony), z obecnych lubią zaś tylko liderów i polityczki swojej partii. To, że Anna Bryłka i Ewa Zajączkowska są wymieniane obok Bosaka i Mentzena, wskazuje, że Konfederacja szybko wyciągnęła wnioski z przekraczającego granice obozów politycznych trendu windującego w polityce młode kobiety.

– Andrzeju Lepper. Nie byłem jego fanem, ale bardzo mi się podobało, że był szczery i wspierał maluczkich. Był bardzo odważny, bronił swoich racji, swojego zdania.

A z żyjących potencjalnych kandydów?

– Krzysztof Bosak.
– Mój też. Odslaniali pomnik Wołynia i tylko Bosak się pojawił z ważniejszych polityków. To mi się spodobało, bo to ważna część naszej historii.
– Mój też. Cenię plan B. Gdyby odpadł w wyborach, to sobie poradzi gdzie indziej. Bosak, Mentzen. Bosak jest wykształcony, jest inżynierem.
– Chyba też prawnikiem.
– Wydaje mi się, że inżynierem. Przemawia przez niego logika i to mi się podoba.
– Spokój, szacunek.
– Nie daje zapanować emocjom.
– Nie traci kontroli nad sobą.
– Zawsze kulturalny. Nigdy nie odmówił nikomu wspólnego zdjęcia. Uśmiechnięty, grzeczny.
– Na wywiadach rzadko się zastanawia, potrafi się wypowiedzieć na każdy temat.

Konfa_Warszawa2

Podobnie wyborcy KO w zasadzie nie wymieniają żadnego polityka spoza grona własnych liderów:

Ulubiony polityk: kto i dlaczego?

– Dla mnie Rafał Trzaskowski, on ma aparycję i od niego bije charyzma, jest inteligentnym facetem, turbomiły naprawdę i gdybym był gejem, tobym się za niego zabrał.

Panie się zgadzają?

– Tak. I jeszcze Donald Tusk oczywiście, ja go uwielbiam. Ma wspaniałą prezencję, potrafi powiedzieć dużo, podobają mi się jego wystąpienia. Jest też przystojny i imponuje mi to, że był przewodniczącym UE i w polityce osiągnął dużo.
– Ja Tuska za charyzmę lubię.
– I jedyny, który obciachu nam nie robi za granicą.

KO_Warszawa1

Nieco bardziej skomplikowana jest sytuacja z wyborcami Lewicy w wywiadach

grupowych w średniej wielkości mieście. Okazało się, że ich ulubionym politykiem jest Czarzasty. To pokazuje, że Lewica powinna się uważniej przyjrzeć swojemu elektoratowi spoza dużych miast. Jednak ci sami wyborcy uważają, że prezydenckim kandydatem całej koalicji powinien być Trzaskowski i zastanawiają się nad przetrzuceniem głosu na inne partie. Analogicznych odpowiedzi udzieliła lubelska grupa wyborców PiS. Ponieważ uważają, że czas Kaczyńskiego i jego otoczenia minął, zaczynają szukać w innych partiach i trafiają na Bosaka.

Podajcie przykład swojego ulubionego polityka.

– Bosak. Uważam, że facet jest konkretny, nie widziałem, żeby się denerwował. Mimo młodego wieku ma doświadczenie w polityce, może daleko zajść.
– Dariusz Matecki z Solidarnej Polski – jest konkretny w tym, co mówi, co robi. Podobają mi się, jak obnaża działalność tego rządu.
– Lubię Czarnka, ma charyzmę, jest postawny. Mimo że zdarza mu się palnąć głupotę.
– Krzysztof Bosak.
– Jan Kanthak – jest nowoczesną osobą, konkretną, dążącą do celu. Na drugim miejscu Bosak – ma zdrowe podejście, jest też merytorycznie dobrze przygotowany, z wykształcenia nie wiem, chyba jest prawnikiem.

PiS_Lublin1

To kolejne potwierdzenie, że PiS płynie na dziurawym statku i nabiera wody, a wyborcy mogą się przenieść do Konfederacji, jeśli jej sternikiem będzie Bosak i jeśli unikną kontrowersyjnych wypowiedzi jak te, z których zasłynął Mentzen. Nie zmienia to faktu, że ewentualna koalicja PiS i Konfederacji jako całość rośnie w siłę, zmieniając się jedynie proporcje między potencjalnymi koalicjantami.

TEZA 8

Kryzys identyfikacji z rządem

Interesowało nas zarówno to, w jakim stopniu badani utożsamiają się z działaniami rządu i jaką wystawiają mu ogólną ocenę, jak i to, czy w różnych sferach życia dostrzegają pozytywne czy negatywne zmiany.

Półowa badanych (51 proc.) w dość małym lub bardzo małym stopniu utożsamia się z programem, przekazem i działaniami rządu. Dzieje się to przede wszystkim za sprawą wyborców PiS oraz Konfederacji, niezwykle krytycznych w stosunku do gabinetu Tuska. To oczywiste. Także wśród koalicjantów KO, w elektoracie Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy nie brakuje jednak krytycznych lub wstrzemięźliwych ocen działań rządu. W obu tych grupach odsetek osób co najwyżej w pewnych sytu-

acjach uważających rząd za swój przeważa nad odsetkiem osób identyfikujących się z obecnym gabinetem. Wśród wyborców KO, co naturalne, przeważają oceny świadczące o poparciu, ale i tu co trzeci wyborca (35 proc.) ma w tej sprawie wątpliwości.

Wywiady grupowe potwierdzają ustalenia sondażu. Wyborcy PiS i Konfederacji mocno identyfikują się ze swoimi partiami, a obecny rząd uważają za siebie obcy w przeciwieństwie do poprzedniego, o którego sprawczości z entuzjazmem mówili nawet wyborcy partii Bosaka. Wyborcy koalicjantów KO z rządem utożsamiają się w stopniu małym lub średnim, a jego działania w szkolnej skali 1-6 oceniają na „marną tróję”. Są bardzo krytyczni. Ogólne osiągnięcia rządu określają jako brak szybkich zmian i wzrost cen.

Wyjątek stanowią tylko wyborcy Polski 2050 wskazujący, że wahają się, czy nie przetrzucić poparcia na partię Donalda Tuska. Jedynymi wyborcami, którzy wybierali na skali mocną identyfikację z rządem (każdy z osobna, zapisując na kartkach tak, aby uniknąć presji grupy), okazali się fanatyczni wyborcy KO. To oni jako jedyny elektorat uważają np., że rząd dobrze sobie poradził w trakcie powodzi.

– Głosowałam na KO, bo miałam wrażenie, że przepracowali swoje błędy, które były osiem lat temu.
– Ja dlatego, że chciałam przegonić PiS, i uważam, że w Polsce dzisiaj nie ma nic lepszego.
– Głosowałem na KO, bo bardzo lubię pana Rafała Trzaskowskiego.
– Ja go też kocham!
– A ja to nawet raz pana Rafała miałem okazję poznać prywatnie, jest super, naprawdę super!

Jak oceniacie reakcję rządu na powódź?

– Trochę wtopa z tym, co Tusk powiedział, że nie ma się czym stresować.
– To była wypowiedź wyjęta z kontekstu przez jego przeciwników.
– Narady sztabów we Wrocławiu były na żywo, i to na plus, i plus za to, co Tusk powiedział, że szabrownicy będą siedzieć, i w trybie natychmiastowych dostali po osiem miesięcy za kradzież 300 czy 400 zł, bo oni liczyli, że jak do 800 zł kradzież, to mandat dostaną, a nie od razu w pasiaku.
– KO super wykorzystala sytuację, aby się pokazać pozytywnie, a Duda i dożynki – oni się tutaj totalnie skompromitowali.
– Mnie bardzo imponuje transparentność informacji, nie ma woalu na tym zaścigniętego i okazem inteligencji emocjonalnej było to, jak widziałem Tuska w T-shircie, nieogolony i widać niewyspany facet. Premier państwa w T-shircie, nieogolony i patrzę na Twittera. No wzruszenie. A tam stoi Morawiecki w lakierkach i w białej koszuli, i z młotem udarowym pozuje do zdjęcia.
– Robi efekt.
– Dokładnie tak.
– Gigasatisfakcja z naszego rządu.

KO_Warszawa1

W całej badanej próbie rząd zasłużył na ocenę „dopuszczającą z plusem” (2,7) w skali szkolnej od 1 do 6. Nie dziwi, że najniższe oceny wystawili wyborcy PiS i Konfederacji (jedynka z plusem). Wyborcy ugrupowań koalicyjnych, Trzeciej Drogi i Lewicy, także byli dalecy od pochwał i przyznali solidną tróję (3,3 oraz 3,2). Jedynie wyborcy KO wystawili ocenę dobrą (4,1). Nasi rozmówcy w wywiadach grupowych byli tylko lekko bardziej przychylni rządowi, ale z reguły wystawiali bardzo podobne noty co ankietowani.

Na przykład lubelscy wyborcy PiS dali rządowi ocenę mierną na zachętę (coś tam próbują robić, ale im nie wychodzi), docenili jedynie zmiany w edukacji (obcięcie programu) oraz w relacjach z UE. Dość szczerze działania rządu oceniają także ciążący ku KO wyborcy TD z Włocławka, którzy postawili rządowi czwórkę (to więcej niż wyborcy KO, którzy zaufanie do rządu ocenili na 4, a jego działania po roku na 3).

– *Ja uważam, że dużo zrobili, starają się, ale mają szkodnika w postaci prezydenta i zabetonowane prawo.*

– *Bierzemy pod uwagę warunki, jakie mają, w wielu instytucjach są jeszcze ludzie powiązani z PiS.*

PL2050_Włocławek1

Te nie najlepsze oceny ogólne wynikają z faktu, że wielu respondentów jest przekonanych, iż pomimo zmiany władzy w wielu obszarach życia nie nastąpiły pożądane zmiany na lepsze, a często stan spraw nawet się pogorszył. Oczywiście, oceny te ułożyły się według sympatii i antypatii politycznych. Zdaniem większości (57 proc.) zmiana polityczna nie przełożyła się na ich położenie ekonomiczne i poziom życia. Jednak 29 proc. uważa, że w tej mierze sytuacja uległa pogorszeniu, a tylko 14 proc. – że się poprawiła. Odsetek osób uważających, że zmiana u władzy negatywnie odbija się na szansach rozwojowych Polski, niemal równoważy odsetek osób oceniających tę zmianę jako korzystną dla dalszego rozwoju kraju.

Krytycznie oceniono politykę migracyjną – część osób sympatyzujących z partiami koalicji rządowej zarzuca Tuskowi niedostateczną kontynuację głównych założeń (a nie radykalnie odmiennej praktyki!) polityki migracyjnej PiS, w Lewicy są i tacy, którym nie podoba się pozostawienie z grubsza spraw na granicy tak, jak było za czasów PiS, choćby pushbacki.

Wzmocnienie pozycji Polski w relacjach z UE to jedyny obszar, w którym większość ogółu badanych widzi poprawę w stosunku do wcześniejszych lat. Nawet część wyborców opozycji dostrzega tu pozytywne działania.

•
Sprawdziliśmy, które z tych obszarów najsilniej kształtują ogólną ocenę rządu. To kształtowanie oznacza, że z pozytywnymi ocenami prac rządu współwystępują wysokie oceny działań gabinetu Tuska na skali 1-6 i odwrotnie: z ocenami pokazującymi, że w danym obszarze nastąpiło pogorszenie, idzie w parze negatywna ocena ogólna pracy rządu. Najsilniejszymi tego typu czynnikami są: w przypadku elektoratu PiS sfera wolności mediów i niezależność dziennikarskiej; wśród wyborców KO szanse Polski na dalszy rozwój; w elektoracie Trzeciej Drogi relacje Polski z UE; wśród sympatyków Nowej Lewicy i Konfederacji jakość demokracji i rządów prawa.

Poprosiliśmy naszych rozmówców z wywiadów grupowych, aby dokonali oceny poszczególnych obszarów pracy rządu zgodnie ze scenariuszem ankiety sondażowej.

Poziom życia osób takich jak wy?

- *W dół.*
- *W dół.*
- *Nie zmienił się.*

Szanse rozwojowe Polski?

- *Nie ma szans! [Reszta kiwa głowami].*

Skala afer, nadużyć politycznych?

- *Na razie nie ma kto ich sprawdzić.*

Jakość demokracji, rządów prawa?

- *Nie wiem.*
- *To tak trudno powiedzieć jednoznacznie.*
- *Tusk powiedział, że będzie karał łamanie konstytucji, a sam łamie.*

PSL_Lublin2

Nawet bardzo przychylny rządowi elektorat Polski 2050 we Włocławku fatalnie ocenił wysiłki rządu w obszarze poziomu życia obywateli.

W jakich obszarach nastąpiła największa poprawa?

- *Rzeczy prawne – tu jest poprawa.*
- *Na arenie stosunków z UE.*
- *Wolność mediów.*

■
Wywiad o kandydatach na prezydenta z wyborcą KO: Dla mnie Rafał Trzaskowski, on ma aparycję i od niego bije charyzma, jest inteligentny facet, turbomiły naprawdę i gdybym był gejem, tobym się za niego zabrał

A jak rząd poradził sobie z imigracją i z polityką imigracyjną?

- *Jest poprawa, uważam, zmienili prawo w użyciu broni przede wszystkim dla żołnierzy, tych pograniczników, bo teraz żołnierze kierowani na granicę wiedzą już, że tamci atakują ich niebezpiecznymi przedmiotami.*
- *Przyjeżdżali przecież do nas masowo i nikt tego nie kontrolował, wizy dostawali. Szło to w ogóle bez kontroli jakiegokolwiek. Tu jest też postęp, jest kontrola.*

A poziom życia takich osób jak wy zmienił się na lepsze czy na gorsze?

- *Na lepsze, bo więcej pracujemy [śmiech]. Już nie na dwóch etatach, ale na trzech.*

Ironię w tym słyszę.

- *Nic się nie zmieniło.*
- *Constans jest.*
- *A sprzątaczką w ministerstwie zarabia 7-9 tys. zł.*

PL2050_Włocławek

W jakich obszarach życia po tym roku rządów nastąpiła poprawa, w jakich nic się nie zmieniło, a w jakich wręcz się pogorszyło?

- *Na pewno na plus jest rozliczanie poprzedników, czego wcześniej nie było, bo jedni na drugih krzyczeli, że my was rozliczymy, a nic się nie działo w ogóle. Teraz jednak komisje powstają i wreszcie, jak poniosą konsekwencje chociażby za te respiratory za siedemdziesiąt parę milionów, to może wreszcie przestaną kraść.*

Imigracja i polityka imigracyjna?

- *Jeszcze nie.*
- *Ja nie jestem osobiście za przyjmowaniem.*
- *Ja też.*
- *I ja też.*
- *Widzimy, co się dzieje chociażby we Francji, i nie chcielibyśmy tego samego, co tam jest obecnie. Dla mnie jest to logiczne.*

Relacje z UE?

- *Na pewno poprawili relacje. Pytanie, czy my na tym skorzystamy.*

Poziom życia osób takich jak wy?

- *Trudno powiedzieć.*
- *I co ja mam teraz powiedzieć, ja, nauczyciel? No, dostałem podwyżkę, mała nie była, ale żebym odczuł w portfelu, to nie powiedziałbym, bo wszystko idzie w górę, a więc w moim mniemaniu nic się nie zmieniło. Może delikatnie na plus.*
- *Więcej zarabiamy i więcej wydajemy, przynajmniej na rachunki.*

Szanse Polski na dalszy rozwój, wielkie produkty infrastrukturalne?

- *Miało być lotnisko międzynarodowe, CPK, ale spowolniło chyba, nie wiem.*

Lewica_Włocławek2

Podczas wywiadu grupowego z wyborcami KO dość entuzjastycznie przebiegało recenzowanie prac nowego rządu, aż przeszło w spór o politykę migracyjną i ocenę wpływu uchodźców na poziom bezpieczeństwa.

Które obszary na plus?

- *Przywracanie praworządności, to, co Bodnar zrobił, to jest chapeau bas, bo jest to naprawdę turbociężki obszar do ogarnięcia z turboturbulencjami.*
- *I edukacja na plus też.*
- *Wycofanie darowizn na Kościół i na- gle Rydzyk osiadł, nie ma za co sponsorować swojej telewizji.*
- *Rydzyk to jest taka świnia, straszna świnia.*
- *Poprawne relacje z UE na plus, a minus sytuacja z Ukrainą.*
- *Polityka imigracyjna nie bardzo się zmieniła.*

Polepszyło się czy pogorszyło?

- *No nie, bardzo polepszyło.*
- *Nielegalne wizy nareszcie zatrzymali.*
- *Dla ciapatych.*
- *Wolę Ukraińców niż tych z Afryki.*
- *Żyjemy w najbezpieczniejszym kraju UE i nie spieprzmy tego, że tak powiem.*
- *Do każdego trzeba z szacunkiem na początku podchodzić, nie powinniśmy od razu kogoś skreślać ze względu na kolor skóry czy narodowość.*
- *Gdybym chciała wyemigrować i w innym kraju żyć, to z szacunku dla tego kraju nauczyłabym się jego języka i kultury i dostosowała się do tego kraju, a przyszły ukraińskie dzieci do szkoły i moje dzieci nie mogły się normalnie uczyć.*

KO_Warszawa1

TEZA 9

Trzaskowski na autostradzie do prezydentury

Jak dotąd start w wyborach prezydenckich zapowiedział jedynie lider Konfederacji Sławomir Mentzen. Postanowiliśmy zapytać badanych, kto powinien zostać prezydentem Polski, i posłuchać, jakie wymienia nazwiska bez odczytywania ich z listy. Spontaniczne odpowiedzi mają znacznie większe znaczenie niż zaznaczanie nazwisk w kafeterii sondażu.

Jedynym politykiem, którego wymieniło więcej niż 10 proc. badanych (a dokładnie aż trzy razy tyle!), był Rafał Trzaskowski, prawdopodobny kandydat KO. Jego nazwisko wskazało aż 72 proc. sympatyków KO oraz 63 proc. wyborców Nowej Lewicy. W samym elektoracie Trzeciej Drogi obecny prezydent Warszawy przegrał jedynie nieznacznie z Hołownią (28 proc. wskazań, a marszałek Sejmu 31 proc.). Trzaskowski deklaruje wszystkich potencjalnych konkurentów.

Zapytaliśmy też respondentów, na kogo zagłosowaliby w drugiej turze, gdyby dostał się do niej Trzaskowski lub poszczególni inni kandydaci.

Z tej symulacji wynika, że największe szanse w rywalizacji z Trzaskowskim miałby kandydat PiS (o ile nie będzie to Tobiasz Bocheński). Scenariusz naszej ankiety był już i tak rekordowo długi jak na badania telefoniczne (średnio 20 minut), więc nie mogliśmy zapytać o wszystkie nazwiska pojawiające się na giełdzie. Analiza wyników tego badania pozwala jednak przypuszczać, że jeśli zamiast Bocheńskiego w miejsce „kandydat PiS” wstawimy dowolne nazwisko kojarzące się z aferami ostatnich ośmiu lat (Morawiecki – drugie miejsce w rankingu „kto za kraty”, Błaszczak, czyli „ten od rakiety”), efekt będzie porównywalny lub jeszcze gorszy. Dla wyborców spoza twardego elektoratu lepszy byłby kandydat pokoleniowo bliższy komuś takiemu jak Kacper Płażyński, ale czy zaakceptowałby go starszy elektorat samej partii?

Innym poważnym konkurentem dla Trzaskowskiego obok kandydata PiS (tak długo, jak pozostanie anonimowy) byłby Krzysztof Bosak. W obu tych wariantach konkurenci prezydenta Warszawy mogliby liczyć na ponad 40 proc. głosów i przegrywaliby z potencjalnym kandydatem KO tylko o kilka punktów. Z Bosakiem jest jednak ten problem, że chociaż poza elektoratem Konfederacji wyprzedza Mentzena o dwie długości, to tego ostatniego partia błędnie wybrała na kandydata.

Zaskakująco wiele głosów otrzymał Krzysztof Stanowski – nazwisko, które pojawiło się na przedwyborczej giełdzie, osoba spoza świata polityki, ale ciesząca się wysoką rozpoznawalnością. Twórcę Kanału Zero wskazało 28 proc. badanych. Youtuber mógłby liczyć przede wszystkim na głosy wyborców PiS i Konfederacji, zwłaszcza młodszych, przed 50. rokiem życia. Taki wynik – zostawiając na boku dywagacje, czy Stanowski będzie chciał startować, czy raczej opłaca mu się być będącym na językach „kandydatem na kandydata” – pokazuje, że jest jeszcze w tych wyborach potencjał na pojawienie się gamechangera, takiego, jakim 10 lat temu był Paweł Kukiz. Nieoczekiwany kandydat anty-establishmentowy raczej z prawej niż lewej strony może w pierwszej turze przyciągnąć do urn ludzi, którzy dotąd nie myśleli o tym, aby iść na wybory. Tak jak w 2005 w drugiej turze taki elektorat przypadłby raczej kandydatowi PiS.

Spośród rozpatrywanych przez nas opcji najmniejsze szanse przeciwko Trzaskowskiemu miałyby kobieta – kandydatka Lewicy. Mając do wyboru taką parę, potencjalnego kandydata KO poparłoby nawet 34 proc. wyborców Konfederacji (kandydatkę Lewicy wskazało 16 proc.). Wszystko to prowadzi do wniosku, że na osiem miesięcy przed wyborami prezydenckimi na razie najsilniejszą pozycję zajmuje Trzaskowski, ale nie bez szans jest kandydat PiS, a – o ile w ogóle by wystartował i wszedłby do drugiej tury – także Krzysztof Bosak. Na razie jednak Trzaskowski nie ma z kim przegrać poza sobą samym.

• Nota metodologiczna

Sondaż na reprezentatywnej próbie N = 1000 metodą telefoniczną (CATI) przeprowadziła pracownia Ipsos 10-18 września 2024 r. Ostatnie wywiady były prowadzone w momencie, kiedy w Polsce trwała powódź, co jednak nie miało żadnego wpływu na wyniki dotyczące ogólnego nastroju społecznego czy ocenę pracy rządu (brak różnic między odpowiedziami z początku i końca okresu realizacji próby). Fokusy z elektoratami wszystkich partii przeprowadzono 24-26 września w Warszawie, Lublinie i Włocławku. Lublin – sześć osób mieszkających w Lublinie i głosujących w ostatnich wyborach na PiS (po trzy osoby w wieku 30-45 i 65+; po równo kobiety i mężczyźni); sześć osób mieszkających na wsi (ale nie w bezpośrednim sąsiedztwie Lublina; w tym przynajmniej dwie to rolnicy mężczyźni), popierających PSL, po równo osoby w wieku 30-45 i 60+). Warszawa – sześć osób głosujących na Koalicję Obywatelską (wiek 25-45 lat, zarówno kobiety, jak i mężczyźni); Wyborcy Konfederacji (w wieku 25-40 lat; 1-2 kobiety; pozostali mężczyźni). Włocławek – sześć osób popierających Polskę 2050 i Hołownię (25-45 lat, zarówno kobiety, jak i mężczyźni); sześć osób głosujących na Lewicę (1-2 mężczyźni, pozostałe kobiety; wiek 25-40 lat). Badania zrealizowane przez Instytut Krytyki Politycznej dzięki wsparciu warszawskiego przedstawicielstwa Fundacji im. Friedricha Eberta oraz dodatkowemu wsparciu warszawskiego przedstawicielstwa Fundacji Heinricha Bölla. **Pełna wersja raportu na stronie krytykapolityczna.pl**

Dr hab. Przemysław Sadura

- profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”

Sławomir Sierakowski

- socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”

Z ROSYJSKĄ PRAWNICZKĄ **ANNA RYWINĄ**
ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Kiedy dwa lata temu Putin ogłosił tzw. częściową mobilizację, wielu ekspertów twierdziło, że to przełom, bo zaraz nastąpi masowy sprzeciw ludzi. A sprzeciwić mieli się wcale nie mężczyźni, ale Rosjanki. Do matek i żon rosyjskich żołnierzy zwracał się Wołodymyr Zelenski, apelując, by nie pozwalały swoim bliskim brać udziału w wojnie. Dlaczego cud się nie wydarzył?

Nim przejdę do rosyjskiej specyfiki – dla mnie te opinie są przede wszystkim typowo patriarchalne. Bo co w nich pobrzmiewa? „My, mężczyźni, wszystko, co się dało, popsuliśmy, więc niech kobiety nam teraz jakoś pomogą”. A rosyjski wkład w tę postawę jest taki, że na co dzień większość tych ekspertów uważa, że kobieta powinna milczeć, gotować, uśmiechać się, rodzić dzieci, ale gdy dzieje się coś złego, to odpowiedzialność – „kobiety są winne” albo „w kobietach nadzieja” – spada na nią.

Innymi słowy, nasi mężczyźni oczekują naprawy świata od kogoś, kogo na co dzień pozbawiają sprawczości i prawa głosu. A potem dziwią się, że nic się nie zmienia. Jakby nie wiedzieli, że w patriarchalnych społeczeństwach mężczyzna może deklarować szacunek dla matki, żony czy siostry, ale ich zdanie nie ma takiej wagi, by wpłynąć na jego decyzję.

Występować z apelami można do kobiet, od których coś zależy.

Takie też są. Senatorka Margarita Pawłowa apelowała, by ograniczyły kobietom możliwość studiowania. Przewodnicząca Rady Federacji Walentyna Matwijenko poparła zakaz „koncepcji dobrowolnej odmowy posiadania dzieci”. Senatorka Elena Mizulina była współinicjatorką dekryminalizacji przemocy domowej. A Tamara Pletniewa, przewodnicząca komisji Dumy ds. rodziny, kobiet i dzieci, oskarżyła dziennikarki, które ujawniły, że były publicznie molestowane przez jednego z deputowanych, że „zbyt wyzywająco się ubierały”.

– Te polityczki działają w interesie Putina i jego ekipy. W patriarchalnym społeczeństwie kobieta, która chce osiągnąć sukces i mieć prawo głosu, musi się dostosować do narzuconych reguł. Jeśli spróbuje wyjść poza ramy, straci stanowiska i przywileje. Tak było w przypadku byłej deputowanej Oksany Puszkinej. Początkowo idealnie wpisywała się w oczekiwania Kremla na temat tego, jaka powinna być kobieta w polityce. Tylko że później nie tylko zaczęła krytykować molestowanie seksualne, ale też mówić o konieczności wprowadzenia przepisu o przemocy domowej. I przestała pasować do systemu.

A więc propagatorki radykalnego patriarchy niekoniecznie mają takie poglądy. Dzisiaj urzędnicy i działacze, by zapunktować, prześcigają się w proponowaniu rozwiązań, które wpisują się w aktualną linię Kremla. Więc mężczyźni mówią o wojnie, a polityczki wybierają tematy „kobiece”, jak demografia, rodzina, medycyna, edukacja, i w tych dziedzinach zgłaszają mile widziane konserwatywne postulaty.

A może takie są potrzeby społeczeństwa? Jeszcze przed wojną sondaże wskazywały, że ponad połowa Rosjanek chce tradycyjnego podziału ról. I że wolą zajmować się domem i dziećmi, nie karierą.
– To nietrudne do wyjaśnienia. Według ogólnie przyjętych norm społecznych mężczyzna jest silniejszy, bardziej wpływowy, bogatszy. A więc ma prawo dyktować warunki.

Ten maczyzm zupełnie nie wpisuje się w obraz mojej rodziny, ale i wielu moich przyjaciół, którzy często wspominają, że w ich domach pierwsze skrzypce grały babcie.

– Otóż to, babcie. Historia ZSRR ma tu ogromne znaczenie. Władze radzieckie dały ludziom – w sposób absolutnie sztuczny – „równouprawnienie”, ale kiedy ZSRR upadł, nastąpił powrót do bardziej tradycyjnego modelu. I to nie powinno dziwić. Na Zachodzie kobiety walczyły o swoje prawa i zdobywały je, z wielkim poświęceniem, stopniowo, kawałek po kawałku. W ZSRR kobiety po prostu je dostały, ale jednocześnie władze nie zrobiły nic, by odciążyć je z dotychczasowych tradycyjnych obowiązków. Kobiety odpowiadały za dom, wychowywanie dzieci i opiekę nad starszymi krewnymi, ale jednocześnie oczekiwano, że będą studiować, pracować w zawodzie i rozwijać karierę.

Praca na dwa etaty?

– Tak. Kiedy ZSRR się rozpadł, kobiety były tak zmęczone, że z ulgą przyjęły powrót do tradycjonalizmu.



Życie rosyjskich kobiet

NA KIMŚ TRZEB ODREAG

A jeszcze to „radzieckie równouprawnienie” bardzo często wiązało się z życiem w pojedynkę. Nie z wyboru, po prostu mężczyźni albo byli na wojnie, albo z niej nie wrócili. A jeśli wrócili, to oczekiwali, że kobiety ustąpią im miejsca w sferze decyzyjności, ale nadal będą wypełniały wszystkie „męskie” obowiązki.

Zatem po rozpadzie ZSRR kobiety z ulgą przyjęły, że nie oczekuje się już od nich siły i męstwa. I że mogą wreszcie ładnie wyglądać, uśmiechać się, wspierać, a nie wyręczać partnera, wychodzić z nim na miasto. Cieszyły się wreszcie swobodą, więc nie myślały, że stają się w ten sposób szablonowymi kobietami i wzmacniają stereotyp.

Trudno mi zrozumieć to pogodzenie się Rosjanek z utratą sprawczości i pozycji.

– Bo patrzy pani na radziecki model oczami współczesnej kobiety. Nie jest tak, że Rosjanki nie mają ambicji. Chodzi o to, że w czasach „wymuszonego równouprawnienia” nie miały wyboru, nie mogły się zajmować domem albo nauką i pracą, bo tak chciały. Zrzucano na nie absolutnie wszystko. I dawały sobie radę,

*Rosjanie zaczęli na gwałt
kupować środki antykoncepcyjne.
Nigdy nie było na nie takiego popytu*

ale nie traktowano ich jako wyemancypowane i silne, ale nadal kobiety, tylko jako „babę z jajami”. Więc zdały sobie sprawę z tego, że pozostaną kobietami i jednocześnie osiągną sprawczość realną, a nie dekretną, gdy założą ładną bieliznę i szepną swojemu mężczyźnie w łóżku, czego od niego chcą.

To, że w Rosji seks jest kobiecym narzędziem kontroli – niekiedy jedynym dostępnym – potwierdza humor. Wydzwięk szczególnie wielu rosyjskich żartów, anegdot i dowcipów jest o seksie w relacji traktowanym jako mechanizm kontroli.

Ta prywatna instrumentalizacja własnego ciała wpływa również na sferę publiczną?

– Kobieta, które nie pochodzi z bogatej rodziny, ma szansę na awans społeczny, jeśli będzie miała u boku albo partnera osiągającego sukcesy, albo wywodzącego się z klasy wyższej niż ona. A żeby do tego doszło, kobieta musi być przez takiego wybrana, a to wydarzy się tylko, jeśli będzie atrakcyjna seksualnie.

Znów kłania się dziedzictwo pokoleń. Wojny, jedna za drugą, sprawiały, że mężczyzn zawsze było mniej niż kobiet. Brak równowagi płci skutkował dużą rywalizacją, kobiety dosłownie wychodziły z siebie, żeby to je wybrano. Mężczyźni starać się nie musieli. „Brzydki, ale własny”, jest takie powiedzenie. Widać to do dzisiaj: z zaniedbanymi, zupełnie nieatrakcyjnymi facetami spotkać można prześliczne dziewczyny.

Czyli zachodni stereotyp Rosjanki, która nawet po bułki idzie z rozpuszczonymi długimi włosami



POKSHUTERSTOCK

OWAC

Dlaczego w Rosji z zaniedbanymi, zupełnie nieatrakcyjnymi facetami spotkać można prześliczne dziewczyny

mi, w pełnym makijażu i na wysokich obcasach, jest trafny?

– Nie do końca, bo jednak Rosja jest bardzo różna. Dziesięć lat temu w Moskwie każdy zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli chce się obracać w kręgu wykształconych ludzi, to nie może malować się i biegać w szpilkach od 6 rano, tylko raczej wskakiwać w adidasy i poprzecierane dżinsy. Bo nawet jeśli nie było się na Zachodzie, to oglądało się zachodnie filmy i czytało gazety.

Ale Rosja to nie tylko Moskwa. I nie tylko Rosja administracyjna. W Mińsku, w Kijowie spotykałam mnóstwo pięknych, niezwykle zadbanych, „zrobionych” od rana i niezależnie od okazji kobiet. To lepiej niż socjologiczne badania pokazuje pozycję kobiety w danym społeczeństwie i model gospodarki. Kobietom, by żyć dobrze i spokojnie, łatwiej włożyć wysiłek w wygląd, a tym samym przyciągnąć odpowiedniego partnera, niż budować własną karierę. To typowe dla patriarchalnego, poradzieckiego społeczeństwa, w którym kobieta ma niewielkie szanse na zrealizowanie się jako specjalistka czy przedsiębiorczyni.

Jeszcze kilka dekad temu to społeczeństwo było dumne z lotu pierwszej kobiety w kosmos.

– Ale w tym samym czasie kobietom na tym obszarze tłumaczono, że być samą, bez partnera, to największa hańba, jaka może się przydarzyć. I tłumaczył nadal.

Jak przebiegał w Rosji proces powrotu do tradycyjnego modelu?

– W kilku słowach? Przyszła nowa władza, wróciło prawosławie, upadła radziecka gospodarka, wkroczył kapitalizm. No i po upadku ZSRR nastały niebezpieczne czasy. Milicja przestała ochraniać obywateli, na ulicach pełno było bandytów, zabójców, gwałcieli. Być w związku z silnym mężczyzną oznaczało zwiększyć szanse na przeżycie, na to, że dojdzie się cało do domu.

A jest jeszcze ideologia. Narzucanie ról zaczyna się wcześniej. Już w przedszkolu dzieci słyszą, że dziewczynki muszą być skromne, ustępować miejsca chłopcom, mądrzejszym i przebojowym. I że głównym zadaniem kobiety jest rodzenie dzieci. To działa. Dzisiaj, z punktu widzenia społeczeństwa, miarą kobiecego sukcesu nie jest wykształcenie i kariera, ale status osobisty. Jeśli w pewnym wieku kobieta jest singielką, to choćby miała kilka fakultetów i osiągała sukcesy zawodowe, będzie postrzegana jako wybrakowana.

W społeczeństwie, w którym żyć należy według narzuconych odgórnie zasad, każdy, kto wybiera inną ścieżkę, jest oceniany. Kobiety, które nie zakładają rodzin, wzbudzają litość i żal, często nawet u osób wykształconych, przekonanych, że dom, mąż i dzieci to spełnienie marzeń każdej z nas. Propaganda, presja społeczna i chęć spełnienia oczekiwań innych sprawiają, że wiele Rosjank wychodzi za mąż wcześniej, nie z miłości, i rodzi przed zakończeniem studiów.

W Rosji nie raz i nie dwa słyszałam, że muszę wyjść za mąż, nim skończę 25 lat. „Później nikt cię nie zechce”.

– Kobiety, którym zależy na akceptacji otoczenia, będą starały się spełnić jego oczekiwania. Ale też po to, by w końcu ludzie dali im spokój, przestali zadawać pytania, kiedy wyjdzie za mąż, za kogo, kiedy urodzi dziecko i czy zaraz potem drugie. To wszystko sprawia, że kobiety są bardzo niepewne, szukają w sobie defektów i problemów, gotowe są być z kimkolwiek, byle tylko nie musieć tłumaczyć, dlaczego są same. W oczach wielu ludzi mężczyzna świadczy o wartości kobiety.

To brzmi bardzo archaicznie.

– Dlatego chciałabym przypomnieć, że nie da się mówić o jednej Rosji. Ja, mając 25 lat, byłam na studiach doktoranckich i nasz opiekun, wiekowy doktor prawa, powtarzał: „Najpierw obrona, potem zamążpójście”. Tłumaczył, że jeśli wyjdziemy za mąż wcześniej, to najprawdopodobniej nie ukończymy studiów. Problem w tym, że obecne władze od lat pracują nad tym, by dominowały patriarchalne tendencje. Cerkiew im w tym bardzo pomaga.

Jak idealną Rosjankę przedstawiają duchowni?

– Jako mężatkę, matkę kilkorga dzieci, wspierającą męża, ale jednocześnie nie na tyle silną, by mogła poradzić sobie sama. Nie powinna mieć przy tym swojego zdania ani interesów.

Nie dziwiłby mnie sukces władz, gdyby Rosjanie byli przez te wszystkie lata odcięci od produktów zachodniej kultury, ale przecież wszyscy wyrosliśmy na tych samych filmach i serialach.

– Władze przeznaczają ogromne pieniądze na deprecjonowanie Zachodu. Znaczna większość Rosjan nie była nigdy za granicą. Propaganda, która wmawia im, że z powodu feminizmu mężczyźni w USA unikają kontaktu wzrokowego z kobietami i boją się ich, bo – za przyglądanie im się zbyt długo – mogą trafić do więzienia, sprawia, że Rosjanie mają bardzo wypaczony obraz Zachodu.

Ale to nie wszystko. Można oczywiście oglądać filmy i seriale o wyemancypowanych kobietach, tylko co z tego, skoro później i tak znajdziemy się w towarzystwie koleżanek ze szkoły albo członków rodziny, którzy będą w kółko pytać: „Gdzie twój facet? A czemu nie podoba ci się ten miły chłopak, który właśnie wrócił z frontu? Dlaczego rozstałaś się z tamtym? Co z tobą nie tak?”.

Zamiast tego słyszą, że „zachodnia ideologia feminizmu” jest szkodliwa. W Polsce jeszcze niedawno feminizm również był słowem niemalże pejoratywnym, ale świat jednak poszedł do przodu, globalizacja dotarła też do Rosji.

– Ja też jeszcze dziesięć lat temu uważałam, że „feministka” to obelga. Ale jeździłam po świecie, studiowałam za granicą, czytałam. I kiedy zaczęliśmy w Rosji kampanię edukacyjną na temat praw kobiet, stosunek do tego słowa zaczął się zmieniać. W progresywnych, liberalnych bańkach nikt się go dzisiaj nie boi.

Tylko że to bańki. A władze z pomocą maszyny medialnej włożyły ogromny wysiłek, by wmówić Rosjanom, że feministki to wariatki, skutkiem czego dzisiaj do tematu praw kobiet ludzie odnoszą gorzej niż wcześniej. Jeszcze kilka lat temu, jeśli ktoś w rosyjskim mieście wyszedł na ulicę w koszulce z napisem: „Wszystkie powinnyśmy być feministkami”, przechodnie nie zwracałyby większej uwagi. Niektórzy by się uśmiechali, inni pomyśleliby, że się nie zgadzają, ale na tym koniec. A dzisiaj do takiej osoby najpierw podejrze ktoś, by oznajmić, że na pewno coś z nią nie halo. A później pojawi się policja i zażąda wyjaśnień.

Rozmawialiśmy o tym, jak ważną rolę w życiu kobiety w Rosji odgrywa to, czy jest singielką, czy żoną. Co to właściwie znaczy dla Rosjanki: żyć w pojedynkę?

– Nie ma jednego scenariusza, to zależy, jak wszędzie, od wielu czynników – z jakiej rodziny się wywodzi, mieszka w mieście czy na wsi, czy doświadczyła przemocy, czy ma własny dom lub mieszkanie, czy ma pracę, jakie wykształcenie, czy jest singielką z wyboru, czy kobietą z dzieckiem porzuconą przez partnera.

Wspólny mianownik jest taki, że kobiety bardzo często nie są zatrudniane z powodu dzieci. Słyszą, że dziecięce choroby wpłyną na ich dyspozycyjność. A te, które ich nie mają, że „pewnie niedługo zajdą w ciążę”. Statystyki mówią jasno: mizerny procent osób, które żyją poniżej granicy ubóstwa, to samotne matki.

Czy można tak wytłumaczyć problem przemocy domowej? Czy to ze względu na strach przed trudami samotnego życia kobiety nie odchodzą?

– Przemoc domowa występuje na całym świecie. Rzecz w tym, że Rosja należy do nielicznych państw,

które nie tylko nie chcą z nią walczyć, ale nawet przyznać, że stanowi ona problem. Przedstawiciele Cerkwi osobiście zabiegali, by przepis o przeciwdziałaniu przemocy domowej został odrzucony. A Kremlowi to tylko na rękę.

Dlaczego?

– Bo zniszczyłoby ustalony ład społeczny. Relacje władz ze społeczeństwem działają według tego schematu co w rodzinie, w której występuje przemoc domowa. Przedstawiciele władzy mówią Rosjanom to, co przemocowy mąż czy ojciec tyran domownikom: „Będzie tak i tak. Bez dyskusji. Nie obchodzi mnie, czy wam się podoba. Macie znosić”.

A kiedy zaczynamy nagłaśniać problem przemocy domowej, mówić o prawach człowieka, to automatycznie podkreślamy, że ludzie są sobie równi. I że ludzie mają prawo dyskutować, mieć własne zdanie, nie zgadzać się. To niby tylko nieszkodliwa demokracja na poziomie rodziny. Ale co, jeśli ludzie zaczną się jej domagać także na poziomie państwa? A gdy zaczną żądać godnego traktowania i przestrzegania granic w domu, z czasem przypomną sobie, że przecież mają też prawa obywatelskie. A więc mogą się nie zgadzać na prowadzenie wojny; uznać, że pieniądze z budżetu można przeznaczać na inne cele; nie tolerować przemocy państwowej. Kreml tego nie chce.

A czego chcą ludzie?

– Przed wojną sondaże wskazywały, że 80 proc. popiera wprowadzenie przepisu o przeciwdziałaniu przemocy domowej. Ale Rosjanie łatwo przyzwyczajają się do nowych zasad. Wystarczy je egzekwować. Przez wiele lat rosyjscy kierowcy nie zapinali pasów albo jeździli pod wpływem alkoholu. Kiedy zaczęto karać za takie zachowanie, sytuacja szybko się zmieniła. Aby zreformować zachowania ludzi, potrzebna jest wola polityczna. A tej w Rosji nie ma.

To dlatego jeszcze przed wojną władze uznały panią i pani organizację Nasiliu Niet (Nie dla Przemocy) za „podmioty pełniące funkcję agentów zagranicy”, czyli – nieoficjalnie – „wrogów narodu”? – Chodziło nie tyle o to, że udzielaliśmy pomocy ofiarom, ile o naszą kampanię na temat przemocy. Uświadamialiśmy Rosjan, zabiegaliśmy o ustawę o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. To nie podobало się politykom i duchownym: to „wymyślony problem”, „coś sztucznego”, „zapożyczonego z Zachodu”, co może doprowadzić do zniszczenia instytucji rodziny. A taka narracja u nas działa. Rosjanie od zawsze boją się „agentów zagranicy”. Nie ufają im.

W 2017 r. Putin podpisał coś odwrotnego, czyli ustawę o dekryminalizacji przemocy domowej. – Dzisiaj lepiej rozumiemy, czemu służyła ta retoryka, którą przywołałam. Przyzwolenie na przemoc w domu oswaja, normalizuje przemoc na wyższych poziomach – choćby władzy państwowej. To zabrzmi jak teoria spiskowa, ale chodzi o czystą psychologię. Mężczyzna będzie lojalny, posłuszny, nie przyjdzie mu do głowy postawić się, jeśli będzie mógł odreagować gdzieś przemoc, której sam doświadcza – w pracy, w urzędzie, w komisariacie. W Rosji władza trzyma się na wertykalnej przemocy: silniejszy odreagowuje na słabszym. Gdyby władze chciały zmienić ten model, musiałyby zacząć od siebie. Przeciwnieństwem przemocy są rozmowa, kompromis, uwzględnianie stanowisk wszystkich uczestników konfliktu – a czegoś takiego nie wyobraża sobie żaden człowiek władzy w Rosji, nie tylko Putin.

Mówimy o przemocy domowej, a brzmi, jakbyśmy mówiły o wojnie z Ukrainą. I o stosunku Moskwy do mniejszych państw usiłujących się uniezależnić. – Rosyjskie państwo i przemocowa rodzina trzymają się na represjach: karać tych, którzy nie są posłuszni. Polityka tyrańcy i tyrańcy rodzinnego łączy bardzo wiele. Nie przypadkiem państwa, które stosują przemoc wobec innych państw, nie mają w zwyczaju przeciwdziałać jej w domach swoich obywateli. A ludzie, którzy przywykli do przemocy pod własnym dachem, nie mają problemu z tym, by tolerować, popierać lub usprawiedliwiać agresję swojego państwa względem innego. I nie mają w zwyczaju wtrącać się, kiedy tyran prośbą, groźbą, a w końcu siłą próbuje sprowadzić do domu żonę, która uciekła. Bo do maksymalnej eskalacji dochodzi właśnie wtedy: nie, kiedy żona jeszcze znosi, ale kiedy próbuje odejść.

Znów trudno powiedzieć, czy mówimy o przemocy domowej, czy o stosunku Putina do Ukrainy. Gdyby Rosjanie nie doświadczyli przemocy w domach, szkołach i na ulicach, patrzyliby na wojnę inaczej?

– Jestem tego pewna. Milczenie Rosjan to skutek systemu, w jakim żyją, przekonania, że silny może wszystko i będzie bezkarny, więc nie ma sensu, żeby słaby się wychylał. Radziecki system zbudowano na przekonaniu, że słaby nie ma żadnych praw. Jeśli człowiek został wysłany do Gułagu, to koniec, nie może się obrońić. A dzisiaj, jeśli policjant wrobi cię, oskarży o coś – choćby, co się często zdarza, podrzuci ci narkotyki – tak samo nie możesz się obronić – zostaniesz skazany, bo to jest w interesie nie tylko policji, walczącej o wyniki, ale też sądu. Ludzie czują się bezradni.

Bezradny słaby się nie wychyla – to musi wpływać na postawę kobiet doświadczających przemocy. – Trzeba wiele sił, żeby opowiedzieć o przeżytej przemocy czy gwałcie. Tymczasem kobieta, która zgłosi się na policję, słyszy, że sama jest sobie winna. Widocznie źle się zachowywała. Nikogo nie dziwią historie, jak bita kobieta wzywa policję, funkcjonariusze przyjeżdżają, ale rozmawiają tylko z mężczyzną. On zapewnia, że wszystko w porządku i odjeżdżają. Nie zapomnę historii Jany. Dziewczyna zadzwoniła na policję, że boi się o życie, partner grozi, że ją zabije. Policjantka na to: „Nie martw się, jak będzie trup, to przyjedziemy”. Dwie godziny później Jana nie żyła. Dlatego tyle kobiet nie poprosi o pomoc. Nikogo. Wiedzą, że nie obroni ich państwo i że najprawdopodobniej nie otrzymają pomocy od ludzi. Przeprowadziliśmy eksperyment z parą aktorów, którzy przez kilka godzin odgrywali w Moskwie na ulicy agresywną kłótnię. Taką, gdy od razu wiadomo, kto jest ofiarą, a kto oprawcą. Tylko dwie osoby podeszły, zapytały kobietę, czy nie potrzebuje pomocy, a mężczyźni zagrozili, że wezwą policję. Owszem, przystanęło więcej ludzi, ale żeby pouczyć, że problemy rodzinne należy załatwiać w domu, a nie publicznie.

Znaczna większość Rosjan nie była nigdy za granicą. Nietrudno im uwierzyć, że, jak mówi telewizja i kremlowskie portale, z powodu feminizmu mężczyźni w USA unikają kontaktu wzrokowego z kobietami

Rosjanie mają problem z odróżnieniem przemocy od troski? – Powiedziałabym, że troski od kontroli. Młode pokolenie jest bardziej świadome, starsze – zdecydowanie mniej. Młoda Rosjanka może nic z tym nie robić, ale przynajmniej zacznie zastanawiać się, czy partner, który każdego dnia przychodzi po nią do pracy, na pewno się o nią troszczy, czy może jednak się stara uniemożliwić jej kontakt z innymi ludźmi. Starsza uzna, że to przejaw dojrzałości i opiekuńczości.

Skala przemocy rosyjskich żołnierzy w Ukrainie panią zdziwiła? – Pamiętam szok w mediach, kiedy świat dowiedział się o ich zbrodniach. My w gronie obrońców praw człowieka i osób zajmujących się przemocą wobec kobiet w Rosji też byliśmy zdziwieni, ale tym, jak to możliwe, że wszyscy są tak bardzo zdziwieni. Przecież długie lata krzyczeliśmy na wszelkie możliwe sposoby, że w naszym kraju obowiązuje przyzwolenie na przemoc i jakie problemy to generuje. Wojna tylko je wyostrzyła. Żołnierze robią to samo co w domu, tylko w warunkach jeszcze większej bezkarności i wszechobecnej – bo to przecież wojna – przemocy, cierpienia, którym nasiągają. Żołnierzo wi, który dopuszcza się gwałtu, nie chodzi o seks, ale o dominację. I jeszcze jest nagradzany, tego się od niego oczekuje, bo znęcanie się nad słabszymi, nad cywilami na okupowanych terytoriach, jest równoległym do działań bojowych sposobem prowadzenia wojen.

O przemocy ze strony żołnierzy mówią coraz częściej sami Rosjanie. – Nie zdarzyło się jeszcze w historii ludzkości, by w kraju, który jest zaangażowany w wojnę, nie wzrosła przemoc. I to na różnych poziomach. Wokół „weteranów”, „frontowików” dzieją się straszne rzeczy. Ofiarami przemocy są nie tylko członkowie ich rodzin, również sąsiedzi i zupełnie obcy ludzie. Media donoszą o tym regularnie. A jednocześnie liczba wiadomości o pobiciach, zabójstwach, gwałtach i rozbojach sprawia, że ludzie wyraźnie się na przemoc uodpornili. Przed wojną jedno takie przestępstwo wywołałoby masowe oburze-

nie. Dzisiaj tolerancja wzrosła. Mało tego, widzimy, że wśród ludzi, którzy nie byli na froncie i nie mają w bliskim otoczeniu wojskowych, skłonność do przemocowych, agresywnych zachowań również rośnie. Wojna sprawia, że zmienia się stosunek do przemocy, ale i rośnie skłonność jej stosowania. A najgorsze jeszcze przed nami. Piekło zacznie się, kiedy z frontu wróci bardzo dużo żołnierzy ze zniszczoną psychiką.

Ludzie zdają sobie z tego sprawę? – Tak. Politycy i urzędnicy też. Kiedy jedna z deputowanych zwróciła uwagę na przestępstwa, których dopuszczają się byli żołnierze, Duma Państwowa nieoficjalnie zabroniła poruszania tematu. To coś, co rosyjskie władze lubią robić. Problemu nie ma, gdy się o nim nie mówi, więc nie trzeba go rozwiązywać.

A co z rodzinami tych żołnierzy? – One są w szczególnie trudnej sytuacji, niezależnie od tego, jaki miały stosunek do udziału męża w wojnie. To grupa, która o pomoc będzie prosić jako ostatnia. Z różnych powodów. Najbardziej oczywisty to ten, że wojskowy zazwyczaj ma dostęp do broni i potrafi z niej korzystać. Dru gi to stosunek społeczeństwa do żołnierzy, który wynika ze skutecznej propagandy: ci, którzy wrócili z wojny, to bohaterowie, a więc ludzie, którym wolno więcej. W końcu to „obrońca ojczyzny, który miał ciężko na wojnie”. Trudno wystąpić przeciwko „obrońcy ojczyzny, który miał ciężko na wojnie”, kobiecie, która nie jest niezależna finansowo, nie ma pewności siebie i wsparcia bliskich. A władze, które rozpętały wojnę, będą kryć żołnierzy. Jeśli już coś wycieknie i zostanie nagłośnione przez niezależne media, to będą mówić o „incydencie”, a nie o systemowym charakterze przemocy.

Kreml nie tylko wciska ludziom w głowy, że głównym zadaniem kobiety jest rodzenie dzieci, ale jeszcze po cichu ogranicza możliwość przerywania ciąży. Jak na to reagują ludzie, którzy od lat traktowali dostęp do aborcji jako coś oczywistego? – Tutaj ogromną rolę odgrywa Cerkiew. Autorytet duchownych bardzo pomaga władzom narzucić postrzeganie aborcji jako zabójstwa. Widzimy, że na niektóre grupy społeczne, które jeszcze niedawno traktowały aborcję jako zabieg medyczny, te kościelne wpływy działają. Ludzie starej daty, ale wykształceni oraz młodzi, mimo cenzury poruszający się w wolnej infosferze, dobrze wiedzą, jakie konsekwencje niesie zakaz aborcji i że wcale nie przekłada się na poprawę demografii. Lecz ci prości, oglądający państwową telewizję, naprawdę zaczynają uważać, że terminacja ciąży jest czymś złym. Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby równolegle władze opowiadały, co zrobić, by nie dopuszczać do niechcianych ciąż. Propaganda zaszczepia jedynie myśl: ciąża powinna zakończyć się porodem.

A dzietność w Rosji i tak gwałtownie spada. Podobnej zapaści nie widziano od blisko dwudziestu lat. – Po wprowadzeniu zakazu przeprowadzania aborcji w części prywatnych klinik Rosjanie zaczęli na gwałt kupować środki antykoncepcyjne. Nigdy nie było na nie takiego popytu. Nie da się zmusić ludzi do zakładania i powiększania rodzin, wprowadzając obostrzenia i zakazy. Żeby ludzie chcieli mieć dzieci, państwo musi stworzyć dla nich warunki. Rosjanie nie mają pojęcia, jak będzie wyglądać ich przyszłość, co wydarzy się z krajem. Stabilizacja to słowo z obcego języka. Nic dziwnego, że odsuwają temat powiększenia rodziny. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Anna Riwina

• prawniczka, założycielka Centrum Rozwiązywania Problemów Nadużyć Nasiliu.net, pomagającego ofiarom przemocy domowej. Wykładała prawo rodzinne na Moskiewskiej Państwowej Akademii Prawa. W 2020 r. „Forbes” umieścił ją w rankingu „najbardziej obiecujących młodych Rosjan”. W 2023 r. ministerstwo sprawiedliwości uznało ją za „agenta zagranicy”, zmuszając do emigracji.

wysokieobcasy
extra



NIEobojętne

Wspieraj kobiety doświadczające
przemocy domowej

Kup prenumeratę,
a my cały dochód ze sprzedaży
przekażemy na akcję

wysokieobcasy.pl/nieobojetne

39 zł

Prenumerata
WO Extra na rok



Nie wszystkie kobiety
mają szansę na wsparcie.
Chcemy to zmienić.

Środki z akcji pozwolą na
zrekrutowanie i szkolenie
wiejskich lidererek oraz
tworzenie sieci wsparcia
dla kobiet, które doświadczają
przemocy domowej

Ewa Winnicka

Przed planowaną (i odwołaną bez powodu) wizytą w założonym przez Polonię Sanktuarium Maryjnym w Doylestown w Pensylwanii Donald Trump wyznał amerykańskiemu Polakom dozgonną miłość. Dodał, że hołduje tym samym co Polonia wartościom. Była to odpowiedź na sugestię Kamali Harris, że Trump bez wahania sprzedałby Polskę swojemu kumpłowi z Moskwy. Czy 800-tyśięczna Polonia z Pensylwanii to zaakceptuje? – zapytała?

Głosy Polonii są tej jesieni na wagę złota. Wybory w USA rozstrzygnie wynik głosowania w Wisconsin, Pensylwanii i Michigan. Kluczowe są: Filadelfia i jej północne przedmieścia, Milwaukee, Detroit i sąsiednie okręgi. Mieszka w nich między 8 a 10 procent obywateli polskiego pochodzenia.

Polonia, czyli właściwie kto? Dlaczego politycy zwracają się do niej wyłącznie w nadzwyczajnych okolicznościach. Który kandydat ma u Polonii większe szanse? Czy Polish vote w ogóle istnieje?

Istnieje kilka legend założycielskich o Polakach w Ameryce. Pierwszym miał być woj wysłany przez siostrę Bolesława Chrobrego, następnie Jan Scolnus, w 1476 roku żeglarz w służbie króla duńskiego, wreszcie Franciszek Warnadziejewicz, załogant w pierwszej wyprawie Krzysztofa Kolumba, nieszczęśliwie przebity lokalną strzałą w Nowym Świecie.

Udowodniona ponad wszelką wątpliwość obecność Polaków w Ameryce zaczyna się jednak w 1608 roku, kiedy na pokładzie statku „Mary and Margaret” przybywa do Jamestown kilkudziesięciu rzemieślników, uciekinierów spod pańszczyźnianego jarzma. Znaleźli się tam 12 lat przed przybyciem ojców założycieli na statku Mayflower, wsławili zorganizowaniem pierwszego zorganizowanego strajku w miejscu pracy.

W następnych latach strumień migrantów zaczął płynąć szybciej. W wojnie o niepodległość wzięło udział ponad sto osób, z których Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski zajęli szczególne miejsce w historii nowego państwa. Kolejne fale migracyjne przybływały po przegranych powstaniach: listopadowym i styczniowym. W połowie XIX wieku na fali emigracji niemieckiej w Teksasie osiedliło się 3,5 tysiąca osób ze Śląska. Ich polskie korzenie nie były oczywiste, ale na kontynencie amerykańskim polonizacją zajęli się patriotyczni księża z zaboru rosyjskiego.

Prawdziwa fala ruszyła w drugiej połowie XIX wieku. Byli to poszukiwacze przygód, potencjalni kolonizatorzy, z Henrykiem Sienkiewiczem i Heleną Modrzejewską na czele, pojedynczy przedsiębiorcy i nieliczni działacze niepodległościowi na uchodźstwie, ale przede wszystkim przyciśnięci absolutnym niedostatkiem chłopcy z trzech zaborów.

Gromadzili się wokół polskich parafii – małych, bezpiecznych ojczyzn. Trwali przy nich okopani,



Jeśli Kamala Harris i Trump mówią o Polakach, to znaczy, że wyczerpali już wszystkie pomysły

OD POLISH JOKE DO POLISH VOTE

nieufni wobec świata zewnętrznego, do którego zaliczały się sąsiednie polskie parafie. Dwie najstarsze w Chicago: św. Stanisława Kostki i św. Trójcy rywalizowały ze sobą na śmierć i życie przez całe pokolenia, z walkami parafialnych gangów włącznie.

Linie podziału były rozmaite. Wychodzący z zaboru pruskiego pogardzali nędzarnikami z Galicji. Galicjanie zaś nędzarnikami z zaboru rosyjskiego, których car nie był nawet katolikiem. Całkiem niedawno echa zaborczych podziałów można było poczuć na Greenpoincie, gdzie po jednej stronie głównej ulicy osiedlali się Polacy z Łomży i Białegostoku, a po drugiej z Rzeszowa i okolic.

Niewielu przedstawicieli pierwszej chłopskiej fali potrafiło czytać i pisać, ale jednocześnie to właśnie oni, umęczeni, poniżani, przeżeni w obcym kraju, ufundowali i zbudowali pierwsze imponujące kościoły i solidne Domy Polskie.

Te budynki służą do dziś, a pierwsi inwestorzy nie doczekali się zbyt wielu następców. To oni, w liczbie 20 tysięcy, w 1918 roku ruszyli przez ocean, żeby wesprzeć wysiłek niepodległościowy w blękitnej armii generała Józefa Hallera. Chłopska emigracja na wiele

dziesięcioleci ukształtowała obraz Polaków w Stanach.

Tempo, w jakim przybywali do Ameryki, obrazują statystyki z Chicago. W 1860 roku mieszkało w nim 109 osób identyfikujących się jako Polacy. Czterdzieści lat później – 180 tys., w 1914 roku – 300 tysięcy. Do końca drugiej dekady XX wieku do USA wyemigrowało 2,5 miliona osób. W połowie XX wieku polska diaspora liczyła 5 milionów.

Po drugiej wojnie światowej migrantami byli lepiej wykształceni uchodźcy polityczni. Asymilowali się szybciej, z dala od „dzwonów”, jak pogardliwie nazywano bogobojnych przedstawicieli pierwszej fali. Szybciej dorabiali się jako takich majatków. Powojenni nie ufali następnym, solidarnościowym, roszczeniowym i przesiąkniętym komunizmem. Z wzajemnością: solidarnościowi zazdrościli powojennym dostatkowi i drwili z nieobycia. Powojenni i solidarnościowi zgodnie nie darzyli sympatią zarobkowych z lat 90. i początku XXI wieku, którym towarzyszyła nie szczytna idea, tylko pragnienie zdobycia szybkich dolarów.

Kiedy Unia Europejska otworzyła swoje rynki, strużka migracyjna zaczęła wysychać. Do Stanów wyjeżdżają wykształceni, znający język specjaliści z wbitym w paszport wizą pracowniczą. Czasy wiz rysowanych w paszportach kłopotliwym ołówkiem, nielegalnej pracy na budowach, numerów social security dziedziczonych po zmarłych, których dane spisywało się z cmentarza, bezpowrotnie minęły.

Według ostatniego spisu ludności ponad 9,5 miliona Amerykanów deklaruje polskie korzenie. Ta liczba robi wrażenie, ale trzeba pamiętać, że badani mogli wpisać jednocześnie kilka krajów pochodzenia. „Polakiem” z tej grupy jest 50-letni Adam, naturalizowany przybysz z lat 90. prowadzący w New Jersey polską gazetkę i mój znajomy ranczer z Teksasu, który w odpowiedniej rubryce wpisał: Polish, Irish, Swedish i English, bo takie pochodzenie mieli pradiadkowie. Od trzech pokoleń nikt w rodzinie nie był w Europie ani nie mówi po polsku.

Według tego samego spisu około 500 tysięcy Amerykanów polskiego pochodzenia na co dzień posługuje się między innymi językiem polskim. Nawet ta liczba, do-

brze zorganizowana, mogłaby teoretycznie zdecydować o wyniku wyborów. Czy faktycznie może?

O tym, że łatwiej organizować się wokół wielkich idei, natomiast życie we wspólnocie z ciepłą wodą w kranie trudne jest do zniesienia, napisano wystarczająco. W Ameryce nie było inaczej, z tym że wielkie idee też były problematyczne. Jednym z pierwszych kronikarzy Polonii w Ameryce był ksiądz Wacław Kruszk, autor sześciotomowej „Historii Polaków w Ameryce”.

Na przełomie XIX i XX stulecia Kruszk podróżował po Ameryce, obserwując wychodźców, którzy bez pomocy swojego państwa (nie istniało) próbowali budować wspólnoty, by przetrwać. Pisał: „Wychodźstwo polskie w Ameryce jest jakoby jeden olbrzymi obóz, z mnóstwem namiotów i namiotów. Są to organizacje, większe i mniejsze, towarzystwa, bractwa, kółka, zjednoczenia, związki, unie, stowarzyszenia, ligi i sokoły”. Polacy szybko zrozumieli, że trzeba się zebrać, żeby zbudować kościół i parafię, potem towarzystwo ubezpieczeniowe, a następnie wesprzeć ojczyznę. Przy czym

• 6 października br.
Nowy Jork.
87. doroczna polonijna parada z okazji Dnia Pułaskiego, maszeruje wzdłuż Piątej Alei



FOT. EUROPA NEWSWIRE / SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

od razu pojawiał się problem, czym dla poszczególnych uchodźców jest ojczyzna. Czy jest nią Polska, czy parafia katolicka? Rodzina wieś, rodzina czy może po prostu język polski?

Trudno było zbudować wielki namiot, ponieważ nie było wiadomo, jaki nad tym namiotem miałby powiewać sztandar. Tak było w przypadku dwóch największych organizacji z końca XIX wieku: Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego – najpierw wiara, potem ojczyzna, i Związku Narodowego Polskiego – najpierw ojczyzna. O bratobójczej walce obozów Kruszką pisał: „W Ameryce, rzekbys, nie istnieli wcale ani katolicy, ani Polacy, tylko zjednoczeniowcy albo związkowcy. Kto nie był związkowcem, tego Związek nie uznawał za Polaka, kto zaś nie był zjednoczeńcem, tego Zjednoczenie nie uznawało za katolika”.

Tę ciągnącą się latami wśród Polonii bratobójczą walkę Kruszką uważał paradoksalnie za źródło rozwoju i postępu: „Właśnie ona wytworzyła w Polonii amerykańskiej ożywienie, poczucie łączności, miłości ojczyzny, potrzebę oświaty: gazet, bibliotek, obchodów itd. Albowiem każde stronnictwo, chcąc sobie zjednać masy ludu, starało się je oświecać (choć stronnictwo), zachęcać do czytania swoich gazet, organizować w grupy”. Wydaje się, że opisana powyżej sytuacja powtarza się jak refren w kolejnych dziesięcioleciach. Polacy zrzeszali się, by zająć się sobą nawzajem. Amerykańskie życie było niejako tem.

W 1944 roku podczas zjazdu Polonii w Buffalo powołano Kongres Polonii Amerykańskiej, którego celem było zjednoczenie polonijnych organizacji tak, by lepiej reprezentowały społeczność na arenie politycznej. Aż do lat 50. nie

przyjmowano jednak do Kongresu nikogo, kto nie był obywatelem USA, co eliminowało całą rzeszę byłych wojskowych przybyłych do Ameryki po drugiej wojnie. Wstępowali oni do Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce – samopomocowej organizacji byłych żołnierzy z pierwszej wojny światowej, ale szybko się wypisywali, bo uważali hallerowców za zbyt ugodowych wobec nowego pojałtańskiego światowego porządku. Woleli założone w Londynie Stowarzyszenie Polskich Kombatanów. Stowarzyszenia działały równolegle w nieprzyjaznej atmosferze. Powstawały pensjonaty wypoczynkowe, w których nie zjawiliby się goście z szeregów starej Polonii. Podziały obowiązywały również na zabawach towarzyskich i kulturalnych: wieczory Lechonia, Wierzyńskiego, koncerty czy wystawy obrazów nie interesowały starych Polonusów. Dla ich dzieci używanie języka polskiego nie było już oczywistością.

Polonia z emigracyjnej zmieniała się w społeczność etniczną. Dzieci i wnuki pierwszej fali były Amerykanami, szybko opuszczały polskie enklawy i wyprowadzały się na przedmieścia.

Trzeba podkreślić, że tempo, w jakim Polonusi odnosili podstawowy ekonomiczny sukces, było zawsze imponujące i do dziś jesteśmy liderami emigracyjnych rankingów. W 1976 roku zawiązała się w Nowym Jorku Polsko-Słowiańska Unia Kredytowa – bank dla Polaków, którym kredytów odmawiały amerykańskie instytucje. Nieprzypadkowo powstała na brooklyńskim Greenpoincie – emigranckim, zaniedbanym i zrujnowanym. Amerykanie nie byli skłonni do inwestycji w takich miejscach, nie mówiąc o bankach. Polacy natomiast bez względu na status migracyjny mogli założyć tam konto i ubiegać się o kredyt, by kupić własny dom.

Kiedy do Ameryki zjechała polsolidarnościowa fala, PSUK wyrosła na najsilniejszą instytucję etniczną w Ameryce. Ma oddziały w kilku wielkich miastach, w tym Chicago, a jej depozyty sięgają 2 miliardów dolarów. Dzięki pieniądзом PSUK Polonia mogłaby mieć mocną reprezentację polityczną, lobby na różnych szczeblach administracji państwowej. Nikt w unii nie widzi takiej potrzeby ani takiej szansy. Unia co roku przeznacza wysokie kwoty na pomoc organizacjom polonijnym. W 2015 roku było to ponad ćwierć miliona dolarów. Dofinansowuje szkoły i przedszkola, funduje stypendia dla zdolnych uczniów. W 2018 roku, w okrągłą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, zapłaciła za okolicznościową reklamę na Times Square.

Kiedy w 1971 roku grupa przybyłych z Londynu byłych wojskowych i intelektualistów założyła w Nowym Jorku polskojęzyczny „Nowy Dziennik”, wydawało się, że szanse na przetrwanie są niewielkie. „Panicze z Manhattanu” nie wzbudzali zaufania potomków chłopskich migrantów.

Jednak w pierwszym numerze gazeta poruszyła palący dla całej Polonii problem. Zapytała mianowicie czytelników: czy Polacy w Ameryce są dyskryminowani? Uzasadniała zainteresowanie tematem tak: „Niekórtzy z najnow-

szych przybyszów z Polski zaskoczeni są istnieniem gadzinowych publikacji ośmieszających »Polacksów«”.

Listy od czytelników zaczęły spływać natychmiast. Oto fragmenty dwóch typowych: „Oczywiście. W szkołach i na uniwersytetach nazwisko na -ski utrudnia uzyskanie pracy i osiągnięcie kariery. Polaków uważa się za nieobiektywnych i stara się ich zepchnąć w cień. W bankowości Polaków prawie nie ma. Tam zasiedziały anglo-amerykański establishment broni swych pozycji przed ludźmi pochodzenia słowiańskiego.”.

I drugi: „Uważam, że Polacy i Amerykanie polskiego pochodzenia sami stwarzają sytuację niekorzystną. Mają kompleks niższości. Nie domagają się miejsca należnego w społeczności. Są bierni, pozwalają się popychać. Wystarczy im opinia, że dobrze pracują. Nie mają ambicji jako grupa. Ani politycznych, ani społecznych. Zadowoleni są, jak ich się chwali, ale za swoje głosy, za poparcie, niczego nie żądają. Wreszcie: nie są solidarni. Niech się uczą od Włochów, Żydów, Murzynów, jak należy działać jako jedna grupa. Moim zdaniem, jeśli istnieje dyskryminacja, to jest to dyskryminacja Polaków przeciwko sobie samym”.

Polskojęzyczne media przeżywały rozkwit w latach 80. i 90., kiedy po stanie wojennym i w czasie transformacji pojawiła się nowa fala odbiorców reklam, treści osławiających z nowym krajem, ale przede wszystkim tekstów o wojnie polsko-polskiej prowadzonej w Polsce.

Marek Skulimowski, prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, w tym upatruje skrzywiony obraz diaspory polskiej widzianej z Warszawy. – Kiedy Warszawa czyta media polonijne, zapomina, że tworzą je w większości autorzy urodzeni w Polsce, którzy przenoszą swoje poglądy na grunt polityki amerykańskiej.

Często nie mają nawet obywatelstwa USA i nie mogliby głosować w wyborach prezydenckich. Szeroka rozproszona polska diaspora głosuje tak, jak jej sąsiedzi na przedmieściach, a nie jak chciałby redaktor prawicowej polskojęzycznej gazety.

W 2016 roku na zwycięskiego kandydata Republikanów głosowali w większości mężczyźni, osoby po 45. roku życia, biali, protestanci i katolicy. Hillary Clinton, kandydatkę Partii Demokratycznej, wsparły kobiety, osoby młode, Afroamerykanie, Latynosi, Azjaci, ateści.

Na tej podstawie nowojorski „Nowy Dziennik”, prowadzony przez konserwatywnego emigranta z Polski, wywnioskował, że Amerykanie polskiego pochodzenia częściej głosowali na Trumpa. „Nie spotkałem ani jednej osoby polskiego pochodzenia, która głosowałaby na Hillary Clinton” – pisał John Czop z Ridgewood. Podobne głosy słyszał było z Chicago, Buffalo czy Florydy.

W jedynych dostępnych badaniach preferencji wyborczych Polonii prowadzonych przez Piast Institute 36,5 procent badanych uważa się za zwolenników Partii Demokratycznej, 33,3 procent za niezależnych, a 26,11 za republikanów. 4,2 procent to inni.

Marek Skulimowski: – O ile w 2016 roku przewaga Demokratów była mała, cztery lata później wzrosła. Polska diaspora wybrała Joego Bidena.

Obraz Polonii jest niepełny także dlatego, że w polskiej literaturze, a potem filmie Polonusi pojawiali się nieczęsto, za to stereotypowo. W XIX wieku zazwyczaj w chrześcijańsko-patriotycznym sosie. W latach 30. zaczęto zauważać reemigrantów z Ameryki. Byli to bez wyjątku ludzie wielkiego sukcesu finansowego.

Po wojnie, pod ideologicznym naciskiem, Polak w Ameryce mógł być postacią pozytywną, jeśli wyjechał za chlebem przed wojną i był zakochanym w Polsce pocziwcem z dolarami. Im głębiej w PRL, tym jego walory mogły się ujawniać bardziej wyraziście. Pamiętam Pawła „Cappucino” Kopińskiego, granego przez Piotra Fronczewskiego emerytowanego nowojorskiego policjanta w „Zamknąć za sobą drzwi”, brawurowym odcinku serialu „O7 zgłoś się”, który wyręcza ślamazarną polską milicję i wymiar sprawiedliwości w egzekwowaniu kary. John Pawlak, odwiedzający Polskę bohater nieśmiertelnych „Samych swoich”, jest przywiązany do Kościoła i tradycji ucieśnieniem zdrowego rozsądku w porównaniu z rozsalałą rodziną polskich Pawlaków i Karguli.

**Doradca Clintona:
Ani ja, ani prezydent
nigdy nie wierzyliśmy,
że istnieje coś takiego
jak polski głos. Jest
biały głos, czarny głos,
żydowski i latynoski**

Prawdziwe emocje wywołała opublikowana w 1994 roku powieść Edwarda Redlińskiego „Szczuropolacy”, a trzy lata później jej adaptacja pod tytułem „Szczęśliwego Nowego Jorku”. Reżyser Janusz Zaorski pokazał grupę ściśniętych w „sableju” nieszczęśliwych dorobkiewiczów, ciulających każdy grosz, zawieszonych między Polską a Ameryką. Godnych nie tylko współczucia, ale i pogardy.

Ciekawy jest rozróżnienie, jaki towarzyszy obrazowi Polonusa w kinematografii polskiej i amerykańskiej. W obu nie występuje on zbyt często. Cechami, które amerykańscy twórcy przypisują polskiemu Amerykanom, nie jest bogobojność ani pocziwłość. Są oni pracowici, ale nieobliczalni. Wywołanie konfliktów jest ich wrodzonym darem.

Mimo wewnętrznych sporów i niskiej pozycji na drabinie społecznej do połowy XX wieku głos Polonii był dość silny i politycy amerykańscy musieli się z nim liczyć. Chodziło o naszą liczebność i skupienie w enklawach, zwłaszcza w Pasie Rdzy. Polscy Amerykanie byli siłą w wyborach prezydenckich, głosowali na Demokratów, zapewnili Franklinowi

D. Rooseveltowi ogromny margines przewagi, zwłaszcza po wybuchu wojny w 1939 roku. Głosowaliśmy na Dwighta Eisenhowera, a w 1960 roku na Johna F. Kennedy’ego.

Ostatni zauważalny dla Amerykanów akt przeżeniamuskulów, jak określa to „Politico”, miał miejsce podczas wyborów prezydenckich w 1976 roku w następstwie epickiej gafy Geralda Forda. Podczas jednej z debat powiedział, że „nie ma sowieckiej dominacji w Europie Wschodniej”. Ford pogorszył sprawę, mówiąc, że nie wierzy, by „Polacy uważali się za zdominowanych przez Związek Radziecki”. Polskie głosy w Michigan, Wisconsin i Pensylwanii przeszły na stronę Jimmy’ego Cartera.

Polonusi, jak większość emigranckich diaspor, tradycyjnie głosowali na Demokratów, którzy mieli dla nowo przybyłych lepszą ofertę. Wyjątek zrobiliśmy dla Ronalda Reagana i George’a H.W. Busha ze względu na ich silnie antykomunistyczne przekonania. Pojawilo się wiele spekulacji, że pragnienie Billa Clintona, by pozyskać polskich Amerykanów i innych środkowoeuropejskich wyborców, odegrało rolę w jego wysiłkach na rzecz rozszerzenia NATO i włączenia do niego Polski.

Wtedy jeden z doradców Clintona, strateg polityczny Dick Morris, powiedział coś, co złamało serce wielu Polakom w USA: „Ani ja, ani prezydent nigdy nie wierzyliśmy, że istnieje coś takiego jak polski głos. Jest biały głos, czarny głos, żydowski i latynoski”.

– Polonia, nawet ta najliczniejsza, chicagowska, wbrew własnym obiegowym opiniom nigdy nie była w Stanach Zjednoczonych wpływową politycznie grupą etniczną, choć miała przedstawicieli w Kongresie i Senacie USA czy w legislaturach stanowych swoich przedstawicieli. Dzięki liczebności i centralizacji Polonia stanowiła istotny elektorat, o którego głosy zabiegali lokalni politycy. Dopóki Polonia głosowała. Potem przestali. W lokalnych wyborach samorządowych wiosną 2017 roku Polonusi nie zdecydowali się na poparcie polonijnych kandydatów startujących na stanowiska burmistrzów podmiejskich miejscowości i radnych – mówi Grzegorz Dziedzic. Pisarz, autor kryminałów, który wyemigrował do Chicago w 1999 roku.

Podobne wrażenie odniosłem w Nowym Jorku po rozmowie z założycielami polskiego Radia Rampa na Brooklynie. Próbowali namówić lokalną społeczność do rejestrowania się na wybory połówkowe. Szło im jak po grudzie. Ożywienie następowało, gdy w Polsce zaczynała się przedwyborcza walka między PiS a PO.

Marek Skulimowski: – Spytałem niedawno znajomego polityka w Waszyngtonie: dlaczego nie zwracacie się do Polaków? Odpowiedź była szczerą: bo nie wspieracie finansowo naszych kampanii. Jeśli Harris i Trump mówią o Polakach, to znaczy, że wyczerpali już wszystkie pomysły i liczą się już najbardziej przypadkowe głosy. ●

O Polakach w Ameryce Ewa Winnicka opowiada w książkach „Greenpoint” i „Miasteczko Panna Maria” (wyd. Czarne). Dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.



Najbardziej kozacka linia lotnicza na świecie

POLECIAŁAM DO BEJRUTU

Nie można polecieć do Ukrainy ani do Strefy Gazy, a w Libanie samoloty pasażerskie lądują 40 razy dziennie, pod izraelskim ostrzałem. Jak to możliwe?

Milena Rachid Chehab

Lądowanie nad Bejrutem to jedno z najprzyjemniejszych doświadczeń lotniczych. Samolot nadlatuje od strony morza, potem skręca w prawo, mijając położone na wybrzeżu miasto otoczone wzgórzami migoczącymi światłem okolicznych miejscowości, aż w końcu dociera do lotniska położonego na południowych przedmieściach.

Tym razem jest podobnie, tyle tylko, że w okolicy lotniska unoszą się kłęby dymu – bombardowanie było kilkanaście minut temu i nie wiadomo, czy się skończyło. Załoga wydaje się jednak tym nie przejmować, więc jej spokój udziela się i nam – kilkunastu pasażerom obecnym na pokładzie.

Rzeczywiście, dla pracowników Middle East Airlines, czyli libańskiego narodowego przewoźnika, takie lądowanie to nie pierwszorzyna. W ostatnich tygodniach zaliczyli już nie tylko dziesiątki lądowań odbywających się zaraz po bombardowaniu te-

renów w bezpośrednim sąsiedztwie bejruckiego lotniska, ale też przynajmniej kilka, w których bomby lądowały na bejruckiej ziemi właściwie w tym samym czasie co samoloty MEA.

To dzięki jednej z takich akcji, obficie relacjonowanej zarówno przez libańskie telewizje, jak i pasażerów dzielących się obrazkami w social mediach, przylgnęło do MEA określenie „najbardziej kozackiej linii lotniczej na świecie” [the most badass airline in the world]. A Libańczycy zyskali chyba największych bohaterów tej wojny.

Gdy pod koniec września większość linii (w tym nasz LOT) przestała latać do Bejrutu, tylko MEA się nie wycofała. Nawet gdy ubezpieczyciele z powodu zwiększonego ryzyka podnieśli stawki, szefowie linii postanowili działać dalej, załatwili jedynie zastrzyk finansowy od libańskiego rządu, który zgodził się pokryć różnicę w kosztach ubezpieczenia (linia w 95 proc. należy do Banku Libanu).

Nie wycofali się też pracownicy. „Nie latamy, bo jesteśmy do tego zobowiązani – mamy wybór, możemy odmówić. Nie latamy dla pieniędzy, bo nie dostajemy nic ekstra. Nie latamy dla chwały, bo jesteśmy tylko ludźmi, a strach rzuca cień na każdy nasz krok. Latamy, bo w tych najciemniejszych godzinach nasza miłość i lojalność wobec naszej ojczyzny i jej mieszkańców górują nad wszystkim innym. I latamy, bo ta mała, cenna kraina zwana Libanem by-

ła wciąż połączona ze światem, nawet gdy niebo wydaje się zbyt ciężkie, by się w nie wzbić” – napisała kilka dni temu na Instagramie kapitan Rola Hoteit (zbierając prawie 18 tys. lajków), po tym, jak jej spektakularne wieczorne lądowanie trafiło do głównych wiadomości dnia.

Kapitan Hoteit nie od dziś jest tu gwiazdą pierwszej wielkości: to pierwsza kobieta pilotująca samoloty MEA i wiceprezesa bliskowschodniej gałęzi międzynarodowego stowarzyszenia pilotów. W 2016 roku BBC umieściło ją na liście 100 najbardziej wpływowych kobiet na świecie. Regularnie odwiedza szkoły i uczelnie, gdzie zachęca dziewczyny do rozwinięcia zawodowych skrzydeł, świecąc przykładem jako pilotka, która znajduje czas na bycie żoną (pilota MEA) i matką (dwóch dorosłych już synów) oraz na studia – oprócz matematyki, którą skończyła na prestiżowym Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie (AUB), skończyła jeszcze psychologię lotniczą (w Grazu) oraz filozofię (na AUB).

To na studiach zresztą podjęła decyzję o byciu pilotką – wkurzyła się, gdy jeden z kolegów na wieść o naborze na szkolenie pilotów w MEA zażartował, że to nie dla kobiet, bo one nawet z prowadzeniem samochodów sobie nie radzą, i zgłosiła się na kurs. Dziś jest jedną z twarzy MEA, a prawie ćwierć miliona obserwujących na Instagramie i drugie tyle na TikToku zawdzięcza również ostatniej fali popularności swojego pracodawcy.

Dzięki wciąż działającym libańskim liniom można do Bejrutu przylecieć około 40 razy dziennie z ponad 20 kierunków w Europie, Afryce i na Bliskim Wschodzie, ale z opcji tej korzysta garstka ludzi. Nie to, co w drugą stronę.

Na którykolwiek z lotów w najbliższych dwóch tygodniach biletów zdobyć nie sposób – każdego dnia kraj opuszcza kilka tysięcy osób. Część z nich to Libańczycy, którzy przyjechali do ojczyzny na wakacje i zastali ich wojna, część – obcokrajowcy, którzy odpowiedzieli na wezwanie rządów swoich krajów do ewakuacji, pozostali to Libańczycy, którzy uciekają przed wojną. Trudno jednak powiedzieć, jakie właściwie są to proporcje.

Lotnisko im. Rafika Hariri w Bejrucie to właściwie jedyna w miarę rozsądna droga opuszczenia kraju. Do 2011 roku alternatywą były przejścia graniczne z Syrią, ale odkąd panuje tam wojna, to dość ryzykowna trasa. A od zbombardowania przez Izraelczyków przejścia Masnaa dwa tygodnie temu to już w ogóle.

Do 2019 roku kursowały jeszcze promy na odległy o blisko 250 km Cypr, ale od wielkiego kryzysu gospodarczego przestały. Dziś niektórzy z tych, którzy nie załapali się na szybki lot z MEA, wynajmują prywatne jachty, ale cena nie jest dla zwykłego śmiertelnika, bo przewoźnicy życzą sobie minimum 1,5-2 tys. dol. za osobę. Na tym tle nawet ceny biletów na przelot w klasie biznes wyglą-



dają rozsądnie, zwłaszcza że MEA chelpi się, że nie wykorzystała pozycji monopolisty ani faktu, że w przeciwną stronę samoloty latają prawie puste, i nie podniosła cen biletów.

Zwłaszcza, że nie wiadomo, jak długo będzie mogła latać – w Bejrucie właściwie każdą rozmowę o lotnisku, a jest to jeden z najczęstszych tematów okolowojeennych, kończy się „inszallah”. Ale tym razem nie jest to zwykłe „jak Bóg da”, czyli arabska wersja „pożyjemy, zobaczymy”. Zdecydowanie więcej w tym konkretnych obaw, że lada chwila cały ten hart ducha, jaki prezentują „wojownicy przestworzy” z MEA, na nic się nie przyda, bo nie będą mieli skąd latać.

Lotnisko na południowych przedmieściach Bejrutu nie ma bowiem żadnej cywilnej konkurencji i choć w ostatnich tygodniach wróciła dyskusja o budowie alternatywy gdzieś na północy kraju, na przykład w pobliżu kurortu narciarskiego Kfardebian, to wciąż jest to pieśń przyszłości. A zagrożenie jest tak duże, że lotnisko im. Rafika Hariri może przestać działać każdego dnia.

Główny powód to taki, że cała jego okolica jest kontrolowana przez Hezbollah, więc Siły Obronne Izraela powinny zbombardować je już dawno. Na razie Izraelczyków powstrzymują Amerykanie – w ubiegłym tygodniu rzecznik Departamentu Stanu USA tłumaczył, że wezwał IDF, by nie atakował lotniska ani dróg do niego prowadzących, gdyż „bardzo ważne jest, aby mogli wyjechać obywatele amerykańscy, którzy chcą wyjechać, ale także obywatele innych krajów”.

W ostatnich tygodniach ryzyko bombardowania lotniska wielokrotnie było jednak ogromne. Ostatni raz dzień po zabiciu szefa Hezbollahu Hassana Nasrallaha i ogromnym nocnym bombardowaniu dzielnicy Dahieh, gdy rano z wieżą kontroli lotu skontaktowało się izraelskie wojsko i zagroziło atakiem, jeśli tylko przyjmie ona lecący planowo samolot irańskich linii lotniczych. Maszyna zawróciła wtedy do Teheranu i był to jak dotąd ostatni przylot do Bejrutu innych linii niż MEA. Nie licząc samolotów przysłanych przez inne państwa do ewakuacji swoich obywateli.

Libańscy wiedzą, że Izraelczycy nie rzucają słów na wiatr, bo poprzednia wojna, w 2006 roku, zaczęła się właśnie od zbombardowania tutejszych pasów startowych. No i w bejruckim lotnisku jak w soczewce odbija się cała współczesna historia tego kraju i jego trudnych relacji z Izraelem.

Gdy je otwierano w 1939 roku, państwo Izrael było jeszcze jedynie pomysłem garstki ludzi, z Bejrutu latały Palestine Airlines, a lotnisko było m.in. ważnym przystankiem Air France – Liban był wtedy mandatem francuskim – na trasie do Indochin.

Po II wojnie światowej – i uzyskaniu niepodległości przez Liban – dawne malutkie lotnisko zastąpiono nowym, a wielki rozmach, z jakim je postawiono, odzwierciedlał rozwijającą się właśnie reputację Bejrutu jako Paryża Bliskiego Wschodu, tudzież

„Nie latamy dla pieniędzy, nie latamy dla chwały, bo jesteśmy tylko ludźmi, a strach rzuca cień na każdy nasz krok. Latamy, by ta mała, cenna kraina zwana Libanem była wciąż połączona ze światem” – napisała na Instagramie kapitan Rola Hoteit, pilotka Middle East Airlines (MEA)

• **Samolot MEA startuje z międzynarodowego lotniska im. Rafika Hariri w Bejrucie, które pracuje normalnie mimo ostrzału i trwającej wojny Izraela z Hezbollahem, 8 października br.** FOT. MOHAMED AZAKIR/REUTERS

– w kwestiach finansowych – szwajcarii Bliskiego Wschodu. Lata 50. i 60. to czasy największego rozkwitu i Libanu, z jego kosmopolityczną stolicą na czele, i jego ekskluzywnego portu lotniczego.

Przerwała je zaraz po Bożym Narodzeniu 1968 roku operacja „Podarunek”, która wyglądała jak niezły film akcji: 28 grudnia, późny wieczór, nad lotnisko nadlatują na wyłączonych światłach helikoptery, asekurowane z morza przez kutry torpedowe.

Ze śmigłowców w mgnieniu oka desantują się członkowie jednostki specjalnej armii izraelskiej. Za pomocą flar dymnych sięja chaos na lotnisku, jednocześnie odcinając je od pomocy z zewnątrz dzięki rozrzuceniu na drodze dojazdowej gwoździ i żeli poślizgowych. Niemal natychmiast otaczają 14 samolotów (12 pasażerskich i 2 transportowe) należących do 3 libańskich linii lotniczych, jeśli trzeba, pozbywają się z nich pasażerów, a następnie okablowują materiałami wybuchowymi i detonują. Niecałe pół godziny później po komandosach nie ma już śladu, po samolotach też – z dymem idzie sprzęt wart wtedy 44 mln dol. (spowoduje to zresztą bankructwo jednej z linii), ofiar w ludziach brak.

Cała akcja miała być zemstą za przeprowadzony dwa dni wcześniej atak na samolot pasażerski izraelskich linii El Al (zginęła w nim jedna osoba) zorganizowany przez Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny – lewicową organizację założoną w Syrii przez Palestyńczyków.

Akcja izraelskiego wojska spotkała się wtedy z dużym oburzeniem międzynarodowym: Rada Bezpieczeństwa ONZ jednogłośnie wydała potępiającą rezolucję, Stany Zjednoczone stanęły w obronie Libanu, który nie miał nic wspólnego z porwaniem izraelskiego samolotu, a Francja nawet wprowadziła embargo na dostawy broni do Izraela, bo okazało się, że śmigłowce, których użyto w operacji „Podarunek”, były produkcji francuskiej.

To był początek końca złotego wieku Bejrutu, którego kres przypieczętuje siedem lat później wybuch wojny domowej ciągnącej się aż do 1990 roku. W tym czasie lotnisko wielokrotnie będzie świadkiem/ofiarą wojennej zawieruchy i trafi pod kontrolę coraz to innej bojówki.

W 1982 roku w położonych na jego terenie koszarach międzynarodowych sił pokojowych zginęło 241 amerykańskich marines – do jednostki wjechała ciężarówka wyładowana po brzegi materiałami wybuchowymi. Miał to być odwet Hezbollahu za wspieranie Falangi, czyli bojówki chrześcijańskiej, a pośrednio także odwet Iranu za wsparcie przez USA Iraku w wojnie iracko-irańskiej.

Trzy lata później na bejruckim lotnisku horror przeżyje z kolei 147 pasażerów oraz załoga samolotu linii TWA lecącego z Kairu do San Francisco, porwanego przez członków Hezbollahu z żądaniem uwolnienia szyickich więźniów przebywających w izraelskich więzieniach. Sfabularyzowaną wersję tego wydarzenia opowiada film „Delta Force” z Chuckiem Norrisem i Lee Marvinem w rolach głównych. Terrorysty szczególnie źle traktowali zakładników wojskowych oraz osoby o żydowsko brzmiących nazwiskach a ich gehenna trwała ponad dwa tygodnie. Zakładników w końcu uwolniono, ale większość porwaczy nie poniosła kary – niektórych nie złapano do dziś.

Choć przez całą wojnę libańskim liniom lotniczym udało się utrzymać neutralność i pluralizm – pracownikom mieszkającym w najniebezpieczniejszych dzielnicach Bejrutu linia zapewniła noclegi przy lotnisku – to samo lotnisko przechodziło w ręce kolejnych bojówek walczących w wojnie domowej: chrześcijan, druzów i szyitów, którzy co rusz wstrzymywali ruch. W rezultacie, nawet gdy nastał pokój, mało kto chciał latać: ok. 40 proc. Libańczyków na dobre zamieszkało za granicą, a roczna liczba pasażerów w 1990 roku wynosiła nieco ponad 200 tys. – prawie 12 razy mniej niż w 1974 roku, przed wybuchem wojny.

Nowe tchnienie nadziei miało przyjść w 1998, a potem w 2005 roku razem z remontem oraz dobudową pasa startowego, ale radosny nastrój nie trwał długo – rok później nastąpiło bombardowanie uzasadniane przez izraelskiego premiera Ehuda Olmerta tym, że na lotnisku swoją broń miał składować Hezbollah.

Echa tego odezwały się zresztą niecałe cztery miesiące temu, gdy w brytyjskim „The Sunday Telegraph” ukazała się informacja identycznej treści. To dlatego politycy wszystkich opcji z premierem na czele niemal natychmiast udali się na inspekcję, by na oczach kamer przekonać świat, że lotnisko im. Rafika Hariri jest czyste i bezpieczne. To wiadomość o strategicznym znaczeniu nie tylko dla polityków, ale i dla Libańczyków – 4 mln mieszkających w kraju i ponad 20 mln rozsiansych po świecie – dla których tutejsza hala przylotów to ostatni przystanek na drodze do domu.

Jak bardzo to ważne miejsce, można się przekonać po tym, że niemal o każdej porze jest wypełnione rodzinami, które – często z kwiatami, balonami i transparentami – tłumnie przyjeżdżają, żeby powitać bliskich.

Ale nawet gdy teraz lądujemy bezpiecznie, cała procedura przebiega sprawnie, a pracownicy lotniska zapewniają, że wszystko jest mneha, nie dają się przekonać. W hali przylotów po raz pierwszy od prawie 30 lat nikt na mnie nie czeka i właściwie nikogo tu nie ma. ●

O tym, że jest szóstym
tenisistą świata,
Hubert Hurkacz
dowiedział się na łóżku
rehabilitacyjnym

Radosław Leniarski
Dariusz Wołowski

Pokój na trzecim piętrze Centralnego Ośrodka Sportowego w Zakopanem nie ma widoku na Świnicę, Kasprowy ani Giewont. Zasłony są zaciągnięte. Wnętrze niemal całkiem wypełnia łóżko rehabilitacyjne, na którym leży Hubert Hurkacz, od trzech lat utrzymujący się w dziesiątce najlepszych tenisistów na świecie. Musi się jednak spieszyć, bo czas po operacji pracuje na jego niekorzyść. Gdy on wraca do formy, rywale zdobywają punkty w Pekinie i Szanghaju.

Hurkacz w pokoju nr 305 nie wygląda na sportowca ze światowego topu. Zwłaszcza z ośmioma igłami wbitymi w kolano i grymasem bólu na twarzy, gdy fizjoterapeuta Jakub Rogalski z pomocą stalowego narzędzia rozmasowuje bliznowatości na skórze i pod nią.

Czwartego lipca Hurkacz upadł na kort, próbując odbić piłkę zagrana przez Arthura Filsa w drugiej rundzie Wimbledonu. Natychmiast chciał się poderwać, ale w kolanie chrupnęło, i to dwukrotnie. Instynkt kazał mu walczyć. Wrócił do gry, ale jednak musiał poddać mecz w tie-breaku czwartego seta. Marzący o pozycji numer jeden na świecie, nagle musiał odpowiadać sobie na pytanie: szyc rozerwana ląkotkę czy ją usunąć? Przez głowę przeleciało mu pytanie, czym miałby się zajmować, gdyby musiał zrezygnować z tenisa.

*W tenisie
najważniejsza
jest głowa*

Z HUBERTEM HURKACZEM
ROZMAWIAJĄ RADOSŁAW
LENIARSKI I DARIUSZ WOŁOWSKI

RADOSŁAW LENIARSKI, DARIUSZ WOŁOWSKI: To musiało być zaskakujące. Myślisz sobie o turniejach, forhendach, top-spinach, analizujesz grę, gdy nagle masz rozstrzygnąć krańcowo odległą kwestię, która może zaważyć na twojej przyszłości jako tenisisty.
HUBERT HURKACZ: No tak. To był dylemat. Zszywanie łąkotki opóźniłoby proces powrotu do pełnej formy. Wróciłbym na kort może w lutym na turniej w Dubaju. Szew nie jest pewny. I gdyby został obciążony, mógłby puścić. Wtedy wróciłbym do punktu wyjścia, czyli potrzebna byłaby kolejna operacja – usunięcia łąkotki. A przecież skoro z Kubą, moim fizjoterapeutą, założyliśmy, że moja kariera potrwa do czterdziestki, to chcę, żeby kolano działało jak nowe, żebym jeszcze wiele lat mógł grać na najwyższym poziomie.

Jeśli chodzi o sam zabieg, to jego niekorzystne efekty – skutki ingerencji chirurgicznej – mamy już za sobą. Teraz trzeba, aby zrehabilitowało się ciało. Dlaczego? Bo podświadomie, w ograniczonym zakresie, lewa noga przejmowała część funkcji prawej, tym bardziej że część rozerwanej łąkotki utkwiała w jamie stawu kolanowego i blokowała wyprost prawej nogi. Do czasu operacji, czyli dziesięć dni po upadku, noga była non stop ugięta w kolanie. A przez dziesięć dni wzorzec chodu się zmienia. Choć normalny pacjent, by tego pewnie nawet nie zauważył.

Nienawidzę igieł [w tym momencie w różnych punktach kolana Huberta powyżej łąkotki tkwi osiem igieł – red.].

Na Wimbledonie chciałeś wstać i grać dalej. Nawet po chwili spędzonej na ławce, czyli po zastanowieniu się.

– Po pierwsze i najważniejsze, nie mamy wpływu na wypadek w sporcie. On się po prostu przydarza, i już. Możemy mieć wpływ na kontuzje – zapobiegając im lub ograniczając je właściwymi treningami. Wiedza, jak to robić, jest kluczowa, bo tenis jest chyba najbardziej urazowym sportem. Kolana i stawy skokowe podlegają olbrzymim przeciążeniom. Kiedy wstawałem z kortu, od razu wiedziałem, że jest źle. Poczulem i usłyszałem dwa chrupnięcia w kolanie. Nie mogłem wyprostować nogi. Ale jednocześnie przemknęła mi przez głowę nadzieja, że może stało się coś, co można szybko naprawić, na przykład jakaś kość przeskoczyła i zaraz wróci na miejsce. Starałem się zachować spokój i znaleźć rozwiązanie.

Natychmiast po meczu pojechaliśmy na badania. Kolano zaczęło puchnąć. Obraz rezonansu wyglądał tak źle, że przez sekundę pomyślałem: „Kurczę, co ja jeszcze umiem robić poza tenisem?”. Pierwsze diagnozy mówiły o konieczności wycięcia sporej części łąkotki lub zszyciu rozerwanych części, co – o czym już wiedziałem – jest również dramatyczną informacją. Ale w następnej sekundzie już robiłem plan, żeby móc wrócić na kort.

Ośmiu na dziesięciu lekarzy mówiło o szyciu. Ale skupiliśmy się na tych dwóch pozostałych opiniach, które brały pod uwagę również sportowy aspekt urazu. To znaczy zszycie łąkotki w jej nieukrwionej części oznacza większe ryzyko dla zawodnika, który chce wrócić do sportu. Jest lepszym wyborem dla zwykłego człowieka, któremu nie zależy na aktywności fizycznej na wyższym poziomie.

Wyobraziłem sobie sytuację, że po ośmiu miesiącach szew puszcza. I że potrzebny jest kolejny zabieg. Mógł-

by on dla mnie oznaczać koniec kariery. Dlatego wybrałem rozwiązanie bezpieczniejsze, dające mi szansę na pełny powrót do zdrowia. Tyle że trzeba się mocno przyłożyć do rehabilitacji.

Dlatego najpierw trzeba było porozmawiać z lekarzami, zebrać wszystkie dane, przeanalizować ryzyko i korzyści. To trwało kilka dni. W tym czasie mogłem też liczyć na pomoc innych sportowców. Żeby podjąć decyzję, kontaktowałem się z piłkarzami, tenisistami itd., zasięgając informacji o ich doświadczeniu.

W tym z Novakiem Djokoviciem. Miał podobną kontuzję na Rolandzie Garrosie, operację, a już po 26 dniach wystartował w Wimbledonie, gdzie doszedł do finału, a potem zdobył złoty medal olimpijski w Paryżu.

– Tylko że on miał inny zabieg. Jego kontuzja była inna niż moja. Rozmawialiśmy z lekarzem, który zajmował się Novakiem, i z wieloma innymi specjalistami na świecie. Oglądałem obraz rezonansu mojego kolana. Tymczasem pewne ważne szczegóły urazu można zobaczyć tylko bezpośrednio, po otworzeniu stawu. Zdecydowałem się na operację u doktora Bartłomieja Kacprzaka, musiałem czekać, bo miał zaplanowane swoje operacje. W sumie od urazu do zabiegu, wraz z poszukiwaniami odpowiedniego lekarza, minęło sporo czasu, bo aż dziesięć dni. Chodziłem wtedy na siłownię, próbowałem nogę wzmocnić na basenie. Początkowo nie byłem w stanie stanąć na niej.

Emocjonalnie był to dla mnie trudny czas. Nie wiedziałem, czy wrócę do gry. Nie wiedziałem, kiedy wrócę. Byłem zdeterminowany, ale nikt niczego nie mógł mi zagwarantować. Obawiałem się, że stanie się to dopiero w przyszłym roku. Nie miałem pojęcia, jaki osiągnę poziom sprawności ani ile czasu to wszystko zajmie. Kocham tenis i chcę grać. Mam znacznie wyższe ambicje niż to, co osiągnąłem do tej pory. Gdy podjąłem decyzję o usunięciu fragmentu, a nie szyciu łąkotki, to już było trochę lepiej, bo teoretycznie czas powrotu na kort się skrócił. Myśleliśmy o igrzyskach olimpijskich, ale bardzo szybko okazało się to nierealne, choć nie wiem, czy jakakolwiek osoba w historii tenisa wróciła do gry po artroskopii tak szybko jak ja.

Turniej w Montrealu odbywał się trzy tygodnie po zabiegu. Z perspektywy czasu myślisz, że twoja decyzja o tak szybkim powrocie była dobra?

– Tak. Inaczej nie wiedziałbym, na czym stoję. Byłem gotowy do gry. Kolano samo w sobie było solidne, bezpieczne. Wiedziałem, jak mocno pracowaliśmy, żeby je wzmocnić: zajęcia związane z dochodzeniem do formy zaczęliśmy o godzinie 7 rano, kończyliśmy o 21. Byłoby dłużej, ale człowiek musi się też wyspać. Każda minuta była zaplanowana. Bolało 15 minut spóźnienia, gdy ktoś czegoś nie dowiózł lub o czymś zapomniał. Byliśmy wtedy źli. Nawet nie oglądałem w telewizji turniejów, w których nie grałem – z braku czasu.

Obecność Kubby Rogalskiego pomogła mi podjąć decyzję o usunięciu części łąkotki – wiedziałem, że będzie przy mnie cały czas i zaopiekuje się kolaniem. Dodatkowo brak Kuby i Przemka Piotrowicza [trener przygotowania fizycznego] byłby dużym problemem. To ich zasługa, że wróciłem już na turniej w Montrealu 10 sierpnia. Teraz w planach jest start w Paryżu (ATP 1000), ale tak naprawdę najważniejszy jest przyszły rok.

Mówiłeś, że kochasz tenis. Da się jeszcze kochać tenis z jego ogromnymi wymaganiami?

– Pewnie, że tak. Jest moją pasją i stylem życia. Uwielbiam to robić i mam ogromne ambicje. Powiem wam tylko, że faktycznie z powodu urazu coś się zmieniło. Przed kontuzją przeskakiwanie z turnieju na turniej jest gorączkowe. Przeloty, transfery, mecze, powroty, nerwy, gdy coś nie wyszło. Trzeba coś zmienić, ale jak? Co? Nie ma czasu się zastanowić... Aż tu nagle dano mi czas na refleksję.

Normalnie kończyłem sezon pod koniec listopada i tak zwykle bywało, że po odpoczynku po 11 miesiącach gry i przed wylotem do Australii spędzałem raptem dziesięć dni na korcie w ramach przygotowań. W tak krótkim czasie nie da się przygotować czegoś nowego w swojej grze, bo trzeba poświęcić jego dużą część na przygotowanie stricte fizyczne. A teraz będę miał sporo dni na bardzo solidny trening, na przepracowanie mojej gry, na przygotowanie się do sezonu, na zbudowanie podstawy, na której oprze się mój cały przyszły sezon. Będę miał czas, aby przygotować się do zrobienia czegoś fantastycznego.

Twoje kolano jeszcze teraz wygląda niezbyt optymistycznie...

– Nie, spokojnie to tylko ślady po pijawkach.

Niemniej jednak pokazywałeś nam zdjęcie kolana z 27 lipca, dzień po otwarciu igrzysk olimpijskich, przed którym prezes PKOl był rozczarowany twoją postawą. Według niego mimo kontuzji powinienś przylecieć, odbić kilka piłek i wrócić do swojej rehabilitacji, a dzięki temu Janek Zieliński mógłby zagrać w mikście z Igą Świątek. A tak...

– Pracowaliśmy wtedy tak mocno nad kolaniem, że nie zwracałem większej uwagi na to, co się dzieje w Polsce. Mi-

mo to dowiedziałem się o tej wypowiedzi. Już dawno zorientowałem się, że każdy może wypowiedzieć się na dowolny temat, nie znając szczegółów sprawy, o której mówi, ani kontekstu. Taki jest dzisiejszy świat. A jednak wiedząc to – przez chwilę, trochę – byłem wkurzony. Wypowiedź nie miała żadnego, najmniejszego nawet związku z podstawową wiedzą na temat tenisa lub zdrowia sportowca.

Mam wrażenie, że nie wszyscy zabierający głos znali zasady i mieli pojęcie, co można, a czego nie można zrobić, przystępując do startu w igrzyskach. Bo nie wystarczyłoby przyjechać do wioski, zameldować się w niej i wyjechać – przez chwilę, trochę – byłem wkurzony. Wypowiedź nie miała żadnego, najmniejszego nawet związku z podstawową wiedzą na temat tenisa lub zdrowia sportowca.

Mam wrażenie, że nie wszyscy zabierający głos znali zasady i mieli pojęcie, co można, a czego nie można zrobić, przystępując do startu w igrzyskach. Bo nie wystarczyłoby przyjechać do wioski, zameldować się w niej i wyjechać – przez chwilę, trochę – byłem wkurzony. Wypowiedź nie miała żadnego, najmniejszego nawet związku z podstawową wiedzą na temat tenisa lub zdrowia sportowca.

Pierwszy mecz musiałbym zagrać, mając jeszcze szwy na kolanie. Pracowaliśmy bardzo wytrwale, bo dla mnie igrzyska były jednym z głównych celów w planie na ten rok, ale po prostu zabrakło czasu. Niewiele, bo w sumie jakieś pięć, siedem dni. Ale brakującego tygodnia nie można doszukać. Bardzo chciałem. Brak możliwości startu w igrzyskach głęboko bolał – również z powodu miksta z Igą Świątek, który byłby wyjątkowym przeżyciem.

Równie ważną kwestią jak mój stan zdrowia są zasady, jakie wyznaję. Chcę żyć i rywalizować w zgodzie z nimi, reprezentować to, co uważam za dobre i godne. Nie czułbym się dobrze ze sobą, gdybym w jakimś stopniu zrobił „walek”, jadąc na igrzyska i jednocześnie nie mogąc w nich wystąpić [Hurkacz nawiązał do tego, że gdyby tak zrobił, jak chciał prezes Piesiewicz, odebrałby igrzyska tenisistów, który był pierwszy na liście rezerwowych przygotowanej m.in. na okoliczność nagłych kontuzji uprawnionych do gry zawodników]. My nie jeździmy na turnieje jak na wycieczki, ale po to, żeby je wygrać.

Wasze – twoje i Igi – emocje związane z igrzyskami są ogromne, ale zarazem nie są wyjątkowe. Novak Djoković, który wygrał 24 turnieje wielkoszlemowe, przeżywał olimpijski triumf w Paryżu jak żaden inny w karierze. Płakał jak chłopiec po finale z Carlosem Alcarazem.

– Tak. Najbardziej mu brakowało olimpijskiego złota, jedynego trofeum, którego nie zdobył.

Igrzyska są wyjątkową imprezą. Może dlatego tak jest, że ona jedyna jest rozgrywana co cztery lata w odróżnieniu od wielkoszlemowych, które są cztery w jednym roku. A może dlatego, że sportowcy wychowują się zwykle w jej kulcie. Jest potężny. Reprezentowanie swojego kraju buduje niezwykłą atmosferę, której tak mi brakowało w Tokio. Tam wioska olimpijska zrobiła na mnie ogromne wrażenie, ale z powodu braku kibiców nie było to tak pełne przeżycie, na jakie liczyłem w Paryżu.

Twoja sytuacja związana z kontuzją jest dla ciebie wyjątkowa, ale też i inne okoliczności są wyjątkowe – po pięciu latach współpracy rozstałeś

Nie zatrudniam nowej osoby, żeby utrzymać się w pierwszej dziesiątce rankingu.

Zatrudniam ją, żeby wygrywać Wielkie Szlemy i być numerem jeden na świecie

się z trenerem Craigiem Boyntonem. Następny szkoleniowiec może pracować z tobą równie długo lub nawet dłużej, wpłynie równie mocno na twój tenis co on, albo nawet bardziej. – Powinien wpłynąć. Taka jest intencja zmiany.

Kto to będzie? – Nie wiem jeszcze.

Jak znajduje się trenera? Daleś ogłoszenie na LinkedIn?

– (*Śmiech*). Nie. Dyskutowałem z moimi menedżerami, skompletowaliśmy listę, analizując nazwiska i dostępność trenerów. Skróciliśmy ją. Ma obecnie trzy nazwiska [wywiad przeprowadzony był 8 października]. Rozmawiałem już z kilkoma kandydatami, jak również z innymi osobami, które mogą pomóc w podjęciu decyzji. Pytałem trenerów o ich cele, jak współpraca ze mną wyglądałaby od ich strony, no bo to jest superistotne, aby dobrać właściwą osobę, której tak samo zależy na osiągnięciu celu. Jakie to cele? Nie zatrudniam nowej osoby, żeby utrzymać się w pierwszej dziesiątce rankingu. Zatrudniam ją, żeby wygrywać Wielkie Szlemy i być numerem jeden na świecie. Nie po to Kuba tutaj haruje i mnie męczy, żeby mieć niższe cele.

Mógłbyś opisać idealnego kandydata na trenera?

– Powiem, co jest dla mnie ważne. Ar-cyważna jest umiejętność komunikacji, żeby wszyscy w ekipie dogadywali się ze sobą. Następna rzecz: pasja, zaangażo-wanie trenera. A także jego wizja, czyli jak widzi moją przyszłość. Co trzeba po-prawić w mojej grze, co zmienić. Istotne są też jego poprzednie doświadczenia jako szkoleniowca, czego dokonał.

A – wracając do Craiga – kiedy za-wodnik czuje, że dalsza współpraca traci sens?

– Mielśmy kilka intensywnych roz-mów z Craigiem o przyszłości. Nie można robić czegoś, do czego nie jesteś w 100 procentach przekonany. Nie by-łem pewien, że poświęcę się tej wizji, którą miał Craig. Poczulem zawahanie. Zacząłem się zastanawiać, z czego ono wynika. Pomyślałem, że nie mogę iść do celu – bardzo wymagającego – ma-jąc je z tyłu głowy. Nadszedł czas, abyś-my poszli każdy w swoją stronę. Przy Craigu rozwinąłem się całościowo, na-brałem lepszej świadomości na kor-cie, zrobiłem bardzo duże postępy. Spo-ro razem wygraliśmy i jestem z tego dumny. Cieszę się, że mogliśmy razem pracować i będę to zawsze bardzo do-brze wspominał.

Czyli polecilbyś go Idze Świątek?

– (*Śmiech*). Iga sama zdecyduje.

Jak szybko podejmiesz decyzję o no-wym trenerze?

– Szybko. To kwestia tygodnia, dwóch.

A co nowy trener miałby poprawić u ciebie?

– Dużo. Mam pewne aspekty, nad któ-rymi sam chciałbym popracować. Ale jestem gotowy na sugestie i nową wi-zję. Kiedy już przekonam się, że grube sprawy nas łączą, chcę do pomysłów tej osoby podejść z otwartym umy-słem, żeby móc się zmienić i rozwinąć, wejść na wyższy poziom.

Zastanawiamy się, co kłębi się w głowie po meczu takim jak ostatni ćwierćfinał w Australian Open, kie-dy po odrobinieniu start i wyrówna-niu na 2:2 przegrywa się piątego seta – po stracie własnego serwisu, który dla ciebie jest kluczowym atutem?

– Szkoda trochę meczu z Daniilem Miedwiediewem. Byłem wkurzony we-wnętrznie, bo szansa się wymknęła. Ale żeby przegrać ćwierćfinał Austra-lian Open, musiałem kilka meczów wy-grać. Więc warto też pomyśleć o tym, co pozytywne, przeanalizować turniej. Był dobry. Dobrze grałem w Melbour-ne. Była poprawa. Fakt, chciało się bar-dzo wygrać, no ale chodzi o to, aby ro-bić postępy. Porażka nie może rozbi-jać. W tenisie, nawet jeśli wygrasz trzy, cztery turnieje w sezonie, to i tak prze-grasz 18 spotkań. No, więc jeśli jest po-stęp w tenisowym i mentalnym aspek-cie, to wtedy jestem zadowolony. Jeśli się zatrzymam, rywale mnie dogonią. To jest klucz w tej grze.

Wyobraź sobie, że możesz stworzyć zawodnika doskonałego, czyli wy-brać najlepsze elementy gry każde-go z tenisistów czołówki i połączyć je w całość. Czyli wybierasz serwis Huberta Hurkacza i co dodajesz do niego?

– Tak, mój serwis jest w miarę OK...

Jak to w miarę? Przecież jest po-wszechnie uważany za najlepszy na świecie. W 2023 roku zaserwowałeś ponad 1000 asów.

– Co oczywiście nie znaczy, że nie można tego poprawić. Zawsze moż-na, ja będę nad tym pracował. Ale do-brze: biorę swój serwis i dodaję do nie-go forhend Rogera Federera i bekhend Novaka Djokovicia. Return? Też Novak

jest najlepszy. Jannik Sinner jest bli-ski poziomu Novaka, jeśli chodzi o od-biór serwisu, ale jeszcze chyba mimo wszystko w tym elemencie postawię na Serba. Wolej? Jeszcze raz Roger Fe-derer. Wolę walki wziąłbym od Rafa-ela Nadala. Odporność psychiczną od Djokovicia, do tego roku nie zdarzały się mu słabsze mecze. Im było trudniej, tym lepiej grał, nigdy nie tracił koncen-tracji. Sposób poruszania się po korcie wziąłbym od Carlosa Alcaraza.

Kiedys na takiej zasadzie jedno z pism chciało stworzyć portret mę-zczyzny doskonałego: czytelniczki wy-brały najpiękniejsze cechy znanych aktorów, a po połączeniu powstała twarz raczej daleka od doskonałości.

– W takim razie tenis jest bardziej prze-widywalny i logiczny. Bo połączenie najlepszych cech Federera, Djokovicia, Nadala i Alcaraza dawałoby raczej bar-dzo duże możliwości na korcie.

Czego brakuje jeszcze Hubertowi Hurkaczowi, by wygrywać z tymi największymi? Sam przecież mó-wisz, że mierzysz w zwycięstwa w turniejach Wielkiego Szlema.

– Return jest na pewno do poprawy. Po-winieniem wypracować lepszy. Zdecy-dowanie mogę też poprawić forhend i taktykę gry, żeby wywierać na rywa-lach jeszcze większą presję. Wtedy zwy-cięstwa z tenisistami z topu w najważ-niejszych turniejach staną się realne.

Najważniejsze zwycięstwo w karie-rze? Półfinał Wimbledonu z 2021

roku czy też coś mniej oczywistego: jakiś mecz, który wygrałeś mimo słabszego dnia, zmęczenia lub bólu?

– Ostatnio w Cincinnati z Flavio Cobo-lim. Zwycięstwo dało mi sporo satys-fakcji. W Canadian Open w Montrealu wróciłem do gry po miesiącu przerwy spowodowanej kontuzją i już pierwsze-go dnia zagrałem dwa trzysetowe me-cze. Biegałem po korcie w sumie aż sześć godzin. Kolejnego dnia nie mo-głem się ruszyć na rozgrzewce, więc obawiałem się, że dostanę rower, czy-li przegram dwa sety do zera. Ale znów walczyłem trzy sety. Nie odpocząłem przed Cincinnati i kolejny raz na po-czątek była trzysetówka. W 1/8 finału z Cobollim, gdy poszedłem w przerwie między setami do łazienki, omal nie ze-mdlałem. Ale wziąłem się w garść, wró-ciłem na kort i wygrałem trzeciego seta 6:1. To rzeczywiście było coś. Na pewno finał turnieju w Szanghaju w 2023 roku dał mi dużo frajdy. I ja, i Andriej Rublow mieliśmy piłki meczowe, więc dużo się w tym meczu działo. Za przełom uwa-żam zwycięstwo w Miami w 2021 roku, to był mój pierwszy triumf w turnieju rangi Master 1000. Wcześniej wygrywa-łem tylko turniej rangi 250.

Przez wielu dziennikarzy z zagrani-cy zostałeś jednak zaszufadkowany jako tenisista, który zakończył karierę Rogera Federera na Wim-bledonie.

– Wierzę, że osiągnę jeszcze coś na ty-le spektakularnego, że to się zmieni. Że-by tamtego meczu sprzed trzech lat nie trzeba było aż tak wspominać (*śmiech*).

Wspomniałeś o tym, że byłeś u kresu sił w Cincinnati. Z bólu czy zmęcze-nia?

– Między Wimbledonem, gdzie dozna-łem kontuzji kolana w II rundzie, do niedawnego turnieju w Tokio miałem tylko dwa dni wolnego. A przecież dla zawodnika po urazie i operacji rege-neracja jest kluczowa. Tymczasem nie miałem kiedy odpocząć. I to zmęcze-nie omal nie zważyło mnie z nóg w Cin-cinnati.

Iga Świątek, Aryna Sabalenka i wiele innych tenisistek protestują przeciw przeładowanemu kalendarzowi tur-niejów kobiecych. Mężczyźni mają ten sam problem?

– My gramy jeszcze więcej.

Ale jesteście twardymi facetami.

– No tak. Z drugiej jednak strony te-nisista, który ma kontuzję tak jak ja, wpada w niedoczas. Kiedy ty się le-czysz, rywale grają, zdobywają punk-ty, a ty natychmiast spadasz w ran-kingu. Więc się spieszysz, żeby wró-cić do tego wyścigu, skrucasz do mi-nimum okres rehabilitacji i powro-tu do zdrowia. Przecież zaraz po ope-racji zacząłem pracę nad odbudowa-niem się. Trzeba było wracać na kort, żeby stracić jak najmniej. Jeśli ktoś nie wygrywa turniejów Wielkiego Szlema lub nie dochodzi w nich do finału, nie ma komfortu, by odpuścić sobie co-kolwiek.

Piątego sierpnia tego roku osiągną-łeś szóstą pozycję w rankingu ATP. Najwyższą w karierze, najwyższą, jaką kiedykolwiek osiągnął polski tenisista. Było co świętować.

Przeloty, transfery, mecze, powroty, nerwy, gdy coś nie wyszło. Nie ma czasu się zastanowić... Aż tu nagle dano mi czas na refleksję

– Świętowałem na stole do rehabilita-cji, a potem w siłowni, bo wtedy przy-szła ta wiadomość. Nie sprawiła mi ta-kiej frajdy, jaką mogła. No ale fajnie, bo ranking pokazuje, że równo gra się przez cały sezon, ale wtedy na radość czasu nie było. Toczyliśmy właśnie z nim wyścig.

Bycie szóstym na świecie w dyscy-plinie, którą się kocha – niewielu sportowców i w ogóle ludzi w Polsce miało okazję poznać smak cze-goś podobnego.

– Pewnie niewielu. Ale samo miej-sce w rankingu ATP nie jest moim ce-lem, ono daje dobrą pozycję do osiąga-nia sukcesów w najważniejszych tur-niejach. Wysoki ranking zwiększa pew-ność tego, co się robi, daje szansę na rozstawienie, uniknięcie przedwcze-snej rywalizacji z najmocniejszymi.

Wojciech Fibak był w rankingu ATP 10. Półfinalista Wimbledonu z 2013 roku Jerzy Janowicz – 14. Nie bardzo wierzymy, że osiągnięcie szóstej pozycji nie było dla ciebie czymś od-świętnym.

– Było, choć już mówiłem o okoliczno-ściach, w jakich się o tym dowiedzia-łem. Ranking to efekt wyników, więc nikt go nie lekceważy. Kiedy byłem dzieckiem, marzyłem o grze w turnie-jach, potem chciałem zostać zawodo-wym tenisistą. Kolejny krok to wejście do światowej czołówki. Tak to się toczy. Osiągnąłem pozycję numer sześć, ale na tym się moja droga nie kończy. Więc nie świętowałem, tylko walczyłem da-lej. Jak mówiłem – cele są wyższe.

Niewiarygodne, co się stało z pol-skim tenisem. Między Fibakiem

i Agnieszką Radwańską trudno było o Polaka w turniejach wielkoszle-mowych. Dziś porażka Huberta Hurkacza w II rundzie US Open to już wielkie niepowodzenie, choć parę miesięcy wcześniej walczył przez pięć setów o półfinał Austra-lian Open.

– Perspektywa się zmienia. To, co jakiś czas temu byłoby dla kibiców sukce-sem, dziś jest porażką. Tak to w sporcie działa, trzeba się z tym oswoić.

Gracie wszyscy w erze Igi Świątek. Żeby się przebić przez jej sukcesy, trzeba dokonać rzeczy wielkich.

– Trzeba. Iga jest fantastyczna, ona zmieniła wyobrażenie kibiców o tym, czym jest sukces w tenisie. Przecież ćwierćfinał ostatniego US Open to jest wielki wynik, tymczasem w Polsce zo-stał odebrany jak porażka. Sezon w na-szej dyscyplinie trwa 11 miesięcy, nikt tak długo nie jest w stanie utrzymać ży-ciowej formy. Tenis jest specyficzny, tu często i dużo się przegrywa. 128 najlep-szych na świecie zawodników i 128 za-wodniczek jedzie na turniej wielkoszle-mowy, a wygrywa go jedna i jeden. Już nie wspominając o tym, że każdy chce pokonać lidera rankingu. Iga wciąż utrzymuje pozycję na szczycie i czasem wprost trudno pojąć, za co można ją krytykować. A jednak można – niespra-wiedliwie.

W sportach olimpijskich zawodnicy wpadają w panikę, gdy mają przy-gotować dwa szczyty formy w se-zonie. W tenisie są cztery turnieje wielkoszlemowe, a w tym roku były jeszcze igrzyska w Paryżu.

– W każdym meczu chcę grać dobrze. Czasem to jest możliwe, czasem nie. Oczywiście turniej Wielkiego Szlema to priorytet, przed nim więcej się wy-poczywa, by zgromadzić siły, wystar-tować z większą motywacją i entuzja-zmem. Po igrzyskach w Paryżu obiecy-wałem sobie bardzo wiele. Można so-bie wyobrazić, jak bardzo byłem zawie-dziony.

Twój ulubiony turniej to...

– Wimbledon.

W Polsce do niedawna nie było kortów trawiastych, tymczasem Agnieszka Radwańska osiągnęła finał Wimbledonu, a ty i Jerzy Jano-wicz – półfinał. To gdzie wy się uczyli-ście gry na trawie? Przecież sezon na kortach trawiastych trwa zaledwie pięć tygodni.

– Nigdzie. Po prostu nasze style gry pa-sują do tej nawierzchni. Na trawie pił-ka się ślizga, a nie odbija, więc trze-ba się do tego przystosować. Tam nie da się grać defensywnie, odbijając ca-ły czas piłkę z końcowej linii, nie moż-na wygrywać z najlepszymi. Skutecz-niejszy jest serwis, gra przy siatce daje więcej niż na innych nawierzchniach. Ja umiem się ślizgać do piłki, choć mie-rzę 196 cm. Czuję grę na Wimbledonie, lubię ją, nie wspominając nawet o pre-stiżu turnieju.

W Australii i USA gra się na kortach twardych, czyli na takich, na jakich wygrywałeś w Miami czy w Szang-haju. W Melbourne byłeś ostatnio w ćwierćfinale, tymczasem w No-wym Jorku nigdy nie przebrnąłeś II rundy. Przypadek czy coś się za tym jednak kryje?

– Wydaje mi się, że przypadek. Faktycz-nie Nowy Jork to miejsce, które nie da-ło mi okazji do większej satysfakcji. W tym roku grało mi się dobrze, ale ze względu na uraz podczas turnieju wciąż musiałem ćwiczyć w siłowni. Ta-ka była konieczność, a nie dobry spo-sób, by w turnieju zająć jak najdalej. I zatrzymałem się na drugim rywalu.

Wpadka dopingowa lidera rankingu ATP Jannika Sinnera wstrząsnęła tenisem. Wiemy, że się z nim bardzo dobrze znasz. Co sądzisz na ten temat?

– W jego organizmie wykryto śladowe ilości substancji zabronionej. Wierzę, że znalazły się tam podczas masażu, bo jego masażysta miał maść na rękach. Znam dobrze Jannika i wiem, że nie jest osobą, która chciałaby kogoś oszukać. Inną rzeczą są prawo i procedury antydopingowe. Nad nimi trzeba pracować, by wyroki, a przede wszystkim procesy w sprawach antydopingowych były jasne, sprawiedliwe i zrozumiałe dla wszystkich.

Polak Kamil Majchrzak został zawieszony na 13 miesięcy, choć zabronione substancje również przypadkiem trafiły do jego organizmu.

– Z Kamilem gramy w tenisa od dzieciństwa. Wiem doskonale, w jak trudnej był sytuacji po zawieszeniu. Gdy wracał na kort, musiał zaczynać wszystko od początku, teraz jest już blisko czołowej setki rankingu. Wykonał więc monstrualną pracę. Zaraz po zawieszeniu mógł się odwołać do sądu, ale sprawa, choć na pewno by ją wygrał, trwałaby dłużej niż dyskwalifikacja. Więc nie było sensu tego robić. Psychicznie to wszystko drogo Kamila kosztowało. Uważam, że Kamil i wszyscy zawodnicy powinni być traktowani jak Jannik, bo to sprawiłoby, że ten proces byłby bardziej przejrzysty. Teraz system jest zagmatwany i mało klarowny. Przepisy są półjawne, nikt nie wie czego się spodziewać.

Sinner miał dobrych i drogich prawników, którzy załatwili mu zawieszenie kary po kilku dniach.

– No właśnie. Nie każdego stać na wynajęcie drogiej kancelarii prawnej w sprawach dopingowych, a my, tenisiści, nie chcielibyśmy, żeby nasz los leżał w rękach prawników. Jasne i jawne procedury rozwiązałyby problem, każdy z nas wiedziałby, jak postępować w takich sprawach i czego spodziewać się po organizacjach zwalczających doping. Nikt nie chce być ofiarą złego systemu.

Światowa federacja antydopingowa WADA wciąż bada sprawę Sinnera.

– No tak, wszystko to jeszcze trwa. ITIA, która nadzoruje ATP i WTA wydała decyzję w sprawie Jannika, ale WADA sprawdza, czy jest to zgodne z przepisami [agencja złożyła apelację do decyzji ITIA o uniewinnieniu Sinnera do Międzynarodowego Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu – red.].

Wiadomo, że w sporcie każdy chce wygrywać, ale nie każdy może. A po porażce w mediach społecznościowych część kibiców nie ma litości dla sportowca. Udało ci się już na to uodpornić?

– Udało się. W tenisie trzeba być odpornym. Wygrywają ci, którzy są najtwardsi, najbardziej stabilni emocjonalnie. Głowa to kluczowa część organizmu tenisisty. Zachowanie koncentracji, zostawienie za sobą porażki w wymianie, w gemie, w secie, a nawet w meczu. To trzeba umieć, do tego się dojrzewa. Bywałem chwalony za mecze, po których byłem z siebie niezadowolony, a ganiony za takie, w których grałem dobrze. Bo ludzie, którzy mnie oceniali, nie widzieli i nie wiedzieli, co działo się poza obrazem z kamer. Mecz analizuje się ze sztabem, z trenerem, ich opinia jest ważna i wiążąca, jeśli chodzi o dokonanie poprawek. Nie mogę się przejmować uwagami o mnie w internecie, bo to mi zaszkodzi, zamiast pomóc. Na korcie mam być odporny, opanowany i świadomy tego, co robię.

Przy okazji Igi Świątek toczy się teraz narodowa debata o roli psychologa w sporcie.

– Ja też współpracuję z psychologiem. I wielu sportowców korzysta z takiej pomocy.

Nie z taką intensywnością jak Iga, na której meczach psycholog Daria Abramowicz siedzi obok trenera.

– To sprawa indywidualna. Każdy sportowiec musi zdecydować, czego potrzebuje. Na ile psycholog ma być blisko. Ważne jest, żeby w teamie była dobra komunikacja i poukładana współpraca: od masażysty, fizjoterapeuty, psychologa po trenera.

Były znakomity deblista Marcin Matkowski, dziś trener, zwraca uwagę laikom, że rzucanie rakieta na korcie lub klótnie z sędziami nie są przejawem woli walki i determinacji zawodnika. Mówimy o tym, bo pod twoim adresem padają zarzuty, że jesteś za spokojny i za łatwo godzisz się z porażkami.

– Wychodząc na kort, mam swój plan na mecz. Żeby go wykonać, muszę mieć czystą i spokojną głowę. Nie mogę pozwolić, by kierowały mną emocje, bo to mi nie pomoże. Muszę zachować spokój. Każdy z nas inaczej reaguje na stres, ale zasada jest taka, że człowiek pod ogromnym napięciem działa gorzej niż taki, który nad sobą panuje. Dopóki wiem, co robię, dopóty moje szanse na wygraną są realne. Każdy zawodnik, szczególnie ze szczytu, chce sięgać po najwyższe cele. Zmniejsza swoje szanse, gdy traci panowanie nad sobą. Wyobraźmy sobie, że stoję na korcie, dookoła są kibice, kamery, po drugiej stronie siatki rywal, a ja mam mętlik w głowie i nie wiem, co robić. Trener może spróbować coś podpowiedzieć, ale tenista musi te sygnały odbierać.

Czyli spokój na korcie jest zbawienny?

– Roger Federer zawsze był opanowany podczas gry, a przecież bardzo chciał wygrywać. Rafa Nadal lub Carlos Alcaraz reagują bardziej emocjonalnie, ale to między wymianami, bo w ich trakcie są mocno skoncentrowani. Każdy ma swój charakter, własny temperament, ale zapewniam, że jeśli ktoś szuka wśród tenisistów z czołówki takich, którym mniej zależy na zwycięstwie, to ich nie znajdzie. Ja też gram po to, żeby wygrywać.

Kim byłbyś, gdybyś nie mógł grać w tenisa?

– Ze sportów lubiłbym też i grać w koszykówkę. Michael Jordan był jednym z moich sportowych wzorów, ale wybrałem tenis. Moją pasją były i są samochody. Jako dziecko miałem ich całą kolekcję i uwielbiałem się nimi bawić. Ta fascynacja przetrwała do dziś. Lubię szybkie auta, miałem okazję pojeździć McLarenem na torze wyścigowym. Formuła 1 i jazda ekstremalna mnie kręcą, oglądam wyścigi, ale ten w Monte Carlo jest akurat podczas turnieju Rolanda Garrosa.

Szkoda. Może mógłbyś go oglądać z balkonu swojego domu.

– Z mojego mieszkania nie widać toru. Ale rok temu byłem na Grand Prix Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Moje marzenia związane z samochodami wyścigowymi odkładam na czas po zakończeniu kariery tenisowej, czyli trochę czasu jeszcze na to poczekam. Chciałbym się ściegać, a przynajmniej pojeździć samochodami na torze. Wydaje mi się to fascynujące. Lubię też jeździć gokartami ze znajomymi. To mogę robić już teraz – jeśli jest chwila wolnego. Takich chwil mam jednak bardzo mało. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34342672

CZYTAJ WYGODNIE



JAK ZAMÓWISZ prenumeratę papierowego wydania „Gazety Wyborczej”

**Zamów PRENUMERATĘ
TECZKOWĄ „Wyborczej”**

u swojego sprzedawcy prasy



- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

**Zamów „Wyborczą”
z DOSTAWĄ DO DOMU**

w wybranych placówkach
Poczty Polskiej (zapytaj
na swojej poczcie)



- Masz dostarczaną gazetę do miejsca zamieszkania lub do wybranego urzędu pocztowego bez dodatkowych opłat
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty

wyborcza.pl/prenumeratagw

Wszyscy odradzali mu tę rolę, co przynosiło efekt odwrotny: brzmiało jak zachęta. Powiedzieć, że Sebastian Stan przygotowywał się do zagrania Donalda Trumpa całe życie, to przesada? Niekoniecznie.

CZŁOWIEK, KTÓRY STAŁ SIĘ TRUMP



FOT. BE&W

Piotr Guskowski

Wyciąga z kieszeni telefon. Szuka folderu, w którym ma 130 wideo ukazujących różne zachowania Donalda Trumpa.

Zdjęcia i nagrania pokazują momenty życia byłego prezydenta USA poczynając od lat 70. Sebastian Stan analizował je tygodniami. Najdrobniejsze gesty. Nawet teraz, wiele miesięcy po zakończeniu zdjęć do „Wybrańca”, Stan łapie się na tym, że zaczyna gestykulować jak Trump.

Za każdym razem, gdy opowiadał o tym filmie znajomym, zapadała cisza, a potem słyszał: „Po co nam kolejny Trump? Zrazisz do siebie połowę kraju”. Tylko mama wyglądała na względnie zadowoloną: „Przynajmniej się ogolisz”.

Im więcej razy słyszał: „Nie rób tego”, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że warto podjąć wyzwanie wspólnie z reżyserem Alim Abbasim (twórcą znakomitego „Holi Spider”).

Zresztą w pewnym sensie Sebastian Stan przygotowywał się do zagrania tej roli przez całe życie.

– Wychowałem się świadomy amerykańskiego snu: Ameryka jest krajem możliwości, tutaj spełniają się marzenia. Możesz się stać, kimkolwiek chcesz. Wystarczy mieć na siebie pomysł – mówi Stan.

Dwoje Rumunów mówiących po angielsku

Urodził się w 1982 r. w Konstancy. Gdy opowiada o dzieciństwie w komunistycznej Rumunii, przywołuje widok plaż Mamai, na których opalali się nudyści. Wspomina sylwestry, gdy zasiadał przed telewizorem. To jedyny dzień w roku, kiedy państwowa telewizja nadawała dłużej. Na co dzień zgodnie z polityką oszczędzania energii program trwał dwie godziny i był zdominowany przez propagandę.

Mama – pianistka Georgeta Orlovschi. Puszczala synowi z gramofonu muzykę i lekcje angielskiego. – Bawilem się zabaw-

kami, a w tle słyszałem „frog” albo „dog” – opowiada Stan.

Wyjechali wkrótce po obaleniu reżimu Nicolae Ceausescu. Georgeta dostała pracę w Wiedniu, syna posłała do szkoły z amerykańskim programem edukacyjnym. Sebastian bezbłędnie naśladował członków rodziny i sąsiadów, więc matka prowadziła go na castingi. Chłopak śmiertelnie się wynudził, czekając, aż pojawi się jako bezdomny chłopiec na stacji metra w filmie „71 fragmentów” (1994) Michaela Hanekego. Dziś dałby wszystko za możliwość pracy z wybitnym reżyserem.

Przeprowadzili się do Stanów, gdy Georgeta po raz drugi wyszła za mąż. Sebastian nikomu nie powiedział, skąd przyjechał. Dzień po dniu przeistaczał się w typowego amerykańskiego nastolatka. W piwnicy u kumpla – oglądając film za filmem – przeszedł przyspieszony kurs popkultury. Ktoś poprosił, żeby pojawił się na przesłuchaniu do szkolnego przedstawienia. Zagrał Cyrana de Bergeraca, potem wystąpił jeszcze m.in. w adaptacji „Sklepiku z horrorami”. W ten sposób zdobył popularność w liceum. I miał już na siebie pomysł.

Sława i papierosy

Skończył konserwatorium sztuki na Uniwersytecie Rutgersa, przeniósł się do Nowego Jorku. Pracował jako kelner, chodził na castingi i wysyłał self-tape’y.

Na jednym z nagrań zapalił papierosa. Zadziałało, dostał rolę czarnego charakteru w horrorze fantazy „Pakt milczenia” (2006). Na planie zaprzyjaźnił się z paczką aktorów. Był wśród nich Chase Crawford, który wkrótce stał się gwiazdą za sprawą „Plotkary”. Stan też dostał angaż do tego serialu.

Gdy zaczął mieć kłopoty z rachunkami, dostał rolę Bucky’ego Barnes’a czyli Zimowego Żołnierza, postaci z filmów według komiksów Marvela (gra ją od 2014 r.), a to przyniosło mu popularność i finansowy komfort.

Bo z kobietami

Prawdziwy punkt zwrotny – jak twierdzi – przyszedł w 2018 r. za sprawą filmu „Jestem najlepsza. Ja, Tonya”. Dostał szansę na zagranie postaci na przekór warunkom. Na casting zapuścił wąsa, włożył golf. Reżyser Craig Gillespie był pod wrażeniem, jak



◀ **Serial „Pam i Tommy”, (2022).** Pamela Anderson (Lily James) i Tommy Lee (Stan) mierzą się ze skandalem po kradzieży ich sekstaśmy. A wszystko dlatego, że Tommy nie zapłacił stolarzowi za pracę

FOT. ERIN SIMKIN/HULU



◀ **„Jestem najlepsza. Ja, Tonya” (2018).** Stan wcielił się w prawdziwą postać – męża łyżwiarki Tonyi Harding (Margot Robbie). Mężczyzna był zamieszany w napasę na jej koleżankę z drużyny olimpijskiej

FOT. SUPPLIED BY LMK/BE&W

■
„Wybrańiec” to film nie tylko o narodzinach potwora, czyli młodym Donaldzie Trumpie, ale także o człowieku, który go stworzył - bezwzględnym nowojorskim adwokacie Royu Cohnie

Stan przeistoczył się w Jeffa Gillooly’ego, przemocowego męża łyżwiarki Tonyi Harding granej przez Margot Robbie.

Po tym filmie zrozumiał, że najlepsze efekty osiąga u boku inspirujących kobiet. Grał z Nicole Kidman („Niszczycielka”), Jessicą Chastain („355”), Julianne Moore („Oszustwo”), Lily James, z którą stworzył wspaniały duet w „Pam i Tommy” – serialu o wycieku słynnej sekstaśmy czy z Daisy Edgar-Jones we „Fresh”. – Może naturalnie skłaniam się ku [tym projektom], bo dorastałem z kobietami, bo wychowywała mnie samotna matka – mówił w IndieWire.

Chwila prawdy

W „Ja, Tonya” Stan po raz pierwszy wcielił się w prawdziwą postać. To był no-



wy rodzaj wyzwania. Coś jak dziennikarski research, żeby dowiedzieć się jak najwięcej na temat bohatera, poznać jego historię – i zrozumieć z tego, ile się da. Aktor pojechał do Portland. Chciał zobaczyć, gdzie Jeff i Tonya się poznali, gdzie byli na pierwszej randce. Spotkał się z Gilloolym.

Gdy dostał propozycję zagrania Tommy'ego Lee, perkusisty Mötley Crüe, w serialu „Pam i Tommy”, rzucił się w wir przygotowań: oglądał wywiady na YouTube, pochłoniął „Brud” (autobiografię Crüe), uczył się kręcić palcami jak Lee, aż spuściły mu palce.

Zagrał w „A Different Man” Aarona Schimberga, przewrotnej opowieści o faccie cierpiącym na nerwiakowłóknikowatość, którego dopada kryzys tożsamości. Sebastian Stan przeżywał własny kryzys: nie mógł spać, miał ataki paniki. Obawiał się, czy zdoła się zbliżyć do doświadczenia chorej osoby.

Przełom w myśleniu o roli nastąpił, kiedy przeszedł się w pełnej charakteryzacji, ze zdeformowaną twarzą, po Nowym Jorku. – Stałem na pasach między ludźmi, ale nikt nawet nie spojrzał w moją stronę. Jakbym nie istniał – opisuje sytuację w wywiadach. Ale zdarzały się też reakcje na przeciwnym ekstremum. – Ktoś znacząco szturchnął przyjaciela w ramię, inni na mój widok wyjmowali telefon.

Ta kreacja przyniosła mu Srebrnego Niedźwiedzia na Berlinale. Internet obiegało również nagranie z konferencji prasowej. Kiedy jeden z dziennikarzy użył wobec bohatera filmu określenia „bestia”, aktor zwrócił mu uwagę na nieodpowiedni dobór słów.

Jak ciosano Trumpa

Trzy miesiące później to samo słowo było odmieniane przez przypadki w kontekście „Wybrańca”, który miał premierę w Cannes. Krzysztof Kwiatkowski w relacji z festiwalu pisał na łamach „Wyborczej”: „Ali Abbasi nie realizuje skocz z »Saturday Night Live«. Nie interesuje go satyra. (...) Reżyser pokazuje narodziny potwora”. Z kolei David Fear z „Rolling Stone” porównał „Wybrańca” do „remake’u Frankenstein, w którym szalony naukowiec bawi się w Pigmalion, jak jego dzieło zamienia się w potwora”.

Pigmalionem jest tu wpływowa postać nowojorskich elit: bezwzględny adwokat Roy Cohn (w tej roli znany z „Sukcesji” Jeremy Strong). Pod jego skrzydła trafia Donald Trump: deweloper z aspiracjami, który pną się niczym wieżowce na Manhattanie. Na razie zarządza budynkami z mieszkaniem na wynajem w firmie ojca. Młody Trump to facet zakompleksiony, naiwny, nieporadny – przynajmniej tak pokazuje to Abbasi. Cohn wpaja protegowanemu najważniejsze zasady (np. „Wszystkiemu zaprzeczaj”, „Nigdy nie przyznawaj się do porażki”) i obrabia ten materiał, kształtując go na własne podobieństwo.

Według Sebastiana Stana „Wybraniec” pozwala nie tylko zrozumieć, skąd wziął się Trump, ale również to, jak przez te lata się zmienił. Jako przykład przywołuje występ Trumpa u Oprah Winfrey z lat 80.: – Kiedy w końcu dochodzi do polityki zagranicznej, mówi bardzo szybko, z pasją, jest elokwentny, brzmi nawet przekonująco. Zdania wydają się znacznie lepiej przemyślane niż to, co widzieliśmy podczas ostatniej debaty.

Miesiąc przed zdjęciami okazało się, że dodawanie kilogramów charakteryzacją nie przynosi dobrego efektu, więc reżyser zapytał Stana wprost: „Ile mógłbyś przytyć?”. Aktor żywił się głównie ramenem – potrawą z dużą zawartością sodu, który prowadzi do zatrzymania wody w organizmie. Przybrał na wadze 8 kg.

Jak to Stan określił w rozmowie z „Variety”, jego zadanie polegało na syntezie wszystkiego, co wchłonął, w taki sposób, by ekranowy Trump był nie tylko lawiną wiadomości, ale stanowił spójną opowieść. Znow poczuł głęboki niepokój, jaki towarzyszył mu wcześniej, kiedy grał w „Ja, Tonya” czy „Pam i Tommy”. Wyzwanie to porównuje do uczenia się utworu muzycznego. – Trzeba zacząć powoli, to wymaga praktyki. Nagle zaczynasz łapać. Nadal popełniasz błędy, ale powoli brzmi to jak muzyka – tłumaczy aktor. – Grasz każdego dnia, aż możesz to robić przez sen. Wtedy zaczyna się zabawa.

Byle nie komfort

W pewnym momencie Stan do tego stopnia przesiąknął Trumpem, że wystarczyło, by reżyser rzucił jakieś hasło, a on po-

▲ „Wybraniec” (w reż. Alego Abbasi) w polskich kinach od 18 października. W roli Donalda Trumpa na początku kariery świetny Sebastian Stan. Jego ówczesną żonę Ivanę zagrała Maria Bakalova

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jacek Kleyff* Bożena Stachura**

Piotr S. – 2017

Motto:

„Czemu nie to śpiewał śpiewak pięć lat wcześniej?!” – ktoś zawoła, a ja: tamci się spalili sobie – Piotr dla wszystkich dookoła.

Bardzom ciekaw tej zagadki, co się dzieje za zasłoną,
lecz nie wołam odsłonięcia,
lecz nie wołam rozstrzygnięcia, niechaj chwile same płoną,
niech się spełnia cały wąż.
Niech się spełnia cały wąż, niechaj płoną tyle, ile
wie ta siła, która sprawia, czy to koniec, czy początek.

Szary beton zszorowany, sadza tylko na spoinach
i lży w oczach tych dwóch osób;
chłopcy myślą o dziewczynach, sadza tylko na spoinach,
lepiej wyczyścić nie sposób;
cichy głos, że pamiętamy, szary beton zszorowany,
resztki zniczy, bukiet kwiatów późną nocą posprzątnany.

„W ogóle, pani, co za pomysł? może nie te miał gazety,
każdy czuje tym, co czyta...”
„Może mu schowali leki, jak wariatów chodowają,
no to niech się podpalają!”
Ile kwiatów na tej łące, czy z pociągu żegnał kwiaty,
czy zasłaniał głośnik paltem, czy pewności nie utracił?

Czy to koniec, czy początek? Na tym świecie odpowiedzi
są miliardy, są tysiące.
Na tym świecie odpowiedzi nie ma jednej i nikt nie wie,
ile kwiatów na tym placu.
Co pomyślał o dzieciństwie, co osiągnął, co przegapił,
czym się pierwszy raz zachwycił, czy śniadanie zjeść potrafił?

Mikrobusy Szczytno, Kielce, dziewczęta i zakonnice
myślą tylko „Jak do domu...? Ta Warszawa, to jest czyścić”.
Czy się spełnił cały wąż, czy wypalił tyle, ile
wie ta siła, która sprawia, czy to koniec, czy początek.



Tekst: *Jacek Kleyff, poeta i **Bożena Stachura, aktorka.
Muzyka: Jacek Kleyff na podstawie rumuńskiej melodii ludowej.

Wiersz publikujemy w siódmą rocznicę samospalenia Piotra Szczęsne-go na pl. Defilad w Warszawie.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

trafił zaimprovizować całą scenę, posługując się cytatami ze swojego bohatera. Ali Abbasi porównuje Stana do Marlona Brando. Według irańskiego reżysera kunszt aktora w budowaniu postaci przypomina śledzenie egzorcyzmu. – Nagle z tego wszystkiego wyłania się diabeł. Po premierze w Cannes rzecznik kampanii wyborczej Trumpa Steven Cheung powiedział, że „ten film to zwykły śmieć, czysta fikcja”, i zapowiadał podjęcie kroków prawnych. Sztab kandydata na prezydenta oburzyło pokazanie zdarzenia, które Ivanka Trump w pozwie rozwodowym z 1990 r. określiła jako gwałt. Pokazano także liposukcję, jest wątek uzależnienia od amfetaminy. Cheung przekonywał, że w ten spo-

sób „hollywoodzkie elity” próbują ingerować w wybory. „Wybraniec” długo nie mógł znaleźć dystrybutora. W końcu trafił na amerykańskie ekrany 11 października, niespełna miesiąc przed wyborami. Stacje ABC i CBS odmówiły emisji reklam filmu w pasmach informacyjnych i przed debatami. – Dyskomfort, jaki ten film wywołuje, dowodzi, dlaczego jest tak ważny: nie chodzi tylko o to, czego dowiadujesz się o Trumpie, ale także o to, czego dowiadujesz się od Trumpa o sobie – przekonuje Stan w „New York Timesie”. ● Korzystałem z artykułów i wywiadów w „British GQ”, „The New York Times”, „The New Yorker”, „Vanity Fair”, „Variety” oraz serwisie IndieWire.

MĘSKOŚĆ NA NOWO

MĘŻCZYZNA WSTYDZI
SIĘ BARDZIEJ

FOT. GETTY IMAGES

Skoro ja chcę naprawdę partnerskiej relacji, to się z choinki urwałem, bo model domyślny dla faceta to jest jednak kasa i fura – żali się Wojtek, bywalec Tindera.

Dawid Krawczyk

Włoski krąg to przestrzeń, w której mężczyźni ze sobą nie rywalizują, tylko dzielą się przeżyciami, emocjami, refleksjami. Tomasz Gromadka, dramaturg i współzałożyciel Grupy Performatywnej „Chłopaki”, od kilku lat spotyka się co tydzień z innymi mężczyznami, żeby otwarcie rozmawiać o tym, co czują, wspólnie cieszyć się sukcesami i znosić ciężar porażek. Poprosiłem go, żeby zapytał uczestników kręgu, z jakimi wyzwaniem mierzą się na aplikacjach randkowych. Wynotował kilka refleksji: „dziewczyny potrafią zacząć rozmowę na aplikacji i nagle ją urwać bez żadnego komentarza, co potrafi sprawić przykrość”; „od początku jest tona oczekiwań, jaki powinien być facet, jaki nie powinien”; „irytujące są zwłaszcza oczekiwania, że facet musi być wysoki”; „na gejowskich aplikacjach czułem się jak mięso, obiekt pożądania”; „przez aplikacje czasem czuję się nieatrakcyjny i spada moja pewność siebie”.

Tinder, najpopularniejsza aplikacja randkowa, ma już 12 lat. Co miesiąc korzy-

sta z niej kilkadziesiąt milionów osób, które szukają tam romansów, seksu i miłości. Według danych z portalu Statista blisko 75 proc. z tych osób to mężczyźni. Kobiet jest w aplikacjach znacznie mniej. Czego szukają ci mężczyźni? Czego oczekują od nich potencjalne partnerki lub partnerzy? Jak radzą sobie z odrzuceniem? Zapytaliśmy mężczyzn o ich doświadczenie z randkowaniem online.

Wojtek zgodził się zostać moim przewodnikiem po świecie aplikacji randkowych – równolegle korzysta z trzech, a pierwszy raz konto na Tinderze założył 10 lat temu. Czas na rozmowę znajduje w tygodniu po pracy. Jest team leaderem w warszawskim oddziale globalnej korporacji specjalizującej się w księgowości, audytach i consultingu. Jest milenialsem i chociaż pracuje ciężko, zazwyczaj więcej niż 8 godzin dziennie, to ma poczucie, że nie załapał się na wielką karierę i wielkie pieniądze. Drogę z pracy do domu codziennie pokonuje metrem. Ostatnio cieszy go, że na portalach, które czyta regularnie, coraz więcej miejsca poświęca się takim tematom jak mobbing czy „kultura zapierdolu” – zna te zjawiska z autopsji.

Za nim już 30 lat życia, przed nim kolejne 30 spłacania kredytu za mieszkanie na Bemowie. Comiesięczne raty opłaca sam. Sam sprząta, sam gotuje, sam znalazł pracę, sam zrobił karierę. Sam też urządził mieszkanie. Drewno na podłogę, biel na ścianach, zadbane rośliny na parapetach. W pokoju ma siłownię, miejsce do pracy i biblioteczka. Gdzieś tam powieszane subtelne pamiątki z podróży – zwiedził Afrykę, Amerykę Południową, Stany, południe i północ Europy. Do naczyń przywiezionych z Urugwaju nalewa yerba mate i pokazuje mi ekran telefonu.

Zdjęcia do apki zrobił mu znajomy fotograf. Jest przystojny i na tych z uśmiechem, i na tych bardziej poważnych. Dziewczyny komplementują go, że podobny do Ryana Goslinga, tylko młodszy. Oprócz profesjonalnych zdjęć jest też kilka zrobionych telefonem, żeby było widać, jak wygląda, kiedy nie pozuje. – Nie na moje zdjęcia patrz, tylko na tę wiadomość – mówi rozbawiony i pokazuje mi wymianę uprzejmości z jedną ze swoich par. On: „Miałabyś ochotę bardziej na kawę, drinka, a może coś zjeść?”. Ona: „Na Ciebie miałabym ochotę. Ciebie chciałabym zjeść. Mrrrrau”.

– To lubię. Krótka pilka. Nie ma jakiegoś owijania w bawełnę. Całego tańca wokół tego, czego od siebie chcemy. Ani pytań typu: co tam, co zjadłeś, jakie kraje odwiedziłeś ani czego tutaj szukasz. Za to właśnie lubię te wszystkie „dojrzałe damy” – mówi Wojtek i łapie telefon, żeby odpisać absztyfikantce.

41 proc.

UŻYTKOWNIKÓW
powyżej 30 roku życia płaci za aplikacje randkowe. Młodszym wystarczy wariant darmowy – płaci 22 proc.

• Twardziel, nie płacze i nie sięga po pomoc, stroni od lekarzy, za to myśli o seksie i marzy o władzy. Ale ilu mężczyzn naprawdę pasuje do tego schematu? W „Wyborczej” i „Wysokich Obcasach” przyglądamy się współczesnym facetom, pokazujemy wszystkie odcienie męskości. Męskości na nowo. Słuchaj także podcastu Tomasza Kwaśniewskiego „Męskoosobowy”.

Dojrzałe damy to w jego nomenklaturze kobiety, które skończyły 45 lat, starsze od niego o kilkanaście. – Fizycznie mnie po prostu pociągają. Seksualnie też przeważnie wiedzą, czego chcą. Myślę, że jara mnie też to, że w takiej relacji nie muszę brać za nie odpowiedzialności. Ale przede wszystkim one nie mają złudzeń. Jak już masz te 47 lat, to już zazwyczaj nie wierzysz, że w aplikacji znajdziesz tego jedynego, ojca swoich dzieci, bo albo już te dzieci masz, albo już mieć nie będziesz. Nie twierdę, że takie kobiety szukają tylko ONS [One-night stand, seks na jedną noc] czy sextingu [wysyłanie erotycznych wiadomości, zdjęć lub filmów]. Może jak się polubimy, to będzie nawet z tego jakieś FWB [friends with benefits, przyjaźń z dodatkiem w postaci seksu]. Ale nie ma w tym wszystkim tego ciśnienia, że po kilku dniach pisanie na aplikacji nuci: „Już mi niosą suknię z welonem. Już Cyganie czekają z muzyką” – Wojtek ironicznie podśpiewuje hit zespołu 2 plus 1 z lat 70.

• Odpisuje jeszcze przez chwilę „dojrzałej damie”, wycisza telefon, odkłada ekranem do dołu i zaczyna opowiadać. – Pierwszy raz aplikację randkową założyłem w zamierzonych czasach, na studiach, ponad 10 lat temu. Niczego nie żałuję – mówi, pociągając yerba mate z bombilli.

Wtedy tylko się rozglądał. Potrzebował tego, bo relacja z koleżanką z roku znalazła się w kryzysie. Chciał zobaczyć, co go czeka po zerwaniu. W końcu Tinder okazał się niepotrzebny, bo kolejną dziewczynę znalazł konwencjonalnie, w pracy. Kilka lat wspólnego życia, planów, remontów i koniec – gdyby się rozwodzili, sąd wpisałby w uzasadnieniu „niezgodność charakterów”. Dwa miesiące po rozstaniu, chwilę przed trzydziestką, wszedł w randkowanie online na poważnie – od razu założył konto we wszystkich aplikacjach, które znał.

– Tinder to wiadomo, najpopularniejsza apka, znajdziesz tam wszystko, ale ludzi w Warszawie tyle, że nie idzie tego przejrzeć. A do tego, jak nie wykupisz tych wszystkich złotych i platynowych dostępów, to nie da się tego używać. Badoo działa podobnie jak Tinder, ale cała ta apka ma klimat jakiejś hinduskiej piramidy finansowej. Widziałem tam selfie z kibla, na którym laśka pociąga browara z puszeki. Przegięcie. Usunąłem profil. Bumble, chyba mój ulubiony, bo z mojej perspektywy są tam najnormalniejsi ludzie. Działa tak, że po sparowaniu kobieta ma 24 godziny na rozpoczęcie konwersacji, więc to zniechęca takie skrajnie patriarchalne dziewczyny.

No i Feeld, czyli apka dla ludzi raczej wyzwolonych seksualnie. Tutaj w zainteresowania nie wpisujesz: dobry film, dobra książka, dobra kawa, tylko raczej trójkąty, fisting [praktyka seksualna polegająca na penetracji pochwy lub odbytu pięścią] i BDSM [bondage-sado-maso, praktyki seksualne oparte na dominacji, uległości, kontroli, bólu lub wiązaniu, za obopólną zgodą]. Chyba nie dla mnie, ale przynajmniej poznałem swoje granice – mówi tonem wykładowym Wojtek.

Granice poznał, kiedy na Feeldzie rozpoczął rozmowę o gadżetach erotycznych z trzydziestokilkuletnią blondynką. – Zaczęła wysyłać mi zdjęcia. To nie była szafka nocna ani nawet półka w szafie. Cały pokój miała w tych gratach. Dilda, wibratory, pejczy, liny, huśtawki, kajdanki, szpicruty. Cały sex shop na chacie. Wiesz, ja lubię zabawki, sam mam ich kilka, ale zawsze dla mnie to był tylko dodatek, a kluczowy był kontakt ciała z ciałem jednak. Nie oceniam, jak ktoś tak lubi, ale ja powiedziałem pas.

Przez dwa lata intensywnego korzystania z aplikacji wyklikał sobie: romantyczne kolacje, ekscytujące randki, kilka wirtualnych relacji opartych wyłącznie na erotycznych wiadomościach, przelotne romanse, jednonocne przygody, dwie dłuższe relacje, na tyle poważne, że usunął aplikację – jedna trwała kilka miesięcy, druga prawie rok.

– A teraz czego szukasz? – pytam wprost. – Zawsze tego samego, a zawsze znajduję coś innego. Wiesz, staram się podchodzić z ciekawością do drugiej osoby, zaangażować się w rozmowę, nie odpowiadać półsłówkami. A później wsłuchać się w swoje potrzeby i iść za nimi. Teraz widzę, że ciągnie mnie do tych starszych kobiet – wyznaje Wojtek.

Swoje ONS-y, czyli jednonocne przygody, wspomina raczej dobrze. – Bardzo adrenalinowe doświadczenie. Nowa sytuacja, nowa osoba, dużo bodźców i te wyrzuty, ba, wręcz wybuchy dopaminowe. Trudno to z czymkolwiek porównać. Ważne jednak, żeby uczciwie postawić sprawę, że nie chodzi o nic więcej.

W czasie rozmowy bezwiednie sięga po telefon, przerwy rozmowę, szybko klika cziukami. – Po dwóch tygodniach na aplikacjach mam teraz ten najgorszy czas, że cały czas mam te wszystkie profile w głowie, jakbym był w amoku. Siedzę ze znajomymi, rozmawiamy sobie, a ja jestem obecny tak w ławie, bo cały czas myślami jestem w apce. I zamiast rozmawiać, to się zastanawiam, czy ta kolejna dama, której imię ledwie pamiętam, odpisała czy nie. Bardzo męczący amok, ale po jakimś czasie się nasycam i to ustaje – tłumaczy.

Czy wyobraża sobie, że w aplikacji znajduje partnerkę na coś więcej niż sexting czy



ONS? Odpowiada, że ciągle stara się być na to otwarty. – Pamiętam, jak dwa lata temu, kiedy podchodziłem do randkowania jeszcze dużo poważniej, załamało mnie, ile kobiet szuka typowo patriarchalnej relacji. Te wszystkie teksty w opisach: „Szukam mężczyzny zaradnego, który będzie potrafił o mnie zadbać”, „Tylko mężczyźni, którzy będą potrafili mnie odpowiednio DOCENIĆ”, „Princess treatment” [Chcę być traktowana jak księżniczka] to jest według mnie jasny sygnał, że facet ma taką łaskę utrzymywać. Zdarzało mi się myśleć, że skoro ja chcę naprawdę partnerskiej relacji, to się z choinki urwałem, bo model domyślny dla faceta to jest jednak kasa i fura – mówi Wojtek.

Sięga znowu po telefon, ale cofa dłoń. – Ostatnio czuję, że przeżywam transformację. Zacząłem obracać sobie w głowie pytanie: „Czy byłoby mi smutno, gdybym jednak nie znalazł już kogoś do poważnej relacji?”. Kiedyś sama myśl by mnie przerażała, a teraz odpowiadam, że pewnie bym się trochę zasmucił, ale nie aż tak, żeby mi to odebrało chęć do życia.

Wyłączam dyktafon. Wojtek momentalnie łapie za telefon i z zawadiackim uśmiechem czyta wiadomość od Agnieszki, lat 49, od której właśnie dostał zdjęcie z przebie ralni. „Kupiłam sobie nową bieliznę. Jak Ci się podoba?”.

– Świadomy praw i obowiązków wynikających z założenia rodziny, uroczyście oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z Martyną, i przyrzekam, że uczynię wszystko, aby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe – mówi 35-letni Michał, patrząc w oczy narzeczonej, która za kilka chwil zostanie jego żoną. Wsuwa na jej palec obrączkę. Dla tych, którzy na Tinderze szukają miłości, a nie przelotnego romansu, wygrał tę niełatwą grę.

Pytam go kilka miesięcy później przy zycy, jak znajduje się żonę na Tinderze. – Musisz się spóźnić na pierwszą randkę, później pospierać, kto płaci rachunek, a na końcu odpuścić i stracić nadzieję, że coś z tego będzie – mówi rozbawiony, poprawiając złotą obrączkę na palcu. – A na serio to wcale nie było łatwe, trwało kilka lat, kosztowało mnie masę nerwów, załamań i godzin spędzonych na terapii – poważnie Michał.

Pierwsze konto na Tinderze założył jeszcze jako student. Kończył prawo i miał zdecydowanie dosyć rozmów z kolegami i koleżankami prawniczkami. Jego bańka stała się duszna, potrzebował zaczerpnąć świeżego powietrza. – Nie byłem w stanie już się kisić w grupie prawników. Moje relacje z kobietami też były tylko wewnątrz bańki. Dlatego, jak zaczynałem rozmawiać z dziewczynami w aplikacji, to trzymałem się takiej zasady: jeśli ma cokolwiek wspólnego z prawem, to dziękuję i usuwam parę – opowiada Michał. Udało mu się osiągnąć cel, otworzył się na nowe osoby, poznał inną wrażliwość. Z początku miał do aplikacji dużo entuzjazmu.

– Bardzo rozwijające doświadczenie. Mogłem na własnej skórze się dowiedzieć, co

uchodzi za atrakcyjne i pociągające, a w zasadzie co uznawane jest za męskie, a co niemęskie. Pierwsza rzecz to oczywiście wzrost. Jedne z dziwniejszych rozmów, jakie odbywałem, dotyczyły mojego wzrostu – mówi Michał.

Patrzę na niego i czegoś nie rozumiem. Michał jest wysoki, postawny, wysportowany, dobrze zbudowany, nosi gęstą brodę. Jego look uchodziłby za typowo męski i dzisiaj, i sto lat temu.

– Bo z tym wzrostem nie jest tylko tak, że obrywa się niewysokim mężczyznom. Ja nie miałem w opisie podanego wzrostu, bo nie uważałem, że to jest coś, co mnie określa. Wiadomo, że na zdjęciach nie zawsze wszystko widać, więc dziewczyny pytały mnie wprost: „To ile masz wzrostu?”, a ja na to zgodnie z prawdą „185 cm”. W odpowiedzi kiedyś dostałem: „Nie wierzę ci, bo jakbyś miał tyle, tobyś napisał” i usunęła parę. Zdarzało mi się zobaczyć w opisie u dziewczyn: „Mężczyzna zaczyna się od 180 cm wzrostu” – opowiada Michał.

Kiedyś po randce, po której miał jasność, że nic z tego nie będzie, napisał do dziewczyny wiadomość. Podziękował za spotkanie i poprosił o informację, co zadecydowało, że straciła nim zainteresowanie. – Napisała: „Za dużo gadasz”. Wtedy do mnie dotarło, że ten archetyp milczącego mężczyzny wcale nie odszedł w niepamięć. Przecież nikt nie będzie rozliczał kobiety z tego, że dużo mówi, a mężczyznę już tak. Zacząłem się zastanawiać i nawet próbować być bardziej milczącym typem, który odpowiada pojedynczymi zdaniem, ale nic z tego nie wyszło, bo po prostu to nie jestem ja.

Tematem, który najczęściej skłaniał go do przemyśleń na temat ról płciowych, męskości i kobiecości, była kasa. – Wychowałem się w takiej, a nie innej kulturze, dlatego czymś domyślnym wydawało mi się przez lata, że to facet płaci na randce za rachunek, więc tak też robiłem, ale zauważyłem, że zaczęło mnie irytować, kiedy kobieta brała to za oczywistość, za coś, co jej się po prostu należy. Dużo do myślenia dała mi rozmowa z moją współlokatorką, z którą mieszkalem na studiach. Ona bez skrupowania mówiła, że jak kończy jej się kasa w miesiącu, to wchodzi na Tindera i szuka gościa, który postawi jej kolację. Słabe – komentuje Michał.

W końcu w gąszczu par, flirtów i kilku głębszych rozmów pojawiła się „ona”. – Nie byłem wtedy w dobrym stanie psychicznym. Teraz wiem, że rozwijała się u mnie depresja, ale jak zacząłem się z nią spotykać, nagle poczułem, co znaczą te wszystkie teksty o gromie z jasnego nieba. Zakochałem się bardzo szybko, miałem poczucie, że pasuje do mnie idealnie. Czułem się tak, jakbym znalazł puzzel, który idealnie pasował. Fakt, że znalazłem ją



w aplikacji, podbijał tylko to wrażenie, że jesteście sobie pisani, bo wiedziałem, jak trudno znaleźć tam prawdziwe dopasowanie – opowiada Michał.

Cztery miesiące później obudził się z rana, spojrzał na swoją dziewczynę śpiącą jeszcze w łóżku. Poczul, że to jest ten moment. Ubrał się szybko i w drogerii pod domem kupił pierścionek za kilkanaście złotych. – Wiedziałem, że chcę się jej oświadczyć tu i teraz. Nie było czasu na szukanie tego idealnego pierścionka, chodziło o symbol. Przyklęknął. Oświadczył się. Wybuch radości. Sielanka skończyła się już następnego dnia.

– Miałem wrażenie, że zmieniła się o 180 stopni. Poczula, że nie musimy o sobie zabiegać, więc przestałem być dla niej atrakcyjny. Klótnie, afery, pretensje. To była nasza codzienność przez rok – opowiada Michał. Zorientował się, że nie chce tkwić w tym związku, kiedy wieczorem krążył po dyskoncie z pustym koszykiem. Po prostu odwlekał powrót do domu.

– Jestem dzieckiem lat 90., czyli moją świadomość w dużej mierze uformowały filmy Disneya. Jak byłem małym chłopcem, to do Polski docierały te wszystkie nowe bajki, ale też te kilkudziesięcioletnie, jak „Zakochany kundel”. Nasiąkałem tym jak gąbka, wielu chłopaków i dziewczyn z mojego pokolenia też. Chłonęliśmy te wyobrażenia o idealnej, romantycznej miłości, która uleczy wszystko. Jak szedłem po ten pierścionek, to czułem, że jestem bohaterem swojej disnejowskiej fantazji – uśmiecha się Michał.

Wrócił na Tindera. Poobijany i nieszczerśliwy. – Przeglądałem kolejne dziewczyny zupełnie beznamiętnie, umawiałem się na randki taśmowo. Siedziałem na nich le-dwo obecny. Czasami kończyło się to jakimś seksem, czasem niczym. Nie wiem, ile było tych spotkań, większości nie pamiętam. Może jak byłem nastolatkiem, to taki tryb życia mógł mi się wydawać imponujący. Teraz wiem, że byłem po prostu choler-nie smutny.

Kiedy dzisiaj patrzy na tamte lata, widzi, że traktował te spotkania jak rozmowy rekrutacyjne na stanowisko „żona i matka moich dzieci”. – Nie widziałem tych dziewczyn, widziałem tylko swoje wyobrażenia i to, jak bardzo one do nich nie pasowały, wtedy traciłem zainteresowanie – mówi Michał. W końcu poczul, że osiągnął limit randkowych doświadczeń. – Chwilę przed tym, jak spotkałem się pierwszy raz z przyszłą żoną, odpuściłem. Uznałem, że nie mogę wybiegać w przyszłość, planować zaraz całego życia, tylko powinienem się skupić na osobie, która siedzi przede mną – opowiada.

Rozmawiali ze sobą w aplikacji kilka dni. W końcu się umówili. Spóźnił się, bo za-trzymała go praca. Spodobała mu się już na pierwszym spotkaniu, ale nie miał poczucia, że wpada w ten znany mu maniackalny stan, nie idealizował jej. Pamięta, jak zapłacił przy kasie za swoją i jej kawę, za co zro-biła mu małą awanturę. Uczucie rodziło się stopniowo, raczej z tygodnia na tydzień niż z minuty na minutę. Tym razem z oświadczynami poczekał cztery lata. Rok później wzięli ślub.

– Gdybym teraz zainstalował Tindera albo Grindra i swoje zdjęcia opatrzył opisem: „Mam ochotę na seks. Spotkajmy się za 10 minut”, to gwarantuję ci, że do końca naszej rozmowy napisze do mnie pięciu mężczyzn. A jakbym napisał, że szukam długotrwałej, romantycznej relacji, to mogę się nie przejmować telefonem, bo odzewu raczej nie będzie – mówi Łukasz, 26-letni student psychologii z Łodzi.

Dzisiaj jest w relacji, ale z randkowaniem online kojarzą mu się głównie frustracja i trudne emocje. Choć pierwsze doświadczenia zapisały się w jego pamięci całkiem dobrze. – Miałem 18 lat, byłem w technikum i akurat przebywałem we Francji. Właśnie dokonałem coming outu i założenie profilu na Fellow, portalu randkowym dla ge-

jów, było takim przypieczętowaniem nowego etapu w życiu.

Pierwsza randka z Mateuszem, mężczyzną starszym o 10 lat, też była ekscytująca. Łukasz był młodym chłopakiem, jego randkowy partner miał już pracę, samochód, pieniądze. – Nie do końca wiedziałem, jak działa nasze środowisko. Mogę powiedzieć, że byłem młody, wierzyłem w romantyczne ideały – wzrusza ramionami.

Szybko się przekonał, że wiele rozmów po kilku wymianach sprowadza się do pytania: „To kiedy idziemy do łóżka?”. – Seks oczywiście jest czymś zupełnie normalnym, a na dodatek potrafi być bardzo przyjemny. Dla mnie jednak to mało akceptowalne, że prawie się nie znamy i od razu pojawia się pytanie: „U mnie czy u ciebie”? – mówi Łukasz.

Rozczarowało go również, jak wielu mężczyzn ghostowało go, czyli przerywało rozmowę i znikalo jak kamień w wodę, bez żadnego wyjaśnienia. – W zeszłym roku poznałem mężczyznę w aplikacji. Zaczęliśmy intensywnie rozmawiać, spotykać się, miałem wrażenie, że rozwija się między nami jakaś więź. I nagle przestał pisać.

Łukasz się wystraszył. Myślał, że mężczyźnie, którego zaczął poznawać, po prostu się coś stało. W głowie zaczęły się pojawiać myśli, że coś musiało mu się stać, bo przecież nie zerwałby tak kontaktu z godzinę na godzinę. – Zadzwoń. Był sygnał, ale odrzucił telefon. Wtedy wiedziałem, że to ghosting. Najpierw opanował mnie gniew, że znowu dałem się nabrać, ale później zacząłem szukać winy w sobie. Co zrobiłem źle? To jest najgorsze w takich sytuacjach, że zostajesz sam z milionem pytań bez odpowiedzi, więc tworzysz sobie setki scenariuszy – mówi Łukasz ze smutkiem.

Jego zdaniem aplikacje skłaniają do tego, żeby traktować innych bez sentymentów. – Wyobraź sobie, że rozmawiasz z kimś, kto ci się podoba, nawiązujesz jakąś relację, ale cały czas przecież też przeglądasz innych. W końcu znajdujesz kogoś, kto wydaje ci się jeszcze ciekawszy. Angażujesz się w rozmowę z tym atrakcyjnym Hiszpanem i zapominasz o chłopaku, z którym gadałeś przed chwilą. A że to po prostu jakiś profil ze zdjęciami i opisem, to nie czujesz, że musisz się tłumaczyć – mówi Łukasz, próbując zrozumieć, co dzieje się w głowie osoby, która ghostuje.

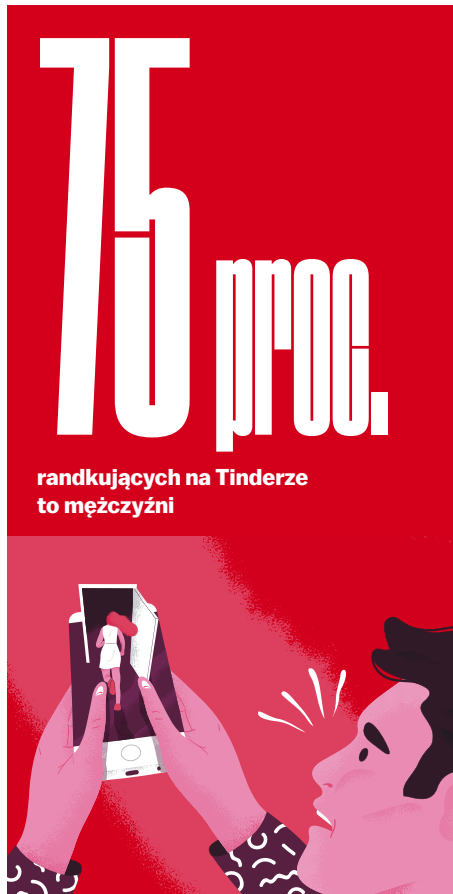
Sam uważa się za wrażliwego mężczyznę. Często nieudane relacje odchorowywał ze smutku. – On już budował sobie nowe życie z kimś innym, a ja płakałem w poduszkę. Kiedyś starałem się chować tę wrażliwość, bo myślałem, że męskość i wrażliwość nie idą ze sobą w parze. Dzisiaj uważam, że to moja siła, bo potrafię przyznać się do uczuć, do tego, że mam emocje. Chociaż może nie jest to postawa mieszcząca się jeszcze w kanonie męskości – roztrząsa Łukasz.

A jak ten kanon wygląda? Łukaszowi się wydaje, że ma jakieś pojęcie, bo kiedy przegląda potencjalnych partnerów, to widzi jednocześnie swoją „konkurencję” – innych mężczyzn w aplikacji. – Jest dość paradoksalny, bo najlepiej, żeby to był na zewnątrz samiec alfa, ale jednocześnie miękki w środku, bo przecież jakoś trzeba zbudować z nim tę relację. Myślę, że najwięcej zainteresowania w naszym środowisku, wśród gejów, wzbudza młodość – im młodszy, tym lepszy, sportowa, atletyczna sylwetka – wysoki, najlepiej z sześciopakiem na brzuchu – i dominujący charakter. Dość tradycyjne męskie cechy – komentuje Łukasz.

Proszę, żeby na chwilę wrócił jeszcze do Francji, kiedy kończył 18 lat i zakładał konto na Fellow. – Gdybym mógł powiedzieć coś temu chłopakowi, to poprosiłbym go, żeby dbał o siebie, szanował swoje granice i był ostrożny.

Siadam na kanapie w żoliborskim gabinecie dr. Roberta Kowalczyka – psychologa, seksuologa i współzałożyciela Instytutu Psychoterapii i Terapii Seksuologicznej „Splot”. Za oknem widok na plac Wilsona, na ścianach regały z ciemnego drewna zastawio-

Załamano mnie, ile kobiet szuka typowo patriarchalnej relacji. Te wszystkie teksty w opisach – Szukam mężczyzny zaradnego, który będzie potrafił o mnie zadbać”, „Princess treatment”



ne książkami o seksie, relacjach, męskości. Proponuję, żebyśmy wyobrazili sobie, że jesteśmy pacjentem. Rozpoczynamy sesję, a ja na początku oznajmiam, że założyłem konto na Tinderze. – Co zazwyczaj pojawia się po tych słowach? Pacjenci odczuwają raczej entuzjazm czy smutek?

– Bardzo wiele zależy od tego, czy to pierwsza instalacja i pierwsze konto czy, na przykład, to humorystycznie, „recydywa”, kolejny powrót do aplikacji. Dużo entuzjazmu będzie u kogoś, kto długi czas był w relacji, a na dodatek ostatnie miesiące albo nawet lata ona nie była szczęśliwa. Wtedy dominuje nadzieja, ekscytacja tym przepastnym światem możliwości, gdzie wszyscy wydają się tacy chętni, uśmiechnięci, zapraszający. Łatwo mi przywołać z pamięci pacjentów, którym dosłownie świeciły się oczy – mówi dr Kowalczyk.

A „recydywiści”? – Oni już wiedzą, że te ekstatyczne uśmiechy, wypięte klaty i biusty to tylko kolorowe, błyszczące opakowanie. Doświadczali już pierwszego ghostingu, nieudanej randki, mało satysfakcjonującego seksu. A może nawet się zorientowali, że naczelnym celem aplikacji wcale nie jest to, żeby użytkownik znalazł sobie partnera lub partnerkę, tylko żeby jak najdłużej korzystał z aplikacji i najlepiej za nią jeszcze płacił.

Najpopularniejsze aplikacje, takie jak Tinder, Bumble, Badoo czy Grindr, działają w modelu freemium, co oznacza, że podstawowe funkcje typu przeglądanie profili i wysyłanie polubień są bezpłatne. Jednak na każdej z platform można zainwestować w płatną subskrypcję, która odblokowuje dodatkowe użyteczności. Użytkownicy płacą przede wszystkim za większą liczbę polubień i podgląd osób, które już ich polubiły, dzięki czemu jeszcze przed zagadaniem w barze wiemy, dla kogo jesteśmy atrakcyjni. W świecie sprzed aplikacji to coś, co można porównać do supermocy z komiksów i gier komputerowych. Subskrypcje takie jak Tinder Gold, Bumble Premium czy

Grindr XTRA oferują m.in. brak reklam, zwiększenie widoczności profilu czy dostęp do zaawansowanych filtrów, co ma zwiększyć szansę na znalezienie idealnego partnera lub partnerki. Oraz kosztuje od kilku do nawet kilkuset złotych, w zależności od poziomu subskrypcji.

Amerykański ośrodek badawczy Pew Research Center opublikował w 2023 r. dane na temat doświadczeń użytkowników i użytkowniczek aplikacji randkowych. Około 35 proc. użytkowników zapłaciło przynajmniej za korzystanie z dodatkowych funkcji. Osoby powyżej 30. roku życia częściej płaciły za aplikacje randkowe (41 proc.) niż młodszy użytkownicy (22 proc.). Widać też wyraźną różnicę między płciami – za dodatkowe funkcje płaci 41 proc. mężczyzn i 29 proc. kobiet.

To nie wszystkie różnice w doświadczeniach kobiet i mężczyzn korzystających z aplikacji randkowych. Wśród obecnych lub niedawnych użytkowników 54 proc. kobiet przyznało, że czuły się przytłoczone liczbą wiadomości, które otrzymały w ostatnim roku. Jedynie 25 proc. mężczyzn miało podobne odczucia. Za to 64 proc. mężczyzn skarżyło się na utratę pewności siebie z powodu braku wiadomości od potencjalnych partnerek. Taką samą frustrację zgłaszało cztery na dziesięć kobiet.

A co frustruje mężczyzn, którzy siadają na kanapie w gabinecie dr. Kowalczyka? – Platformy randkowe potrafią być dość obcesowym miejscem. Wiele razy słyszałem, że samo przeglądanie setek czy nawet tysięcy profili skłania do myślenia o innych i samych sobie jak o produktach, towarach na rynku matrymonialnym. Czasem ludzie są po prostu nieczuli i wypisują sobie przykre rzeczy. Nie wiem, jak gruboskórnym trzeba być, żeby nie przejmować się brutalnymi uwagami na temat swojego wyglądu czy charakteru. Złazszcza że aplikacja randkowa to miejsce, w którym się emocjonalnie odsłaniamy, więc raczej obawiałbym się, gdyby przykre komentarze po nas całkowicie spływały – mówi dr Kowalczyk.

Tematem, który często zajmuje randkujących mężczyzn, są pieniądze. – Czego wstydzimy się jako Polacy najbardziej? Tego, że nas na coś nie stać. A że wciąż żyjemy w świecie, który jest domyślnie patriarchalny, to ten wstyd dotyka mężczyzn z jeszcze większą mocą. Natomiast lęk związany z zarobkami nie dotyczy tylko mężczyzn. Zamożne kobiety zastanawiają się, czy nie odstraszą mężczyzn wysokością dochodów, bo wciąż u wielu osób utrzymuje się przekonanie, że to mężczyzna powinien mieć większe.

Z badań firmy Gedeon Richter wynika, że mężczyźni oceniają swoją atrakcyjność nieznacznie gorzej niż kobiety. Średnia samooceny jego wynosi 6,6 w 10-stopniowej skali, ona ocenia się na 6,7. Im młodszy badani, tym ważniejszy jest dla nich wygląd. Starsi mężczyźni (56-69 lat) częściej utożsamiają męskość z cechami takimi jak mądrość, odpowiedzialność i stabilność emocjonalna. Młodszy (18-25 lat) skupiają się na wyglądzie, sprawności fizycznej i sukcesie materialnym. – Łatwo nabawić się kompleksów, wystarczy wejść na Instagram i przekonać się, jak wygląda dzisiaj mężczyzna idealny: wysportowany, z ciałem wyrzeźbionym jak antyczny posąg, prowadzący aktywny styl życia i osiągający sukcesy zawodowe. Kiedyś porównywali-

śmy się głównie do osób z naszego otoczenia – z rodziny, sąsiedztwa, miejsca pracy. Dzisiaj media społecznościowe prowokują nas, żebyśmy porównywali się z całym światem. Dosłownie – nasze wyobrażenie o tym, jak powinniśmy wyglądać czy jakie standardy osiągać, jest kształtowane przez tych, którzy są na samym szczycie globalnej drabiny społecznej – tłumaczy dr Kowalczyk.

I uwaga: – Dzisiaj, w roku 2024, nierealistyczne standardy dotyczą już mężczyzn tak samo jak wcześniej przez długie lata kobiet.

Na sesje terapeutyczne mężczyźni coraz częściej przynoszą historię o tym, że trudno im się odnaleźć w świecie, w którym tradycyjny podział ról płciowych przestaje funkcjonować, a jednocześnie kultura popularna nie daje prostych odpowiedzi, jak postępować powinien „prawdziwy mężczyzna”. – W tradycyjnym modelu odpowiedzi były jasne. Mężczyzna ma określone zadanie, zajmuje się pracą, a kobieta domem i rodziną. Nie trzeba było się zastanawiać, bo istniał jeden model domyślny. Kiedy się rozpadł, wiele rzeczy trzeba negocjować, ustalić na nowo, podzielić się obowiązkami. Nieustanna komunikacja, przegadywanie i negocjacje w życiu codziennym mogą być niezwykle wyczerpujące. Dlatego widzę, że coraz więcej mężczyzn wyraża zmęczenie tym stanem ciągłej gotowości do rozmowy, marzą o „świętym spokoju” – komentuje dr Kowalczyk.

W pamięci psychoterapeuty jest co najmniej tyłu pacjentów, którzy z entuzjazmem instalowali aplikację, ilu tych, którzy zmęczeni ją usuwali. Co następuje po słowach: „Mam tego dość, usuwam aplikację”?

– Właśnie wróciłem z wyjazdowych warsztatów dla singli i tam pytaniem, które najbardziej rozpałało emocje, było: „Jeśli nie w aplikacji, to gdzie mam kogoś poznać?”. Z burzy mózgów szybko zaczęła się wyłaniać klarowna odpowiedź. Warsztaty gotowania, zajęcia jogi, wędrówki górskie – wszystkie aktywności w grupie, które stwarzają szanse na spotkanie partnera lub partnerki o podobnych zainteresowaniach. Moim zdaniem to świetny pomysł, jeśli ktoś myśli o trwałej relacji. Każdy z nas pewnie słyszał, że rzekomo to przeciwieństwa się przyciągają, ale mogą z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że to nieprawda. Pary, które są najbardziej zadowolone z relacji, łączą coś istotnego, wspólne zainteresowania, wrażliwość lub świat wartości – kwituje psycholog.

Wytatuowany rugbista Siergiej w swoim gabinecie na warszawskiej Pradze-Północ też ma wygodny fotel i też codziennie zwierzają mu się mężczyźni. W miesiącu pochyla się nad ponad setką męskich głów. Zajmuje się głównie ich włosami na głowie i brodzie, bo jest barberem, ale w jego zawodzie nie sposób uniknąć rozmów o relacjach.

– Człowieku, wszyscy są zmęczeni. Ci, co kogoś znaleźli, i ci, co nie mogą znaleźć. Kiedyś brales sobie dziewczynę z osiedla i nie porównywałeś jej codziennie z innymi kobietami, bo nie miałeś z kim. Najwyżej sąsiadką i koleżanką z pracy. A teraz? Ciągłe się zastanawiają, czy w apce nie znajdziesz lepszego, mądrzejszego, zabawniejszego albo przynajmniej ze zgrabniejszymi nogami albo lepszym tyłkiem. Zwariować idzie – kończy, przerzucając nożyczki między palcami. ●



• Lata w korporacji mijają,
a zespół wciąż młody i dynamiczny
FOT. SHUTTERSTOCK

URODZINY SPĘDZAM W BIURZE

**Idealne miejsce pracy
ma nam dać nowe
doświadczenia, przyjaźnie,
podróże, przygody.**
Jakbyśmy nie potrzebowali
już w życiu niczego więcej.

Z **ZOFIĄ SMEŁKA-LESZCZYŃSKĄ***,
AUTORKĄ KSIĄŻKI „CZEŚĆ PRACY.
O KULTURZE ZAPIERDOLU”
ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**

**Jest poniedziałek, godzina 9.48. Wstała
dziś pani o piątej i afirmowała,
jak ludzie sukcesu?**
– Wręcz przeciwnie, obudziłam się z poczuciem, że jestem spóźniona ze wszystkimi zadaniami w pracy o jakieś pięć dni i bycie wydajną idzie mi beznadziejnie. Jadąc tu, oglądałam w mediach społecznościowych zdjęcia ludzi, którzy teraz siedzą w słońcu i czytają książkę. Zastanawiam się, jak to, że ktoś nie pracuje od dziewiątej do siedemnastej, stało się dla mnie tak egzotyczne.

Opowiada o tym pani książka, poświęcona ideologii pracy. Co to takiego?
– To pewna wiązka narracji, znaczeń i pozytywnych norm zachowania związanych w pracą, ale też szerzej: aktualna w danym

momencie historia o dobrym życiu dzięki pracy. Przy czym nie ma jednej ideologii pracy. Inna będzie w społeczeństwach indywidualistycznych, inna w bardziej kolektywistycznych, zależnie od momentu historycznego. Równolegle na danym obszarze może istnieć kilka ścierających się ideologii, ale jedna będzie dominowała.

**Jaka jest ta dominująca
we współczesnej Polsce?**
– Skoncentrowana na wzroście: zwiększaniu produktywności i efektywności, poświęcaniu się pracy i identyfikowaniu z nią, a w wydaniu ekstremalnym – wręcz kochaniu jej. Podkreśla wartość pracy zespołowej, ale tylko z punktu widzenia osiągania dzięki temu lepszej efektywności albo kreatywności, a nie budowania prawdziwej wspólnoty czy solidarności pracowniczej. Taka narracja przez ostatnie trzydzieści lat była suflowana Polakom niezależnie od branży czy stanowiska.

Kto nam tę ideologię sufluje?
– Bardzo trudno dotrzeć do osoby lub instytucji, od której się zaczęło. Łatwiej powiedzieć, kto tę narrację podtrzymuje. W dużej mierze są to elity biznesu, czyli ludzie, którzy osiągnęli sukces materialny i związany z nim prestiż. Ale też przez media głównego nurtu, bo żyjemy w kulturze gigantycznego zainteresowania sukcesem tych elit. Zresztą dziennikarze tych mediów opowiadają o sobie jako o tytanach pracy: w poniedziałek

poważna operacja, we wtorek – kolegium redakcyjne. Już w 1989 r. w Polsce ukazał się pierwszy numer magazynu „Sukces”, który przedstawiał ludzi, którym się powiodło, i opowiadał, jak do tego doszło. Spoiler alert: dzięki pracy.
Tego typu opowieści do dziś mają na nas przemożny wpływ. Ideologia pracy przejawia się w nich bardzo wyraźnie, stanowią dla niej pas transmisyjny. Historie ludzi sukcesu nie są bowiem tylko historiami ich biznesów, ale czymś w rodzaju uniwersalnej hagiografii przedsiębiorcy – znaną od lat opowieścią o dobrym życiu dzięki ciężkiej pracy i dla ciężkiej pracy.

■
*Na Zachodzie jedna
z firm kurierskich ubrała
pracowników w koszulki
z napisem: „Kocham moją
pracę. A ty?” Jednocześnie
reporterzy opisywali,
że ci kurierzy nie mają
nawet czasu komfortowo
zrealizować swoich potrzeb
fizjologicznych*

Jak w baśniach, pewne elementy tych opowieści są kopiowane z jednej biografii do drugiej, jak dwóch złych braci albo walca ze smokiem. Tu zwykle czytamy o wyjątkowej jednostce, która robiła wszystko, jak należy, kierowała się odpowiednimi wartościami, znosiła trudy, pokonywała przeciwności i została za to nagrodzona. A my śpiewamy jej pieśni pochwalne i stawiamy ją za wzór.

**Jakie elementy są wpisane
w te opowieści?**
– Koniecznie musi się pojawić harówka. Nie osiem godzin dziennie, ale osiemdziesiąt tygodniowo! To coś, co podkreśla wszystkie osoby, które odniosły sukces. Co często jest oczywiście prawdą, ale pomija inne czynniki. Elity mają ogromny problem z przyznaniem, że swój sukces odziedziczyły, jeśli tak było – bo kapitał, z którym wchodziły w życie zawodowe, już w momencie startu ulokował je w innym miejscu niż przeciętnego zjadacza chleba. Albo że wstrzeliły się w lata 90., które były dobrym momentem na rynku. Albo że płacą pracownikom trochę za mało i nie zawsze w terminie.
Przez lata koniecznym elementem historii sukcesu było też niestawianie pracy żadnych granic. Pracowanie nie tylko ciężko, ale cały czas. Na początku lat 90. w mediach królowały opowieści o mężczyznach zaślubionych swojej pracy: takich, którzy spędzali w niej całe dni, łącznie z weekendami, a jadąc na urlop, pro-

sili podwładnych, by do nich regularnie dzwonili.

Dziś zamiast zaślubionych pracy mamy nadludzi, którzy nie potrzebują snu czy jedzenia.

– W dominującej narracji, przeszczepianej do Polski z Doliny Krzemowej, organizmy współczesnych prezesów czy twórców start-upów działają inaczej niż zwykłych śmiertelników. Nie tylko są oni w stanie pracować przez szesnaście godzin na dobę, ale jeszcze wstają o czwartej rano, żeby poćwiczyć i poafirmować, jedzą raz na cztery dni albo żywią się tylko jarmużem. Uprawiają intensywny biohacking.

Co ważne, nie robią tego dla zdrowia, tylko po to, by być wydajniejszymi, szybszymi, inteligentniejszymi nadpracownikami. Dzisiejsi prezesi widzą samych siebie jako pracowników, tyle że lepszych. Najlepszych, wzorowych. To już nie są czasy prezesów, którzy co jakiś czas wpadają przejść się po fabryce i uściśnąć ręce pracownikom. Teraz dobry prezes jest na miejscu non stop, jak Elon Musk, który chwali się, że urodziny spędzi w biurze.

Pisze pani, że „po 1989 r. narracja o pracy została skrzywiona i wypaczona”. Wcześniej nie była?

– Oczywiście, że była. Żadna ideologia nie jest w stanie oddać całości ludzkiego doświadczenia ani dać uniwersalnego przepisu na „dobre życie”. Podobnie jak każdy sposób opisywania pracy najemnej, składający ludzi do zaangażowania się w nią bardziej, jest bliski osunięcia się w absurd.

Rewersem współczesnej opowieści o pracy jest cały zestaw norm i wzorców odrzuconych. W Polsce ich ucieleśnieniem był tzw. homo sovieticus, człowiek starego typu, przedstawiony jako trwały „skażony” komunizmem. To w kontrze do niego powstała figura pracującego po godzinach „młodego, dynamicznego zespołu”, który od trzydziestu lat magicznie się nie zestarzał.

Nie jest tak, że którąkolwiek z ideologii – czy tę o pracy dla narodu, czy tę o pracy z miłości – uważam za adekwatny sposób opisywania świata. Są tysiące powodów, dla których można krytykować ideologię pracy w czasach poprzedniego ustroju. Mam natomiast wrażenie, że odrzucając wszystkie ówczesne normy, wylaliśmy dziecko z kąpielą. Odrzuciliśmy zbiorowo wartości, które dziś mogłyby złagodzić różnice nasze bolączki. Na przykład związki zawodowe jako rozwiązanie, a nie problem. Albo to, że nie zawsze da się być absolutnie, stuprocentowo wydajnym.

Nie powinniśmy przynajmniej do tego dążyć?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Jeśli bezkrytycznie wierzymy w podnoszenie PKB czy doganianie europejskiego pociągu, to faktycznie, każda minuta się liczy. Ale to nie jest jedyna możliwa perspektywa. Polska ideologia pracy sprawia, że kurczowo trzymamy się zakłęb o PKB, doganianiu, nadrabianiu, stawianiu się entą gospodarką na świecie. Tyle że przy okazji kompletnie umyka nam ludzkie przeżywanie pracy.

Jak zmieniło się ono po 1989 r., pokazują relacje pracowników zakładów produkcyjnych, którzy na własnej skórze doświadczali bolesnej strony transformacji. Można je przeczytać m.in. w „Prywatyzując Pol-



• W PRL praca była przedstawiana jako obywatelski obowiązek. Propaganda ostrzegała: „Bumelant to dezertier z frontu walki o silną Polskę”

skę” Elizabeth Dunn czy w książce „Cięcia. Mówiona historia transformacji” Aleksandry Leyk i Joanny Wawrzyniak. Ta zmiana nie polegała tylko na wprowadzeniu nowej siatki pojęciowej, przemianowaniu kierowników na menedżerów, ale też nowych zasad, które trudno racjonalnie uzasadnić – jedna z pracownic branży chemicznej opowiadała np., że zabroniono im w pracy wspólnie śpiewać.

To przykład tego, że radykalnie zmieniła się sama idea stojąca za pracą. W oficjalnej narracji czasów komunizmu beneficjentem pracy był cały naród. Praca stwarzała nas jako obywateli, członków wspólnoty. Dziś stwarza nas przede wszystkim jako konsumentów – jednostki zorientowane na siebie same i na swoją zdolność kredytową.

A zarazem te jednostki stają się trybikami w wydajnościowej maszynie.

– Jedną z najciekawszych rzeczy w ideologii pracy jest to, że narracje pasujące do wąskiej grupy ludzi – na przykład menedżerów z dużych miast – rozlewają się i skupują na obszary rynku pracy, w których są kompletnie nieadekwatne. Tak jest z obietnicą sukcesu, który można osiągnąć dzięki ciężkiej pracy. Masy ludzi pracują bardzo ciężko, a żadnego sukcesu nie odniosą. Nawet jeśli jak pre-

zesi z Doliny Krzemowej śpią po cztery godziny na dobę i nie jedzą. Niektórzy, na przykład dojeżdżający do pracy w specjalnych strefach ekonomicznych, też nie dosypiają i nie jedzą, tylko w ich wypadku wynika to z tego, że zwyczajnie nie mają kiedy.

Jak jeszcze przejawia się to skapywanie?

– Na przykład w pisaniu ogłoszenia o pracę dla ekspedientki takim językiem, jakiego miała być top menedżerka. To skrzywienie narracji i jej niedopasowanie do ludzkiego doświadczenia widać też na przykładzie pracy zdalnej. Kiedy zaczęła się pandemia, media były pełne porad: jak urządzić domowe biuro, co zrobić z dziećmi, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Tymczasem praca zdalna była w Polsce, według różnych szacunków, doświadczeniem 6-10 proc. zatrudnionych.

Dobrze widać to też w kampaniach employerbrandingowych, czyli takich, które mają zareklamować firmę jako pracodawcę. Na Zachodzie jedna z firm kurierskich ubrała pracowników w koszulki z napisem: „Kocham moją pracę. A ty?”. Jednocześnie reporterzy opisywali, że ci kurierzy nie mają nawet czasu komfortowo zrealizować swoich potrzeb fizjologicznych.

To, że opowieści o pracy są snute z jednej, specyficznej perspektywy, sprawia, że słyszymy o pięciu się w górę, możliwościach rozwoju i samorealizacji jako czymś, co jest powszechnym doświadczeniem. Narracja wynaleziona dla pracowników z realnymi szansami na sukces materialny przenosi się na tych, których nie dotyczy i dotyczyć nie będzie: zarówno osoby pracujące w fabrykach, jak i na niskim szczeblu w korporacji.

I to na nas działa?

– Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, bo nie ma jednego doświadczenia pracy. Nie można powiedzieć, że w Polsce lu-

dzie uważają o pracy X, a nie Y. Część ludzi z krytykowaną przeze mnie narracją autentycznie się utożsamia i ma do tego prawo. Uważają, że uczestnicząc w kulturze pracy opartej na nadgodzinach, naprawdę pchają Polskę gdzieś do przodu albo do góry.

Można natomiast szukać narracji odzwierciedlających inne doświadczenia niż te suflowane przez media głównego nurtu. Znajdziemy je w memach, sztuce, literaturze, tekstach dramatów czy rapie. Stamtąd możemy się dowiedzieć, że jednak ludzie nie zawsze kochają swoją pracę. Więcej, całkiem często swojej pracy nienawidzą, nudzą się w niej albo nią gardzą. Że się nie rozwijają, tylko wykonują pracę kompletnie bezsensowną, dehumanizującą, w której połowę czasu muszą poświęcić na udowadnianie, że pracują – jak pracownicy korporacji, którzy muszą składać pisemne raporty wyszczególniające, co dokładnie robili o której godzinie. Więc jak akurat mają godzinę wolną, to mogą zaraportować raportowanie, żeby ukryć ją przed systemem ewidencji czasu pracy. I to nie jest tylko kwestia wymogu pracodawcy, ale też poczucia, że taka wolna godzina źle o nas świadczy.

Wie pani, przed kim najbardziej wstydzimy się bezczynności?

Przed szefem?

– Przed partnerem. Bożena Kowalkowska, ekspertka, która pomaga ludziom lepiej radzić sobie z czasem, opowiada, że jeśli jej klientom zdarzy się uporać szybciej z pracą i położyć się na kanapie, to czują wstyd, kiedy do domu wraca ich partner i widzi ich nic nierobiących. Czujemy wstyd przed najbliższą osobą! Mamy tak głęboko zinternalizowaną normę produktywności, że nawet jeśli wykonaliśmy wszystkie obowiązki, jest nam głupio, bo mogliśmy zrobić więcej.

Ideologia pracy działa tak samo w różnych klasach społecznych?

– Dziś już nie. Przy czym ta różnica wynika nie tyle z samej klasy społecznej, ile z sytuacji na rynku pracy. Dopóki bezrobocie było względnie wysokie, czyli mieliśmy tzw. rynek pracodawcy, HR-owcy nie musieli się szczególnie wysilać. Tę samą narrację można było serwować wszystkim, bo i tak nie miało to większego znaczenia. Z tamtych czasów pochodzą ogłoszenia oferujące „możliwość samorozwoju” ekspedientce zmuszanej do stania przez osiem godzin w sklepie z torebkami.

To podejście zaczęło się zmieniać wraz z nadejściem rynku pracownika, kiedy część branż musiała zacząć się o nich starać. Tak było np. w dyskontach. Ludzie nie rwali się już do siedzenia na kasie czy wykładania towaru na półkach. I nagle – cud – okazało się, że w ogłoszeniu o pracę da się zawrzeć widelki placowe. Więcej, określić, jak wynagrodzenie będzie rosło w ciągu następnych trzech lat. Dziś mamy branżę, w których podawanie wysokości wynagrodzenia jest normą, choć poza pracownikami dyskontów dotyczy to głównie sektora IT.

Zabieganie o pracownika sprawiło, że część firm musiała się zastanowić nad tym, czy proponowana przez nie opowieść o tym, jak w firmie jest fajnie, faktycznie do ludzi trafia. Te największe, które mają pieniądze na badania i ekspertów, zaczęły ją różnicować w zależności od typu pracowników. Jeśli dziś spojrzymy na ogłoszenia Ikea czy Lidla, to ich przekazy będą zniuansowane: co innego firma obiecuje osobom od innowacji technologicznej, a co innego tym, które będą układać towary na półkach czy siedzieć na kasie.

Co oferują tym drugim?

– Rzeczy, które nigdy nie pojawiają się w ogłoszeniach adresowanych do białych kołnierzyków, a na których ludziom pracującym fizycznie bardzo zależy, i wiemy o tym z badań. Na przykład terminowo wypłacane wynagrodzenia albo stabilność zatrudnienia.

Jak się na tym zastanowić, to przecież coś, co cenimy wszyscy. Kto nie chciałby mieć stabilnej pracy i wypłacanej na czas

Na Zachodzie jedna z firm kurierskich ubrała pracowników w koszulki z napisem: „Kocham moją pracę. A ty?”. Jednocześnie reporterzy opisywali, że ci kurierzy nie mają nawet czasu komfortowo zrealizować swoich potrzeb fizjologicznych



• **Prezesi z Doliny Krzemowej szczytują się ciężką pracą, spaniem cztery godziny na dobę albo jedzeniem raz dziennie. Mnóstwo ludzi – ma podobne doświadczenia – a jednak nie zostali miliarderni. Jak to możliwe?** FOT. SHUTTERSTOCK

pensji? Tyle że białym kolnierzykom wmówiono, że to nie powinno być czymś, o co zabiegają, że powinni poszukiwać czegoś innego. Że można zonglować fajnymi projektami, mieć pięciu różnych ekscytujących klientów. Gotowość do nieustannej zmiany została nam sprzedana jako przywilej, za którym idzie przymus bycia nieustannie otwartym na możliwości kolekcjonowania certyfikatów, podnoszenia swojej wartości na rynku. Elastyczność była zachwalana jako recepta na kryzys na rynku pracy. Wszakże kryzysy się kończą, a doktryna elastyczności trwa. Nigdy nie wiadomo, czy stanie się ona twoim orężem, czy padniesz jej ofiarą.

Czym więc, jeśli nie stabilnością, kusi się białe kolnierzyki?
– Przede wszystkim rozwojem. To bardzo podstępne pojęcie, bo trudno dokładnie powiedzieć, co oznacza. Może to być rzeczywista usługa edukacyjna: dopłata do studiów czy kursów albo wewnętrzne szkolenie dające konkretne kompetencje. Ale bywa też niejasną obietnicą, która ma zastąpić twardą walutę. W pandemii pracodawcy tłumaczyli: nie ma pieniędzy na podwyżki, ale będzie rozwój. I co, z tego rozwoju mamy gotować obiad albo opłacać nim czynsz?

Koncepcja nieustannego rozwoju to stosunkowo nowy wynalazek. Kiedyś uważano, że człowiek rodzi się, jest dzieckiem i wtedy się rozwija, osiąga dorosłość i tak już zostaje. W latach 50. psychologowie z nurtu humanistycznego uznali, że jest inaczej – człowiek realizuje swoje kolejne potencjały przez całe życie. Maslow, ten od piramidy potrzeb, nazwał to samoaktualizacją. Świat pracy to myślenie zawłaszczyl. Doprowadził do tego, że słowo „rozwój” zlało się nam z karierą zawodową. Choć przecież równie dobrze możemy się rozwijać w innych sferach życia: jako przyjaciele, wolontariusze, rodzice, opiekunowie.

To symptom większego problemu: świat pracy pochłonął nie tylko „rozwój”, ale też

rozmaite inne przeżycia, których chcielibyśmy doświadczyć. Praca, zwłaszcza w najwyższych segmentach rynku, jest skonstruowana jako obietnica. Idealne, wymarzone miejsce pracy ma nam dać wszystko, co chcielibyśmy przeżyć: przyjaźnię, prestiż, nowe doświadczenia, podróże, przygody. Istnieją miejsca pracy, w których ta obietnica nawet nie będzie fałszywa. Diabeł tkwi w tym, że narracja dotycząca pracy jest skonstruowana tak, jakbyśmy nie potrzebowali już w życiu niczego więcej. Jedną z jej najbardziej szkodliwych obietnic jest to, że z pracą wszystko można pogodzić. Kampanie employerbrandingowe, zwłaszcza kierowane do kobiet, obiecują: pogodzisz pracę z życiem. Wszyscy do tego aspirujemy.

To niedobrze, że chcemy mieć work-life balance?
– Ale tej równowagi nie da się osiągnąć! Widać to zwłaszcza, kiedy jest się rodzicem, a już zwłaszcza młodą mamą. Praca i życie prywatne to sfery, które mają kompletnie odrębne systemy motywacji, wartości, pragnień. Umiejętność grania w grę zwaną work-life balance staje się kolejną rzeczą, z której jesteśmy rozliczani. Dobry pracownik to ten, który godzi pracę z byciem rodzicem, posiadaniem hobby, byciem wypoczętym i szczęśliwym. A o tym, jaki jest koszt pogodzenia tych spraw, nikt już nie mówi.

I tu znów przydatne okazują się rzeczy, które kiedyś odrzuciliśmy. Na przykład to, że przy niektórych zakładach pracy były przedszkola, co, w przeciwieństwie do korporacyjnych seminariów z work-life balance, autentycznie ułatwiało życiową logistykę. Teraz jeśli takie przedszkola istnieją, są nam sprzedawane jako szlachetny gest ze strony progresywnego pracodawcy.

Pisze pani, że ideologia pracy ukrywa konflikt między pracownikami a pracodawcami. Jak?

Udając, że ich interesy są zbieżne, choć jest dokładnie na odwrót. W racjonalnym interesie pracownika jest zarobić jak najwięcej, poświęcając na to jak najmniej energii. A pracodawca, żeby zmaksymalizować zysk, chce wycisnąć z pracownika jak najwięcej efektów, płacąc mu jak najmniej. Ideologię pracy kształtują ci, którzy mają głos i władzę – wielkie przedsiębiorstwa, w których interesie leży pudrowanie tego podstawowego konfliktu motywacji. Wpajają więc pracownikom przekonanie, że wszyscy zgodnie pracujemy na wspólny sukces. Nieprzypadkowo tak popularne są hasła o tym, że w firmie jesteśmy rodziną. Albo że każdy jest liderem – dzięki czemu pracownik może się poczuć obdarowany częścią tego sukcesu, choć niekoniecznie zobaczy część dywidendy. Kiedy wpoi się pracownikowi poczucie, że „jesteśmy w tym razem”, łatwiej unikać wprowadzania podwyżek, tłumacząc to trudnymi czasami, operowaniem na granicy rentowności. Choć potem ci sami przedsiębiorcy przedstawiają się jako filary polskiego biznesu.

Inną strategią maksymalizacji zysku jest zatrzymanie człowieka w pracy jak najdłużej. W wersji brutalnej można tym sterować, dowożąc ludzi do pracy. Zakłady w specjalnych strefach ekonomicznych są często w miejscach, gdzie transport publiczny jest niewydolny. Autobus jest wtedy, kiedy przysię go pracodawca. Można go więc ustawić, żeby między tym przywożącym a odwożącym było 10 godzin przerwy. W bardziej aksamitnym wydaniu, tym dla białych kolnierzyków, to te wszystkie poranne jogi albo popołudniowe seminaria z well beingu. Albo wyjazdy integracyjne. Przewalczenie tego, żeby wyjazd integracyjny nie zahaczał o weekend, bywa wielką krucjatą. No bo jak to narzekasz, skoro przecież jedziesz się bawić, jesz i pijesz za nie swoje pieniądze. A poza tym prezes też jedzie, i też bierze udział w zabawach.

Może to się zmienić wraz z wejściem na rynek pracy zeteki?

– To nie takie proste. Jeśli przyjrzymy się badaniom porównującym różne kohorty pracowników, to okaże się, że zetki wcale tak bardzo się w podejściu do pracy nie różnią. Ludzie generalnie chcieliby nie zaharowywać się na śmierć, wychodzić z pracy po ośmiu godzinach bez poczucia, że robią coś złe, i nie odbierać potem telefonów od przełożonych. Ale gdyby zacząć mówić o tym, że jest to powszechna potrzeba, to nagle pojawiłby się problem, z którym pracodawcy czy państwo musieliby się zmierzyć. Więc tę buntowniczą narrację wygodniej jest przypisać zetkom: grupie, którą najłatwiej jest sprowadzić do parteru stwierdzeniem, że są młodzi, niedoświadczeni, życia nie znają.

Pamiętam, jak to samo mówiono o młodszych. Ale zetki wchodziły na inny rynek pracy: przy mniejszym bezrobociu, ale też mniejszej szansie na tę mityczną wielką karierę.
– Nie jest to bez znaczenia. Od czasów założycielskich „kultury zapierdolu”, której twarzą stał się ostatnio profesor Matczak, realne możliwości awansu bardzo się zmieniły. Osoby, które w latach 90. zasuwały po 16 godzin i szybko awansowały na wysokie stanowiska, nierzadko nadal na tych stanowiskach są i z ich wysokości pouczają młodych pracowników. Powielają narracje, w jakich ich wychowano, i wychwalają wzory zachowania, które przyniosły im sukces.

Tyle że kiedyś młodzi pracownicy po pięciu latach pracy w korporacji mogli sobie kupić mieszkanie za gotówkę, a dziś w najlepszym wypadku mogą nieśmiało pójść do banku z prośbą o kredyt hipoteczny. Praca ponad miarę, która kiedyś przynosiła wymierne korzyści, dziś się zwyczajnie nie opłaca. Czy będą pracowali osiem, czy szesnaście godzin na dobę, większość młodych sobie tego mieszkania nie kupi.

Czyli co, jeśli ktoś kocha swoją pracę, czuje, że się w niej rozwija i jest z tego powodu szczęśliwy, to znaczy, że dał się oszukać?

– Nie chcę wmawiać ludziom, że jeśli czują się w pracy szczęśliwi, to mają fałszywą świadomość. Jestem przekonana, że są ludzie, którzy szczerze kochają swoją pracę. Na przykład moi rodzice. Mój ojciec jest aktorem, a moja mama nauczycielką języka polskiego – obie te prace były nisko opłacane, ale jednocześnie etosowe i dające głębokie poczucie sensu, którego im bardzo zazdroścę. Ja już nie kocham mojej pracy, ale są momenty, kiedy ją lubię i czuję, że ma ona sens. Ale, podkreślam, momenty. Bo nawet jeśli ktoś czuje się w pracy szczęśliwy, to nie trwa to osiem godzin dziennie, codziennie. A to świat pracy próbuje nam wmówić. ●



FOT. JAKUB SZAFRAŃSKI

*Dr Zofia Smełka-Leszczyńska

• semiotyczka kultury, psycholożka, doktorka nauk o kulturze i religii, z zawodu strategka komunikacji. Autorka książki „Usunąć do 30 dni. Semiotyka polskich plakatów wyborczych” (wyd. Scholar, 2020) oraz „Cześć pracy. O kulturze zapierdolu” (Wydawnictwo Krytyki Politycznej). Od 2024 r. radna m.st. Warszawy.



Nowy film o Havlu

NIE MIAŁ
SIĘ JAK
OGRZAĆ

To opowieść o samotności człowieka, którego kochają masy, ale ich uwielbienie tylko go od nich oddala.

Martin M. Šimečka*

Film „Mówi Havel, słyszycie mnie?” („Tady Havel, slyšite mě?”) to pełna czułości opowieść o wielkim człowieku, którego poczucie obowiązku skazało na egzystencjalną samotność.

Václav Havel zawsze przyciągał do siebie kamery i choć w istocie był człowiekiem nieśmiałym, zainteresowanie filmowców jego osobą traktował jako jeden z absurdów, które towarzyszyły mu w całym życiu. Widziałem sporo filmów o nim i wszystkie są dobre, łącznie z ostatnim. Zapewne to także zasługa reżyserów, ale główna przyczyna tkwiła w samym Havlu. Bo jego losy były równie wyjątkowe jak on sam.

Wcześniejsze filmy pokazywały Havla jako fenomen społeczny czy polityczny: Havel dysydent czy Havel prezydent. Ostatni obraz jest inny. To film o człowieku, który żegna się z życiem i rusza na spotkanie ze śmiercią, chce się do niej odpowiednio przygotować, ale przeszkadza mu w tym jego poczucie obowiązku. Ludzie pragną jego obecności, a on nie odmawia. Bycie prezydentem to chwilowa misja, ale „były prezydent to dożywocie”, mówi tylko na wpół żartem.

Jedyny bunt przeciwko losowi to nakręcenie autorskiego filmu „Odejścia”. Ujęcia z niego stają się metaforą: Havel reżyseruje własny film o polityku, który nie potrafi elegancko pożegnać się z funkcją, a przy tym sam żegna się z życiem. Po ukończeniu filmu jest starym, wycieńczonym człowiekiem, który na premierze upada na scenie ze zmęczenia.

Fragment filmu, w którym samotny Havel ogląda w telewizji pełne zakłopotania reakcje krytyków filmowych, a czeski filozof Martin C. Putna (który Havla niezwykle cenił, ale nigdy nie miał dla niego taryfy ulgowej) mówi, że cały film to „ciekawym pomysłem starszego pana, który chciał sobie sprawić przyjemność” – jest bardzo okrutny. Havel nigdy publicznie się nie skarżył, ale w praskich kuluarach mówiło się, że krytyka filmu była dla niego wielkim ciosem.

Reżyser (a zarazem operator) filmu o Havlu Petr Jančárek traktował swego bohatera z czułością, ale równocześnie miał świadomość, że nie może „położyć” tematu. A temat filmu to samotność człowieka, którego kochają masy, ale paradoksalnie ich uwielbienie tylko go od nich oddala. Bo one grzeją się w jego obecności, a on nie ma się jak ogrzać.

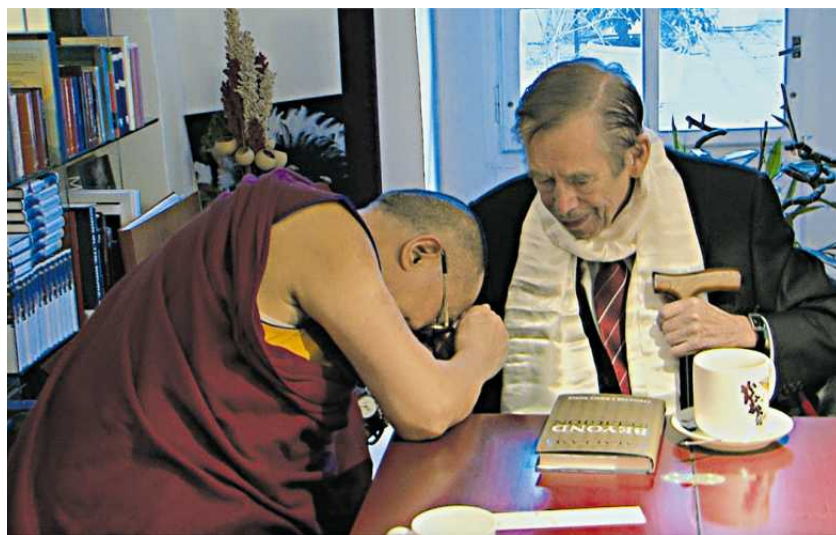
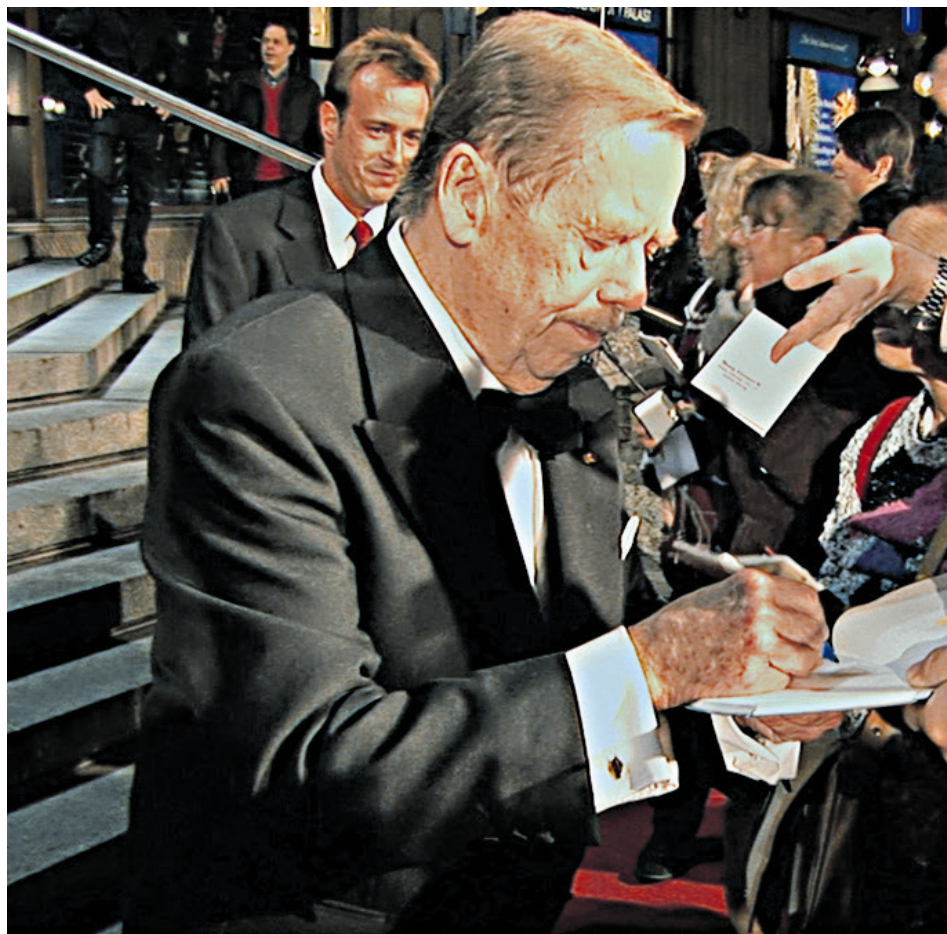
„Mam za mało czasu, żeby czerpać z mojego otoczenia, od moich przyjaciół – mówi Havel. – Jestem wciąż wśród ludzi, którzy oczekują, że dam im przepis na to, jak uratować cywilizację”. Więc jeździ tam, gdzie go zaproszą, na przykład do Parlamentu Europejskiego. Wygłasza w nim przemówienie o „stosunku do wieczności i nieskończoności”. Wystarczy jednak krótkie spojrzenie na publiczność, by było jasne, że mówi do głuchych.

Dlatego tak świetnie rozumieją się z Dalajlamą, który jest w podobnej sytuacji. W całym filmie jedyna scena intymnej bliskości i głębokiego porozumienia to ta, kiedy ci dwaj mężczyźni dotykają się czołami i na zawsze żegnają.

Václav Havel zawsze miał wielu przyjaciół, lecz niektórzy z nich umarli wcześniej niż on, np. pisarz Zdeněk Urbánek, a inni oddalili się od niego, kiedy został prezydentem, bo on nie miał dla nich czasu, a oni byli zbyt dumni, żeby mu się narzucać.

W całym filmie widzimy Havla w najróżniejszych scenach, ale jest chyba tylko jedna, w której widać, że jest autentycznie szczęśliwy. To koncert undergroundowych zespołów w Trutnovie. Tam jest naprawdę wśród swoich – wśród ludzi, z którymi łączy go wspólne doświadczenie z czasów opozycji.

Nawet gdyby ten film był tylko zwykłym dokumentem, który pokaże unikalne, niepublikowane dotąd materiały, to już byłby dobry. Choćby scena z amerykańskiego szpitala – w której lekarz pokazuje Havlowi zdjęcia mózgu (w czasie pobytu w USA najprawdopodobniej były czeski prezydent doznał niewielkiego udaru) i kręci z niedowierzaniem głową, że czegoś takiego jeszcze nigdy w życiu nie widział – jest uroczą samą w sobie. Havel zaś opowiada o swoim przedziwnym doświadczeniu, gdy „mówiłem i sam nie rozumiałem te-



Jest w filmie o Havlu scena, kiedy w swoim biurze pakuje rzeczy i wyjeżdża do letniego domu na Hrádecku. Dziś wszyscy wiemy, że jedzie tam umrzeć. Ale nigdy się nie dowiemy, czy on też to wie

go, co mówię, a ręka też była jakby obca, chociaż nią poruszałem; bardzo wszystko było wesołe”. Widz musi uwierzyć, że Havel nie boi się śmierci, kiedy mówi, że „wzmocniła się w nim potrzeba bycia gotowym do odejścia” i pozostawienia za sobą „czystego biurka”.

Pod koniec filmu mamy scenę z uroczystości 75. urodzin Havla. Jest pełno ludzi i wygląda to na świetną imprezę. Byłem tam i pamiętam, że naprawdę wszyscy się doskonale bawili. Ale Havel, kiedy już miał za sobą obowiązek przyjmowania życzeń, zmęczony siedział sam na krześle. Tej sceny nie ma w filmie – byłaby pewnie zbyt okrutna albo za bardzo pierwszoplanowa. [Zmarł dwa miesiące później, 18 grudnia 2011 r.].



• Kadry z najnowszego dokumentu o Václavie Havlu FOT. ENDORFILM

Bo to kwestia wstydu. O czym można rozmawiać z człowiekiem, który jest żywą legendą? Czym można go zainteresować? Dlatego ludzie z szacunkiem wolą go ominąć. A on sam – człowiek płochy i nieśmiały – też nie zrobi pierwszego kroku. Tak wygląda samotność obecna w całym filmie, ale pokazywana jest ona z niezwykłym wyuczuciem, które nadaje temu dziełu mistyczne wymiary.

Bo jest tam też scena, kiedy Havel w swoim biurze pakuje rzeczy i wyjeżdża do swego letniego domu na Hradečku. Dziś wszyscy wiemy, że gdzie tam umrzeć, ale nigdy się nie dowiemy, czy on też to wie. Może ma nadzieję, że jeszcze nie. „Wydaje się, że ostatnie źródło nadziei leży poza ziemskim horyzontem i że ma ono transcendentalne zakotwiczenie, niezależnie od tego, czy się z tym zgadzamy, czy nie”, mówi.

Każdy film można zepsuć, nawet taki, w którym główny bohater to Václav Havel. Ale reżyser Petr Jančárek poradził sobie brawurowo. Ten film trzeba zobaczyć. • przeł. Andrzej S. Jagodziński

A MOŻE TAK U NAS?

Film „Mówi Havel, słyszycie mnie?” prezentowany był latem na kilku festiwalach w Polsce, ale pewnie nie trafi u nas do dystrybucji. Może odrodzona telewizja publiczna mogłaby go kupić? Naprawdę warto. • **ASJ**



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Martin M. Šimečka

• ur. w 1957 r., słowacki pisarz i publicysta. Były naczelny słowackiego dziennika „SME” i czeskiego tygodnika „Respekt”. Pracuje w słowackim „Denniku N”. Tam też ostatnio ukazał się tekst.

Niechlubny koniec „Lidových Novin”

Tak umiera gazeta

Był sobie czeski dziennik, ambitny i opiniotwórczy. Ale redakcja się nie postarała i dostał się w ręce biznesowych doktrynerów. I już go nie ma.

Petr Janyška*

Niedawne ostatnie wydanie papierowych „Lidových Novin” jest przypomnieniem podstawowego, strategicznego błędu popełnionego po listopadzie 1989 r. przez czeskie elity dysydenckie, które nie zrozumiały, jak kluczowe znaczenie ma dla społeczeństwa niezależna liberalna gazeta.

Teraz [31 sierpnia tego roku] pismo wyszło po raz ostatni. Jest to koniec medium, które miało wielką szansę stać się wyjątkowym liderem polistopadowej debaty publicznej, ale w rezultacie się nim nie stało. „Lidové Noviny” już od dawna przestały być „gazetą dla każdej rodziny”.

Ich kres jest informacją o sytuacji polistopadowych elit, które wyrosły z byłej opozycji. „Lidovky” były dysydenckim projektem, który opozycja rozpoczęła z rozmachem i z wielką odwagą pod koniec lat 80. XX wieku. Tyle że po listopadzie wszyscy byli zaślepieni wizją ministerialnych czy też poselskich stanowisk i nie rozumieli, że posiadanie gazety jest narzędziem politycznym par excellence. Pozostawili ją swojemu losowi, nie walczyli o nią w wystarczającym stopniu. Lekkoomyślnie pozwolili na jej sprzedaż. No i teraz projekt zostaje zamknięty jednym podpisem miliardera.

Wymowne jest to, że dziś nikt nie mobilizuje sił w obronie gazety, jej likwidacja nie jest postrzegana jako tragedia. Jej pierwotny profil i tak już przed laty przestał istnieć – co najmniej od czasu, gdy kupił ją na swoje potrzeby Andrej Babiš.

Przedwojenny tytuł pisma wskrzesiła pod koniec lat 80. grupa sygnatariuszy Karty 77 na czele z Jiřim Rumlem (z inicjatywy m.in. Václava Havla). Zaczęli je wydawać w samizdacie, niemal na kolanie, w liczbie 350 egzemplarzy. Jednak w przeciwieństwie do istniejących wcześniej „Informacji o Karcie” („Infoch” wśród wtajemniczonych) czy też „Sportu” przyjęli inną strategię i wystąpili o oficjalną rejestrację.

Zamiast zgody na nią w październiku 1989 r. reżim wsadził za kratki Rumla i jego zastępcę. Ale przyszedł listopad i pismo zaczęło się ukazywać: najpierw dwa razy w tygodniu, a od kwietnia 1990 r. jako dziennik. Stało się punktem odniesienia dla wszystkich tych, którzy pokładali nadzieję w polistopadowej atmosferze.

Wraz z tygodnikiem „Respekt” wydawanym przez ludzi o co najmniej pokolenie młod-

szych i bardziej radykalnych na początku lat 90. było to jedyne medium nieobciążone przedlistopadowym dziennikarstwem. Miało czystą kartę jako nowe pismo o dysydenckich korzeniach, robione często przez odsuniętych od zawodu za czasów Husáka.

Jego geneza była podobna do genezy „Gazety Wyborczej”. Ludzie, którzy ją stworzyli, także działali w podziemiu, w kręgu „Solidarności”, wydawali antyreżimowe pisma, a po uzyskaniu wolności „Wyborcza” stała się pierwszym niezależnym demokratycznym medium i naturalnym punktem odniesienia w debatach na temat drogi, jaką ma społeczeństwo podążać.

Ale później drogi ludzi „Solidarności” się rozeszły. „Wyborcza” do dzisiaj zachowała nie-

żadna z głównych osób z grona dysydentów nie podjęła się kierowania nimi, wszyscy wybrali drogę polityki. Z dzisiejszej perspektywy największy błąd widzę w tym, że na początku lat 90. pismo uległo psychozie prywatyzacyjnej i w ramach szukania „strategicznego partnera” po prostu się sprzedawało.

W ten sposób poprzez własną decyzję zrezygnowało z niezależności. Początkowo, kiedy w Europie modny był Havel i czeska aksamitna rewolucja, kilka renomowanych zachodnich pism przejawiało zainteresowanie wejściem do struktury własnościowej, ale kierownictwo „Lidovky” odrzucało ich propozycje.

Członkowie redakcji rozdzielili między siebie pewną liczbę akcji, po czym szybko nieroztropnie sprzedali je szwajcarskiemu właścicielowi Ringierowi, który miał doświadczenie je-



• Okładka ostatniego drukowanego numeru „Lidových Novin”, 31 sierpnia 2024 r.

FOT. PAP/CTK PHOTO/VIT SIMANEK

zależność i stale jest wyraźnym projektem politycznym, cieszącym się w kraju dużym autorytetem. Stanowi filar proeuropejskiej, liberalnej myśli w Polsce i jest najpopularniejszym elektronicznym medium. Jej kierownictwo (co przede wszystkim jest zasługą Heleny Łuczywo) umiało zagwarantować pismu niezależność i wybudować zaplecze ekonomiczne. Z „Wyborczą” jest związana rozgłośnia radiowa, wydawnictwo książkowe, przynajmniej ona nagrody i organizuje w całym kraju różnego rodzaju imprezy.

Na czele „Wyborczej” stoi jedna z legend byłej opozycji Adam Michnik, którego nazwisko gwarantuje ciągłość polityczną i światopoglądową od czasu powstania pisma. Po upadku w Polsce komunizmu nie polakomili się na żadną funkcję w rządzie, rozumiał, że posiadanie gazety jest wielką polityczną bronią. Dzięki temu może przez ponad 35 lat wpływać na to, co się w Polsce dzieje, łącznie z krytyką rządów demokratycznych.

W czasach gdy władzę sprawował Jarosław Kaczyński, „Wyborcza” była bastionem opozycji przeciwko PiS-owi, który dążył do jej finansowego, i nie tylko, zniszczenia. Niewykluczone, że gdyby nie determinacja i konsekwencja, jakie pismo przejawiało, zeszłoroczne wybory, po których PiS stracił władzę, wypadłyby inaczej.

Nie da się tego wszystkiego powiedzieć o „Lidových Novinach”.

dynie w wydawaniu bulwarowego „Blicku”. A potem nastąpiły kolejne zmiany właścicieli, którzy nie mieli już nic wspólnego z żadnym projektem politycznym.

Ringier sprzedał pismo reńskiemu koncernowi, który z kolei w 2013 r. sprzedał je razem z „Mładą frontą DNES” miliardrowi Andrejowi Babišowi, człowiekowi o zupełnie innej orientacji niż dysydencki liberalny etos założycieli pisma. Musiało to być odebrane jako kpina. Rząd wówczas nie widział nic dziwnego w tym, że jeden z najbogatszych miliarderów w kraju z ambicjami politycznymi stanie się właścicielem dwóch najbardziej wpływowych tytułów.

Oczywiście zaczęły one publikować zgodnie z jego interesami, wielu dziennikarzy opuściło redakcje. A kiedy Babiš jako polityk został zmuszony zgodnie z zasadami prawa do zrezygnowania z posiadania gazety, sprzedał ją w zeszłym roku w jednym pakiecie z zakładami chemicznymi Synthesia innemu miliardrowi. Jako narzucony dodatek do fabryki.

Nowy właściciel nigdy nie wydawał żadnego pisma i szybko doszedł do wniosku, że nierenowne „Lidovky” najlepiej będzie zlikwidować. Nie dając im szans na odrodzenie.

Taki koniec spotkał projekt, który początkowo miał wielką szansę i wielkie ambicje, by stać się przekąźnikiem rzetelnej infor-

macji i liderem w debacie publicznej.

Sam pracowałem tam przez dwa lata; w tym czasie mówiliśmy, że jesteśmy czeskim „Le Monde”, i włączaliśmy się w różne europejskie dziennikarskie struktury.

Na początku pismo miało dostęp do wszystkich czołowych polityków, obdarzone było a priori zaufaniem większości czytelników i cieszyło się doskonałą opinią za granicą. Przy czym musiało stawiać czoła konkurencji istniejących tytułów, które „sprywatyzowały” kilku jego wcześniejszych pracowników razem z budynkami i wyposażeniem.

Było także inkubatorem wielu dziennikarzy, którzy są teraz znanymi postaciami w różnych mediach, tam też zaczynało stowarzyszenie Człowiek w Potrzebie. Trajektoria polityczna „Lidovky” miała różny przebieg, początkowo bliskie były Forum Obywatelskiemu, później ODS (Obywatelskiej Partii Demokratycznej) Václava Klausea.

Kupienie pisma przez Babiša spowodowało niebывалы exodus z redakcji i powstanie kilku nowych tytułów, łącznie z internetowymi. Ale żaden z nich nie ma siły ani wystarczającej liczby czytelników do tego, żeby stać się ważniejszym ośrodkiem kulturowania myśli liberalnej, scena medialna jest rozproszona.

Koniec „Lidových Novin” następuje na mocy decyzji firmy, która nigdy nie wydawała gazet. Staje się tak m.in. dlatego, że żadna z osób, które po listopadzie 1989 r. znalazły się na czele wydarzeń i miały w rękach władzę, w przeciwieństwie do Michnika, nie zdała sobie sprawy z tego, że utrzymanie wielkiego medium politycznego ma dla demokratycznej debaty większe znaczenie niż kilka lat pełnienia funkcji ministra czy posła. A na swój sposób jest to też wielka odpowiedzialność wobec społeczeństwa.

Zamiast stać się aktorem życia politycznego, „Lidovky” będą być może tematem prac dyplomatycznych, a w najlepszym wypadku można je będzie obejrzeć w witrynie w muzeum. •

przeł. Joanna Goszczyńska



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Petr Janyška

• ur. w 1953 r., czeski dziennikarz, publicysta, tłumacz. Były dyplomata, m.in. dyrektor Czeskiego Centrum w Warszawie.

Tytuł tekstu od „Wyborczej”.



▼ Vidkun Quisling (z lewej) z Heinrichem Himmlerem w Oslo w 1941 roku. Quisling uważał, że najlepsza dla Norwegów jest współpraca z Hitlerem. Po wojnie został za nią rozstrzelany

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Kolaboranci

WIĘKSI I MNIEJSI

Bycie folksdojczem w Warszawie oznaczało zdradę, ale na Pomorzu,
a zwłaszcza Górnym Śląsku, już nie.

Z PIOTREM M. MAJEWSKIM ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

1 RP



się dopiero wraz z narodzinami nowoczesnej świadomości narodowej.

Sienkiewicz pisze o zdrajcach narodu, ale nie pokazuje, że ci zdrajcy bardzo łatwo uzyskiwali wybaczenie.

– Rzeczpospolita szlachecka miała dość nowoczesne ustawodawstwo dotyczące zdrady stanu. Od XVI wieku oddzielała zdradę króla, czyli zbrodnię obrazy majestatu od zdrady państwa. W praktyce było to jednak bardzo rzadko i niekonsekwentnie egzekwowane. W efekcie tacy Radziwiłłowie mieli prawo do zmiany decyzji. To, kogo popierali, zależało od ich własnych interesów, a nie szerszej wspólnoty.

Doskonałym przykładem jest Jan III Sobieski – król powszechnie uważany za pomnikowego bohatera. Sobieski w 1655 roku złożył przysięgę wierności Karolowi Gustawowi. Kilkadziesiąt lat później został królem Polski. Dzisiaj byśmy powiedzieli, że był kolaborantem.

Jakby przełożyć to na nasze realia, to trochę tak, jakby ktoś, kto dzisiaj jest generałem u Putina, za ileś lat startował w wyborach na polskiego prezydenta...

– Ocena tego, co jest zdradą i kolaboracją, bywa zmienna także współcześnie. Przykładem może być Piłsudski, który był oskarżany o zdradę, bo walczył przeciwko Rosji podczas I wojny światowej. Takie przykłady sprawiają, że trudno mówić o jednoznaczności zdrady. O tym, co jest zdradą, decyduje ta z grup, która ostatecznie uzyskuje dominację. Tak utrwalają się poglądy, choćby ten, że Piłsudski jednak był bohaterem narodowym, a nie zdrajcą.

Chociaż w kwestii Piłsudskiego nie wszyscy jesteśmy zgodni. Zwolennicy narodowej demokracji, którzy wciąż są u nas obecni, mają go za agenta państw centralnych.

Polaków walczących przed 1918 rokiem o niepodległość dobrze jest oceniać jako tych, którzy walczy z kolonizatorami. Podobnie było w Indonezji – prezydent Sukarno współpracował z faszystowskimi Japończykami, choć nie ich nie łączyło.

– Japończycy najpierw wyciągnęli go z holenderskiego więzienia, a później przymusili do działań na niekorzyść własnej wspólnoty. Współpracował z nimi jednak, bo wierzył, że to ofiara dla większej sprawy – wyzwolenia. Taki mechanizm – współpracy z wrogiem, by osiągnąć jakieś większe cele dla swoich, występował w wielu miejscach. Wiele skolonizowanych narodów Dalekiego Wschodu kolaborowało z Japończykami. Polacy współpracowali z państwami centralnymi podczas I wojny światowej, a Ukraińcy i Białorusini ze Związkiem Radzieckim w II wojnie. Wiele z nich wcale nie było zwolennikami bolszewików, ale uważali, że jest to jedyny sposób na to, by uwolnić się spod polskiego panowania.

W książce „Brzydkie słowo na »k«” piszesz o słynnych kolaborantach – m.in. norweskim naziście Quislingu i Wandzie Wasilewskiej. Co łączy tych, którzy zostali zapamiętani jako symbole zdrady narodowej?

– Przekroczenie granicy, poza którą stało się oczywiste, że działają na niekorzyść swoich rodaków. Rodaków rozumianych w kategoriach etnicznych.



Piotr M. Majewski

Kolaboracja. Brzydkie słowo na „k”

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

▼ **Kolaborantka ideologiczna Wanda Wasilewska (z lewej). Od Polski ważniejszy był dla niej komunizm. Na zdjęciu w Sielcach nad Oką z gen. Zygmuntem Berlingiem, dowódcą dywizji Kościuszkowskiej. Premier rządu londyńskiego gen. Władysław Sikorski jego też ogłosił zdrajcą** FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Podczas II wojny światowej za kolaborację uważane jest przede wszystkim wystąpienie przeciwko interesom własnej grupy etniczno-językowej, natomiast niekoniecznie wspólnoty państwowej.

Doskonale to widać na przykładzie Żydów. Właściwie we wszystkich okupowanych przez nazistów krajach miejscowa ludność brała udział w Holocauście. Od Polski przez Rumunię po Wyspy Normandzkie, wszędzie uznawano, że Żydzi nie należą do wspólnoty narodowej, więc jak się „pomoże” Niemcom ich usunąć, to nie podchodzi to pod zdradę narodową czy kolaborację.

Quisling, Wasilewska czy Emanuel Moravec, minister szkolnictwa i oświaty Protektoratu Czechi i Moraw, protegowany Reinharda Heydricha, to przykłady najbardziej zagorzałych kolaborantów ideologicznych. We Francji takim kolaborantem był Jacques Doriot, w latach 30. XX wieku burmistrz Saint-Denis, a później lider Francuskiej Partii Ludowej, który jeszcze pod koniec wojny pomagał Niemcom w działaniach przeciwko ruchowi oporu. Ci ludzie jednoznacznie utożsamili się z interesami okupantów i uznali, że powinni się do nich przyłączyć na dobre i na złe.

Wielu bardziej umiarkowanych kolaborantów potrafiło w pewnym momencie zatrzymać się we współpracy. Inni zaś – jak to się stało w Polsce po 1944 roku – zostali rozgrzeszeni, bo przejęli władzę i przekonali do siebie pewną część społeczeństwa. Ale jednak w większości kolaboranci kończyli źle.

Jak wyglądał ten mechanizm?

– Nazywam go karuzelą czy też centryfugą kolaboracji. Kolaborant był spychany na pozycję, z której nie miał wyjścia. Takim przykładem jest Vidkun Quisling. Nie był to człowiek najmądrzejszy. Żył w przekonaniu, że najlepiej wie, co będzie dobre dla Norwegów. Jednak im dłużej trwała wojna, tym bardziej Norwegowie uważali go za ekstremistę, który nie reprezentuje nikogo poza małą grupką fanatyków.

W Polsce mamy ciekawy przypadek Władysława Studnickiego, w latach 30. piszącego traktaty i odezwy, w których opowiadał się za sojuszem Polski z nazistowskimi Niemcami. W 1936 r. został zaproszony na zjazd NSDAP w Norymberdze przez Rudolfa Hessa. Spotykał się z Hitlerem i von Ribbentropem. W listopadzie 1939 r. nawoływał do odtworzenia Wojska Polskiego, które wraz z Wehrmachtem miało walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Mimo jego wielu proniemieckich gestów podziemie nie wykonało na nim wyroku, choć skazywano na śmierć za mniejsze rzeczy.

Studnicki nigdy się nie krył z tym, co robi. Jednocześnie wegetował na marginesie sceny politycznej. Na pewno nie uważał się za zdrajcę.

Tacy „szaleńcy” – jak pokazuje historia rządu Vichy – są jednak bardzo niebezpieczni, bo często po nich przychodzą jeszcze radykalniejsi współpracownicy. We Francji po marszałku Philippie Pétainie na czele rządu stanął Pierre Laval, zwolennik jeszcze ściślejszej współpracy z Niemcami. To pokazuje, że kolaboracja – jak rewolucja – żąda własne dzieci.



WOJCIECH SZOT: Historię kolaboracji zaczynasz od starożytnych Greków, którzy byli w tej kwestii praktyczni.

PIOTR M. MAJEWSKI: Zawsze się trochę kolaborowało. Mówiąc precyzyjniej – zawsze dochodziło do współpracy pomiędzy okupowanymi a okupantami. I pewnie zawsze będzie do niej dochodzić, dopóki jedno państwo będzie podbijać terytorium innego.

Grecy byli wyjątkowo praktyczni i trochę inaczej niż my dzisiaj podchodzili do kwestii lojalności. Szczególnie dotyczyło to elit, którym pozwalano na dużo więcej. Temistokles zasłynął jako obrońca Aten, zwycięzca spod Salaminy. Jednak gdy podpadł swoim rodakom, znalazł azyl u władcy Persów, czyli jeszcze niedawno śmiertelnego wroga. Wydaje się, że nikt nie widział w tym niczego szczególnie zdrożnego. Temistokles nie przeszedł do historii jako zdrajca czy kolaborant.

Inny przykład to Alkibiades, wódz ateński z czasów wojny peloponeskiej, który przeszedł na stronę Spartan i doradzał im, jak pokonać własną ojczyznę. Nie przeszkodziło mu to za jakiś czas wrócić do swoich rodaków.

Aż do XIX wieku naszej ery sprawy miały się raczej podobnie. Bardzo dobrze to widać w polskiej historii. Stosunek do współpracy z wrogiem zmienia





Przypadek Wandy Wasilewskiej też pasuje do tej tezy?

– Polacy jej nienawidzili. W czerwcu 1943 r. stanęła na czele założonego w Moskwie Związku Patriotów Polskich, współtworzyła Wojsko Polskie, była bliską współpracownicą Stalina. Za Wasilewską ciągnęła się też legenda kochanki Stalina, a to była jakby zdrada podwójna – narodowa i seksualna, emocjonalna. W 1945 r., gdy komuniści przygotowywali się do przejęcia w Polsce władzy, chyba z wdzięcznością przyjęli to, że Wasilewska – razem z mężem Aleksandrem Kornijczukiem – zdecydowała się osiedlić w Kijowie i wycofać z polityki. Po wojnie była traktowana jak żywy pomnik, ale nie miała już wpływu na rządzenie krajem.

Sytuacja kobiet kolaborantek była jednak o wiele gorsza niż mężczyzn.

– Po wojnie nazywano to czasem szyderczo „kolaboracją horyzontalną”. Oczywiście chodzi o kolaborację seksualną. Siostra jednej z kobiet, którą o nią oskarżono, w suplice skierowanej do prezydenta Czechosłowacji zwracała uwagę na to, że dotyczyło to jedynie kobiet. Jeśli chodzi o mężczyzn, to – pisała – „tego się nie bada, nie mówiąc nawet o karaniu. Wręcz przeciwnie, po powrocie do kraju robotnicy z Rzeszy są faworyzowani i prawdopodobnie nikomu nie przyjdzie do głowy, aby mierzyć ich zachowanie tą samą miarą. Położenie kobiet zawsze jest gorsze i bardziej niesprawiedliwe”.

Kobietom oskarżonym o utrzymywanie stosunków seksualnych, ale też wchodzenie w romantyczne relacje z Niemcami, golono włosy, oblewano farbą, malowano na plecach swastykę. Czasem też gwałcono i zabijano. Ciało kobiet uważano za część strategicznych zasobów narodowych. Tu wychodzi pewien paradoks, że wrogowie nazizmu sami uważali, że dzieci urodzone z takich relacji mogły „zanieczyszczać” polską, czeską czy francuską krew. Ta niezwykle brutalna reakcja na „kolaborację horyzontalną” bywa interpretowana dzisiaj przez badaczki jako chęć przywrócenia po wojnie poprzedniego porządku genderowego. Pokazania kobietom, które podczas wojny uzyskały sprawczość, gdzie jest ich miejsce. Trzeba pamiętać, że mówimy o świecie, w którym kobiety czasem – jak we Francji – nie miały praw wyborczych.

Współcześnie często mamy do czynienia z dyskusją o kolaboracji. Od słynnego „dziadka z Wehrmachtu”, przez udział Polaków w Holocauście, po sytuację Ślązaków. Dlatego zaskakuje teza twojej książki, że jeszcze nie tak dawno w ogóle nie myślano w tych kategoriach.

– Pewnie jak jakiś rodak Asteriksa zbyt ochoczo współpracował z Juliuszem Cezarem, to był uważany za czarny charakter, ale jednocześnie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że jeżeli to panowanie potrwa dłużej, to nie ma innej opcji. Przykład Galii pokazuje, że trochę wbrew temu, co napisali René Goscinný i Albert Uderzo, że tamtejsze wioski nie stawiały jednak tak długo oporu. Doszło do powstania Wercyngetoryksa, ale później Galia się zromanizowała. W większości przypadków podbici nawiązywali współpracę z okupantami.

Ciekawym przykładem są Indie, którymi zarządzała niewielka grupka Brytyjczyków. Mamy do czynienia z olbrzymim obszarem, zamieszkanym już w XIX wieku przez kilkaset milionów ludzi. I około 10 tysięcy Brytyjczyków w administracji. Nie dałoby się tego osiągnąć bez wciągnięcia do współpracy indyjskich elit. Brytyjczycy zachowali miejscowy system kastowy, dzięki czemu wystarczyło im dogadywać się z nieliczną grupą uprzywilejowaną. To się zaczęło sypać, kiedy pojawiła się wspólna świadomość narodowa. Gandhi działał w imieniu wszystkich mieszkańców Indii, a nie tylko jednej grupy. Jednak nastąpiło to późno, a asymilacja Indii do kultury brytyjskiej była niezwykle silna.



• Prezydent Emil Hácha (w środku) wita w 1939 roku w Pradze protektora Czech i Moraw z ramienia III Rzeszy Konstantina von Neuratha FOT. PAP/CTK

Wciągnięcie elit do współpracy to podstawa udanej okupacji?

– Oczywiście. Sami tego doświadczyliśmy, zwłaszcza w zaborze austriackim. Agenor Goluchowski był ministrem spraw zagranicznych, a Józef Potocki i Kazimierz Badeni byli premierami austriackiej części imperium. To doskonały przykład nie tylko na to, że elitom wolno więcej, ale też, że społeczeństwo, a zwłaszcza elity, nie widziały w tych formach współpracy z nieprzyjacielem zdrady narodowej.



Kolaborant nigdy nie może być pewien, czy jego kontrahent, czyli okupant, nie zmieni zasad gry w jej trakcie. Zawsze może zażądać więcej, pozbyć się współpracownika, wziąć sobie innych kolaborantów

Zdrada, a w ślad za nią kolaboracja są zjawiskami intersubiektywnymi, czyli mają różne definicje, zależnie od czasu i miejsca. Bycie folksdojczem w Warszawie było jednoznaczne z byciem zdrajcą, kolaborantem. Ale na Pomorzu, a zwłaszcza Górnym Śląsku, już nie.

Może to jest właśnie klucz do zrozumienia, dlaczego tak trudno nam ustalić jedną wersję naszej historii?

– Oczywiście. Polska pamięć historyczna jest zdominowana przez Warszawę. Przy najmniej jeśli chodzi o II wojnę światową. I tak w całym kraju obchodzi się rocznicę powstania warszawskiego, ale niewiele osób słyszało o zbrodni w Piaśnicy, czyli

jednej z największych, jak nie największej, zbrodni niemieckich na naszych ziemiach do czerwca 1941 roku. Uważa się, że w lasach piaśnickich zamordowano do 10 tys. ludzi, przeważnie lokalną polską inteligencję. Podobnie jest z wielkimi bitwami czasów I wojny światowej. Bitwa pod Przasnyszem? Ile osób o tym słyszało?

To już temat na inną rozmowę. Ale... jesteś jednym z twórców wystawy w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, od lat piszesz książki o historii skierowane nie tylko dla historyków. Czy z twojego doświadczenia wynika, że w ogóle można stworzyć narrację o historii, tak byśmy wszyscy byli zadowoleni?

– Tak, ale pod jednym warunkiem – o ile zgodzimy się, że pamięć może być polifoniczna, a różne grupy – regiony, społeczności – mogą mieć swoje własne odmiany tej wspólnej pamięci. Oczywiście muszą być jakieś punkty wspólne. Ale nawet one będą podlegać nowym interpretacjom. To, co czasem nazywamy „zwrotem ku historii ludowej”, najlepiej o tym świadczy. Zawsze będą się pojawiali nowi historycy, którzy będą mówili, że na coś nie zwracano do tej pory uwagi. I grupy, które będą o tę uwagę zabiegać. Jeżeli zgodzimy się na polifoniczność historii i będziemy otwarci na dyskusję o różnych perspektywach czy też wrażliwościach, możemy zamiast się tylko spierać, pokazywać, dlaczego mamy inne punkty widzenia.

Jednocześnie w momencie tworzenia instytucji czy projektowania wystawy muzealnej ta dyskusja się zamyka.

– Moment powstania instytucji utrwała to, co w tym momencie jest w pamięci społecznej. Instytucje kodyfikują i kanonizują pamięć historyczną. Gdy zaczynaliśmy naszą przygodę z Muzeum II Wojny Światowej, przeczytałem tekst Piotra Piotrowskiego, który pisał o muzeach forach i muzeach świątyniach. W jednym pokazuje się różne punkty widzenia i daje ludziom do myślenia,

a w drugich prezentuje bohaterów i kanoniczny zbiór faktów. Dużo bliższa jest mi ta pierwsza wizja, ale żeby ją upowszechnić, trzeba by dokonać zmian w tym, jak uczymy historii. Wiedza faktograficzna jest oczywiście potrzebna, bo to ona zakotwicza nas w kulturze narodowej, ale nie zastąpi umiejętności analitycznych.

O tym, że z czasem wyostrza się nasza ocena, doskonale widać na przykładzie Emila Háchy, prezydenta Czech, którego „notowania” zmieniały się już w czasie wojny. Początkowo był popierany przez zdecydowaną większość rodaków. Uważano go za człowieka, który wziął na siebie najbardziej niewdzięczne zadanie, jakie mogło mu przypaść, czyli dogadanie się z Hitlerem i w ten sposób uratował Czechy przed masakrą. Im dłużej jednak trwała wojna, tym coraz bardziej stawało się to nieoczywiste. Hácha był zmuszony iść na coraz większe ustępstwa wobec Niemców. W końcu stracił – tak myślę – moralny kompas, co było związane również z pogarszającym się stanem jego zdrowia.

Kiedy przyszło wyzwolenie, Hácha powszechnie uważany był za zdrajcę. Trafił do więzienia, w którym zmarł, jeszcze zanim rozpoczął się proces. Więzienie uratowało go przed upokorzeniem podczas procesu. Sam uważał, że poświęcił się dla dobra ogółu i finalnie czuł się ofiarą. Nie uważał się za współsprawcę. Do tej pory trwa w Czechach spór o Háchę. Była to po prostu postać tragiczna.

Pisałeś tę książkę jako ostrzeżenie dla nas? W języku sporu politycznego niemal cały czas pojawiają się zarzuty o zdradę i kolaborację.

– Antropolodzy kultury, którzy zajmują się sporem politycznym w Polsce uważają, że w wyniku balastu historycznego – rozbiórów i dwóch wojen – jesteśmy szczególnie wrażliwi na kwestie tego, by jasno rozróżnić, kto z nami, a kto przeciw nam. W związku z tym jesteśmy szczególnie podatni na hasła o targowicy, zdradzie narodowej, sprzedawczykach. Z tego korzystają różne siły polityczne, ale przede wszystkim populisci. W efekcie ta dyskusja donikąd nas nie prowadzi.

Chciałem w tej książce pokazać, że kolaboracja to nie jest sytuacja, z której obie strony odnoszą korzyści. Przykładowo, kolaboranci w wielu okupowanych krajach bronili się, że pomagali deportować Żydów do obozów zagłady, ale ocalili za to członków własnej wspólnoty narodowej. Inaczej mówiąc, mieli dobre intencje. Staram się pokazać, że końcowy efekt ich działań wcale nie musiał taki być. Hácha, kiedy dogadywał się z Hitlerem, sądził, że okupacja będzie wyglądała zupełnie inaczej, niż wyglądała w rzeczywistości. Mogła też – gdyby Niemcy zwyciężyły na froncie wschodnim – zakończyć się dla Czechów jeszcze gorzej.

Kolaborant nigdy nie może być pewien, czy jego kontrahent, czyli okupant, nie zmieni zasad gry w jej trakcie. Zawsze może zażądać więcej, pozbyć się współpracownika, wziąć sobie innych kolaborantów. W związku z tym kolaboracja nie jest najbardziej racjonalnym wyjściem z trudnej sytuacji, chociaż czasem jest wybierana jako tak zwane mniejsze zło. Mało jest jednak przykładów na to, by ktoś z tego wyszedł cało. ●

Dr hab. Piotr M. Majewski

• historyk, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizuje się w dziejach międzywojnia, szczególnie historii Czechosłowacji. W latach 2009–17 był zastępcą dyrektora Muzeum II Wojny Światowej. Napisał też m.in.: „Niech sobie myślą, że jesteśmy kolaborantami. Protektorat Czech i Moraw 1939–1945” (2016), a jego książka „Kiedy wybuchnie wojna? 1938. Studium kryzysu” (Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2019) była nominowana do nagrody Nike.

NIESAMOWICI KULERSCY

Dziadek przed wojną zakładał wolną prasę, ojciec w Londynie był sekretarzem Mikołajczyka, a syn działaczem „Solidarności”.

Marcin Zaremba

J

Jest rok 1940. Angielski urzędnik pyta polskiego uchodźcę:

- Narodowość?
- Polska.
- A w którym roku pan się urodził?
- W 1911.
- Przecież wtedy Polski nie było.
- Co z tego?! Ale ja byłem Polakiem.
- A gdzie się pan urodził?
- W Szwajcarii.
- No dobrze, a ojciec?
- Ojciec z Prus Zachodnich.
- A matka?
- Matka z byłego Księstwa Warszawskiego, z zaboru rosyjskiego.

Powyższa wymiana zdań daje pojęcie o tyglu kulturowym, jakim była nasza część Europy w początkach XX wieku. Jest też częścią większej rozmowy, którą przeprowadził w latach 1987–88 z Witoldem Kulerskim jego syn Wiktor, działacz „Solidarności”. Zainspirował go Adam Michnik, przekonując: „Musisz zdążyć to zrobić na tyle, na ile zdołasz. Nikt inny za ciebie tego nie zrobi”. Witold Kulerski – bo to on wyjaśniał urzędnikowi zawilości swojego pochodzenia – miał o czym opowiadać, jego życie to kawał polskiej historii: działalność polityczna w II RP, emigracja, więzienie. Nie mówił jednak o tym chętnie.

Tłumaczył się Hannie Krall w reportażu „Ojcowie i synowie” opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym”: „Pokonany, lecz żyjący polityk jest postacią żalosną, nie chciałem w tej roli znaleźć się wobec własnych synów”.

Wiktorowi zaczął naprawdę o sobie opowiadać dopiero wtedy, kiedy ten – jako jeden z przywódców solidarnościowych Regionu Mazowsze – wyszedł z podziemia.

Czytamy więc o początkach wysokonakładowej polskiej prasy, walce z reżimem sanacyjnym, bliskiej znajomości ze Stanisławem Mikołajczykiem, którego był



• **Wiktor Kulerski (ur. 1935), działacz „Solidarności”, 2 grudnia 1981 roku podczas strajku studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie. Po 1989 roku poseł na Sejm X kadencji (kontraktowy)** FOT. PAP/CAF/TEODOR WALCZAK

sekretarzem w Londynie i po powrocie do kraju w 1945 roku. Rozmowa ojca z synem uzmysławia długie trwanie stalinowskiej traumy.

W OPOZYCJI DO SANACJI

Kulerscy pochodzili z Pomorza. Wiktor, dziadek, stworzył tam w chwili wybuchu I wojny światowej największą polską gazetę. Założył i wydawał „Gazetę Grudziądzką”, której pierwszy numer ukazał się w nakładzie 500 egzemplarzy w 1894 roku. Winieta pisma głosiła: „W imię Boże: za Wiarę i Ojczyznę!”, a poniżej: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”.

Choć nie była to gazeta wyznaniowa, ten zabieg marketingowy zadziałał, wkrótce bowiem stała się ona najpopularniejszym polskim tytułem na Pomorzu, docierała do Wielkopolski, czytali ją polscy robotnicy w Nadrenii, Westfalii, Zagłębiu Ruhry.

Od początku lansowała ekonomiczny nacjonalizm, hasło: „Swój do swego”. Namawiała Polaków do kupowania polskich produktów, leczenia się u polskich lekarzy, wykupywania ziemi z rąk niemieckich właścicieli. Mimo winiety nie była pismem kościółkowym, lansowała oświatę i podnoszenie kompetencji zawodowych, prawa ludu, idee niepodległości i demokracji.

Sukces wydawniczy (nakład wynosił przed 1914 r. 128 tys. 250 egzemplarzy) zaowocował rozbudową przedsiębiorstwa – Zakładów Graficznych Gazety Grudziądzkiej.

Początkowo tytuł ciążył ku endecji, by po konflikcie z nią stać się pismem sympatyzującym z PSL „Piast” – największą polską partią chłopską. Endecy zarzucali wydawcy proniemieckie nastawienie i – wręcz banal – zdradę narodowych interesów.

Po dojściu do władzy sanacji do starych zarzutów doszły nowe. PSL „Piast” stał się partią opozycyjną, której lider Wincenty Witos, były premier, został oskarżony w procesie brzeskim. Uderzenie trafiło także w Kulerskiego i wydawaną przez niego gazetę, tym bardziej że od 1928 r. zasiadał w senacie RP. O ile w czasach niemieckich pismo miało 78 procesów sądowych i Wiktor Kulerski w sumie osiem miesięcy spędził za kratkami, o tyle w II RP do 1935 r. „Gazeta Grudziądzka” miała już 150 konfiskat.

W 1935 r. po śmierci ojca pismo przejął Witold Kulerski. Wspominał: „Agenci policji czekali na poczcie, żeby przyszedł cały nakład. Jak przyszedł, dawali znać do starostwa, starostwo stawiało wniosek o konfiskatę do sądu grodzkiego”. Drukowano więc drugi i trzeci nakład. A koszty rosły. Sanacja nie cackała się z opozycją i jej mediami. „Gazeta Grudziądzka” upadła, choć zaczęła wychodzić w Poznaniu pod

częściowo zmienionym tytułem. Wspomnienia Kulerskiego pozwalają zrozumieć źródła autentycznej nienawiści wielu środowisk opozycyjnych do sanacji. A także przyczyny internowania w czasie II wojny światowej jej oficerów i polityków na szkockiej wyspie Bute (Wyspa Węży).

FORTEŁ REDAKTORA

Biurokracja jak to biurokracja nieradko się ośmiesza. W 1937 r. ruch chłopski przygotowywał się do ogólnopolskiego strajku. W PSL-owskiej prasie nie było szans, by cenzura zostawiła choćby drobną wzmiankę o dacie akcji strajkowej. Kulerski wpadł na pomysł. Opublikował w „Gazecie” artykuł pt. „10-dniowy strajk chłopski rozpoczęty”. Zaczął go słowami: „Poczynając od 15 sierpnia – obowiązuje w Polsce...”, a skończył przewidywaną datą zakończenia protestu. Zgodnie z przewidywaniami sąd grodzki wstrzymał nakład, wydając wyrok, który zawierał tytuł artykułu, jego pierwsze i ostatnie zdania. W drugim wydaniu gazety opublikowano orzeczenie sądu i w ten sposób przemycono kluczowe informacje.





Było jednak nie tylko śmiesznie. Kulerski opisuje palowanie kobiet przez tzw. golędzinów, czyli powołaną przez premiera Felicjana Sławoj-Składkowskiego specjalną jednostkę policji do walki z tłumem.

„Trafiłem na moment rozbicia przez policję pochodu demonstracyjnego żon strajkujących, które szły pod magistrat grudziądzki. Widziałem, jak skopano ciężarną kobietę. Potem rzucono ją na ciężarówkę, poroniła, zawieźli ją do szpitala. Druga z dzieckiem na ręku – dziecku wymierzono cios kolbą w twarz. Sfotografowałem zmasakrowaną twarz dziecka. Zrobiłem jeszcze szereg zdjęć i zostałem aresztowany”.

Zgodnie z ówczesnym prawem za treści artykułów odpowiadał wydawca. Kulerski 1 września 1939 r. miał się stawić w grudziądzkim więzieniu w celu odbycia wyroku zasądzonego za opublikowane artykuły (których nie napisał) i wystąpienia wiecowe.

W LONDYNIE Z MIKOŁAJCZYKIEM

Kulerski był aktywny politycznie. Znal m.in. Wincentego Witosa i Stanisława Mikołajczyka. Ten ostatni o mały włos nie został naczelnym „Gazety Grudziądzkiej”. Gdy Niemcy wkroczyli do Poznania, Kulerski ukrywał się, posługując się legitymacją prasową Polskiego Związku Dziennikarzy i Publicystów Sportowych. W mieszkaniu żony Mikołajczyka natknął się na funkcjonariuszy gestapo. Praktycznie był dwujęzyczny, więc udało mu się jakoś wykaraśkać. Postanowił jednak, że rodzinę przewiezie z Poznania do Sandomierza. Sam wraz z innymi ludowcami przez Słowację, Węgry, Jugosławię i Włochy dotarł do Francji. Tam z rekomendacji Mikołajczyka został sekretarzem biura Rady Narodowej RP, czyli politycznego ciała przedstawicielskiego na emigracji. W polskim Londynie poznał wielu ludzi, najbliższy był Mikołajczyka, był de facto jego osobistym sekretarzem.

W Szkocji uczył cichociemnych niemieckiego. Brał udział w ekspedycji do kraju Jana Karskiego. Miał mu zorganizować truciznę. Spóźnił się jednak na spotkanie. Karski wpadł w ręce gestapo, torturowany podciął sobie żyły. Został odbity ze szpitala w Nowym Sączu. Spotkali się później w Londynie i Karski powiedział: „Pańskiemu spóźnieniu zawdzięczam życie, bo gdybym miał truciznę, bez wątpienia bym ją zażył i dzisiaj już by mnie nie było”.

Kulerski szybko opanował język angielski, rozumiał więc nastroje i sentymenty Brytyjczyków np. wobec Związku Radzieckiego. „Nastroje panujące wówczas na Zachodzie bardzo mi przypominały to wrażenie, które odniosłem wiele, wiele lat wcześniej, kiedy w bibliotece ojca przeglądałem stare czasopisma zachodnioeuropejskie, głównie francuskie i angielskie, z okresu I wojny światowej, różnego rodzaju rysunki, obrazy, karykatury [...], w których niezmiennie figurowała carska Rosja jako potężny walec drogowy z carem Mikołajem za kierownicą, miażdżący Niemcy wilhelmińskie. Wówczas to już przecież Zachód liczył na to, że wojnę wygra dla nich Rosja, stąd także to szalone rozgoryczenie przeciwko Rosji sowieckiej, że podpisała odrębny pokój z Niemcami, sprzeniewierzając się tym samym niejako ówczesnemu sojuszowi z Zachodem. Po ataku Hitlera na Rosję sowiecką nastroje na Zachodzie były bodaj takie same i w podobny sposób się wyrażały. Niejednokrotnie spotykałem się nawet z tym samym określeniem: walec drogowy miażdżący potęgę hitlerowską”.

Tego typu sentymenty napędzały aliancką pomoc dla ZSRR, siłą rzeczy spychały sprawy polskie na dalszy plan. Dodatkowo Polsce pamiętano odebranie Zaolzia Czechosłowacji do spółki z Hitlerem, a wcześniej szybkie uznanie zaboru Abi-



Teresa Astramowicz-Leyk

Rozmowy z ojcem. Z biografii politycznej rodu Kulerskich

Wprowadzenie
oraz opracowanie
Teresa Astramowicz-Leyk
Wydawnictwo Nieoczywiste 2024





▲ **Z lewej, w kapeluszu, z brodą, Wiktor Kulerski (1865-1935), dziennikarz i wydawca, założyciel „Gazety Grudziądzkiej”, w 1925 roku podczas kongresu PSL „Piast”. W środku Wincenty Witos**
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

◀ **Witold Kulerski (1911-97), doradca premiera rządu emigracyjnego Stanisława Mikołajczyka (z prawej za stołem), przemawia podczas święta ludowego**
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

synii przez faszystowskie Włochy, Mandżurii przez Japonię, poparcie dla generała Franco. Kulerski spotkał się z bardzo jego zdaniem rozpowszechnionym na Wyspach przekonaniem o Polsce jako kraju landlordów, czyli wielkich ziemskich obszarów z jednej strony, i rozpowszechnionej chłopskiej nędzy z drugiej.

ANTYSEMICY WŚRÓD SCEPTYKÓW

Kulerski zastanawia się również, dlaczego Holocaust (pojęcie wówczas nieznanne)

odbił się tak nikłym echem w krajach anglosaskich. I podrzuca parę tropów – angielski sceptycyzm i niewypowiedziana proniemieckość. Przypomina słynnego fake newsa z początków I wojny światowej o rzekomo okrutnym i barbarzyńskim zachowaniu Niemców w Belgii. Później jednak oskarżenia te okazały się co najmniej przesadzone, co kazalo powątpiewać w prawdziwość informacji napływających z okupowanej Europy podczas następnej wojny.

Przytacza reakcję opinii publicznej po jakimś artykule na temat okrutnego traktowania jeńców przez Japończyków. Do redakcji przyszło wiele listów oburzonych czytelników, by nie szarpać nerwów i tak już zestresowanych rodzin. Niemieckie fabryki śmierci, masowe egzekucje cywilów wydawały się poza horyzontem wyobrażeń ówczesnych Brytyjczyków. Pierwszą ich reakcją było niedowierzanie.

O ile Brytyjczykami kierował sceptycyzm, o tyle u Polaków na Wyspach pokutował antysemityzm. Kulerski opisuje sprawę dezercji obywateli polskich żydowskiego pochodzenia z Polskich Sił Zbrojnych. Rodzimi antysemici wysunęli oskarżenia: zbliża się akcja zbrojna, Żydzi nie chcą

Wspomnienia Kulerskiego pozwalają zrozumieć źródła autentycznej nienawiści wielu środowisk opozycyjnych do sanacji. I przyczyny internowania w czasie wojny jej oficerów i polityków na szkockiej Wyspie Węży

walczyć. Ponieważ sprawa znalazła odbicie w lewicowej prasie brytyjskiej, innymi słowy: zaczęła cuchnąć, powołano komisję do jej wyjaśnienia. Kulerski wszedł w jej skład. Nie ukrywa, że początkowo kierował nimi nieprzychylny stereotyp. Przeżył jednak wstrząs, gdy spotkał się z tymi dezterami, najpierw z marynarzami. „Przedstawiali typ fizyczny tak kompletnie odmienny od tego, który zwykło się było rysować w różnych karykaturach [...]. Chłopy rosłe, dobrze zbudowane, zadziorne, prezentujące się pod względem fizycznym doskonale i wskazujące całym swoim zachowaniem postawę rzeczywiście żołnierską i bojową”. Chcieli pływać, chcieli walczyć, usłyszeli jednak, że „Żydzi nie będą zaśmiecać nam naszej marynarki”.

Przesłuchiwani polscy oficerowie potwierdzili nieprzychylną atmosferę wobec żydowskich współtowarzyszy broni. Ci trafili później do jednostek brytyjskich.

Konfliktów na „londyńskim bruku” było więcej. Kulerski przypomina najważniejsze osie sporów, przede wszystkim wokół oceny układu Sikorski-Majski, a później między „niezlomnymi”, wykluczającymi jakkolwiek porozumienie ze Stalinem, i realistami, którzy uważali, że nawet w cieniu Teheranu i Jaltę trzeba rozmawiać i starać się coś ugrać. Do tego drugiego obozu należał Stanisław Mikołajczyk.

„Myśmy mieszkali razem w Londynie, praktycznie biorąc, przez cały czas, od początku do końca”. Dostajemy więc relację z bardzo bliska, choć o tyle jednostronna, że Kulerski był pod wielkim wpływem lidera ludowców. Znajdujemy potwierdzenia wniosków biografów Mikołajczyka, że był on niesłyszanie pracowity (spał po cztery godziny na dobę), racjonalny i uważny. Obce mu były narodowa tromtadacja, fantazmaty o wspólnej z Anglosasami wojnie z Rosją. Kulerski zaprzecza rozpowszechnionym opiniom, jakoby Mikołajczyk uwierzył „stanowczo i zdecydowanie” w możliwość trwałego porozumienia ze Stalinem.

„Twierdzę kategorycznie [...], tej bezwzględnej wiary u Mikołajczyka nie było, ale będąc odpowiedzialnym za politykę Polski, nie mógł przecież na prawo i lewo rozpowiadać, że nie bardzo wierzy w powodzenie jakichkolwiek prób w tym kierunku prowadzonych”.

Za tę chęć rozmowy z Sowietami na Mikołajczyka spadły najgorsze kalumnie. Stanisław Cat-Mackiewicz nazwał go „Mikołajem Mikołajewiczem”. W galerii polskich polityków najbardziej obrzuconych błotem

Mikołajczyk z pewnością zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Jako komentarz warto wspomnieć, że Cat-Mackiewicz w połowie lat 50. podjął współpracę z peerelowskim wywiadem i w 1956 r. wrócił do kraju.

POKOLENIA

Mikołajczyk po rozmowach w czerwcu 1945 r. w Moskwie wszedł do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wrócił do Polski, został wicepremierem i ministrem rolnictwa. Kulerski także wrócił z Londynu. Niestety, jego relacja z lat 1945-47 jest więcej niż skromna. Przytacza jedną scenkę z Belwederu z udziałem Bolesława Bieruta, kiedy latem 1945 roku polski rząd prężył muskuły i chciał wymusić na Czechosłowacji kompromis i przyznanie Polsce Zaolzia.

„Bierut wówczas podniósł się znad mapy, dumnie wyprostował i powiedział: »No, to poleje się krew«. Na to Mikołajczyk parsknął śmiechem, poklepał go po ramieniu i powiedział: »Nie poleje, nie poleje się, jestem o to spokojny”.

W październiku 1947 r. zagrożony aresztowaniem Mikołajczyk z pomocą Amerykanów uciekł z kraju. Kulerski jako najbliższy współpracownik byłego wicepremiera został zatrzymany. W 1951 r. skazano go na 12 lat pozbawienia wolności.

Biografia ojca, jego aresztowanie i więzienie ukształtowały syna, Wiktora. W rozmowie z ojcem mówi, że pamięta rewizję, strach. Że to wszystko pozostawiło w nim głęboki ślad. Mimo że ojciec nie mu nie opowiadał o swoich przeżyciach – trauma więzienia zablokowała dialog. Dopiero po 40 latach ojciec się otworzył. Można powiedzieć „klasyka gatunku”, bo podobną blokującą traumę stalinowską odnajdujemy w wielu relacjach i wspomnieniach.

Ludzie z rodzin po przejściach unikali zaangażowania w PRL. Wiktor wspominał: „To wszystko składało się na czarną sytuację, a przecież byłem młodym człowiekiem. [...] Nie mogłem pozwolić na zwerbowanie mnie w szeregi opresora”.

Przez wiele lat uciekał w prywatność. Historia uwalniania się z oków strachu jest zarazem historią organizowania się ludzi. Dla młodego Kulerskiego impulsem okazało się powstanie Komitetu Obrony Robotników. Później aktywnie włączył się w działalność „Solidarności”, działał w podziemiu, uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu.

Dopisał ważny rozdział do biografii politycznej rodu Kulerskich. ●

Okruchy historii

Poznańska ściągawka z oporu

W 1956 roku niektórzy Litwini wierzyli,
że Polacy zabili w Poznaniu
tysiąc czerwonoarmistów.

Motyka



W powszechnym przekonaniu komuniści szczerze odgradzili narody ZSRS nie tylko od wpływów „zgnilego zachodu”, ale też od wywrotowców z demoludów. Jednak w rzeczywistości nasi sąsiedzi uważnie, choćby dzięki audycjom Radia Wolna Europa, śledzili sytuację w Polsce. Polaków uważano za niepoprawnych buntowników, dlatego też każdy przejaw oporu żywo komentowano, odbierając go jako sygnał budzący nadzieję na nadejście politycznych zmian w całym bloku.

Na wiadomości z Polski może szczególnie byli wyczuleni Litwini. Po wojnie podjęli oni dramatyczną walkę partyzancką z sowiecką władzą, licząc na wybuch kolejnego światowego konfliktu. Choć zbrojny opór został zdławiony za pomocą brutalnych represji, to nie oznaczało bynajmniej, że pogodzili się z okupacją. Zdawały sobie z tego sprawę sowieckie organy bezpieczeństwa, dlatego śledziły nastroje społeczeństwa litewskiego, wyszukując potencjalnych niebezpieczeństw. W 1956 roku Sowietci zauważyli, że dużym echem odbił się na Litwie czerwcowy bunt robotniczy w Poznaniu.

Poznańscy robotnicy zastrajkowali w proteście przeciwko niesłusznym podatkom. Strajk szybko zamienił się w demonstrację, której uczestnicy rozbili więzienie i opanowali gmach sądu. Gdy władze przeciwko użyły wojska i czołgów, w mieście doszło do walk ulicznych. Bunt został utopiony we krwi – zginęło kilkudziesięciu cywilów, około 250 osób aresztowano i poddano brutalnemu śledztwu.

Wydarzenia w Poznaniu Litwini przyjęli z żywym zacięciem. W doniesieniach KGB na pierwszy plan wybijało, że najczęściej w podsłuchanych rozmowach tłumaczono je zgodnie z oficjalną linią propagandy, jako efekt działania „obcych wywiadów”. Ale nie brakowało także innych opinii. Wiele osób z zadowoleniem konstatowało, że Polacy pokazali w końcu komunistom, gdzie jest „ich miejsce”.

Jedna z Litwinek tłumaczyła wybuch buntu niezgodą na so-

wieckie porządki. Powołując się na audycje radia amerykańskiego, opowiadała przygodnym znajomym: „W Polsce wprowadzono surowe i nie do zniesienia sowieckie prawa, wielu pracowników i robotników wtrącono do więzienia, a materialne ich zabezpieczenie jest bardzo słabe”.

Właśnie z tych powodów, jak przekonywał inny podsłuchany mieszkaniec Litwy, doszło w Poznaniu do „powstania robotników”, które co prawda zostało zdławione przy użyciu dużych sił wojskowych, lecz za cenę ogromnych strat komunistów.

Przekazywane z ust do ust pogłoski mówiły, że oddziały Armii Czerwonej (faktycznie Poznań pacyfikowały siły Wojska Polskiego) straciły w walkach około tysiąca zabitych żołnierzy, gdy straty powstańców miały wynieść raptem 20-30 zabitych. Pozostali uczestnicy buntu jakoby siłą przebili się do Austrii. Kolejna często powtarzana opinia mówiła: „To powstanie stłumiono, ale jeśli wybuchnie kolejne, to wtedy zacznie się wojna”.

Nieco więcej miejsca kłębili plotkom rozpowszechnianym przez bliżej nam nieznanego Arnauszysa Stasisa. Według niego „wśród Litwinów są zdrajcy, którzy pomagają Rosjanom”. Doprowadzili oni do likwidacji zbrojnego ruchu oporu bezlitośnie, wydając jego uczestników w ręce bezpieki.

Stasis z podziwem mówił o Polakach, którzy w Poznaniu „zjednoczyli się przeciwko Rosjanom i nie sprzedali swojej skóry za parę rubli”. Jego zdaniem, gdyby doszło do buntu wśród Litwinów, „to Rosjanie nie zdążyliby założyć butów, a z pomocą przysłizby nam Niemcy i Amerykanie”. Nie był to pogląd odosobniony. Z niepokojem stwierdzano na przykład, że wśród robotników rolnych pracujących w kolchozach z ust do ust przekazywana jest plotka, czy też raczej przestroga: „Do takich wydarzeń może dojść i u nas – w Litewskiej SRS”.

Przeprowadzoną przez KGB analizę można odbierać jako swoisty sondaż opinii publicznej. Wiadac z niego, jak niepokojnie czuli się Sowietci na Litwie, nawet już po zdławieniu zbrojnego podziemia. Znaczna część Litwinów żyła w stanie permanentnego niezadowolania. Niechętnie władzy opinie, wyrażane przez ludzi na co dzień oficjalnie deklarujących poparcie dla idei komunizmu, powinny być przestrogą dla naukowców, by zjawiska przystosowania do systemu nie mylić z jego pełną akceptacją. ●

Prof. Grzegorz
Motyka
– historyk, politolog,
pracownik Instytutu
Studiów Politycznych PAN

REKLAMA

Kraj/34341238

MW / Muzeum Wnętrz
w Otwocku Wielkim



Paderewskiego

NOWA WYSTAWA STAŁA

od 26/04/2024

MW / Muzeum Narodowe
w Warszawie

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

PATRONI MEDIALNI

wyborcza.pl

TVP
KULTURA





KUP TERAZ



Sprawdź na **sklep.polityka.pl**





„Ludzie, zejdźcie z drogi, bo listonosz jedzie Zamknij gaz, to co, że za granicą wujka masz Ludzie, zejdźcie z drogi, bo listonosz jedzie Hamuj, bo rower ten każdy tutaj dobrze zna Dostaniesz od wujka list”.

Tak śpiewali przed laty Skaldowie w swoim przeboju „Medytacje wiejskiego listonosza”. Potem informują nas, że „Ciężka jest od listów torba listonosza dziś” i że „Ludzie listy piszą zwykle polecone”, a nawet czynią to „w małej wiosce”.

Ludzie ślali do siebie listy od niepamiętnych czasów, właściwie od wynalezienia alfabetu słowo pisane krążyło wśród starożytnych Sumerów, Greków czy Rzymian. Pisano do siebie w Indiach i w Chinach informując o istotnych rzeczach, śląc gratulacje i pozdrowienia, wreszcie – a może przede wszystkim – wyznając uczucia.

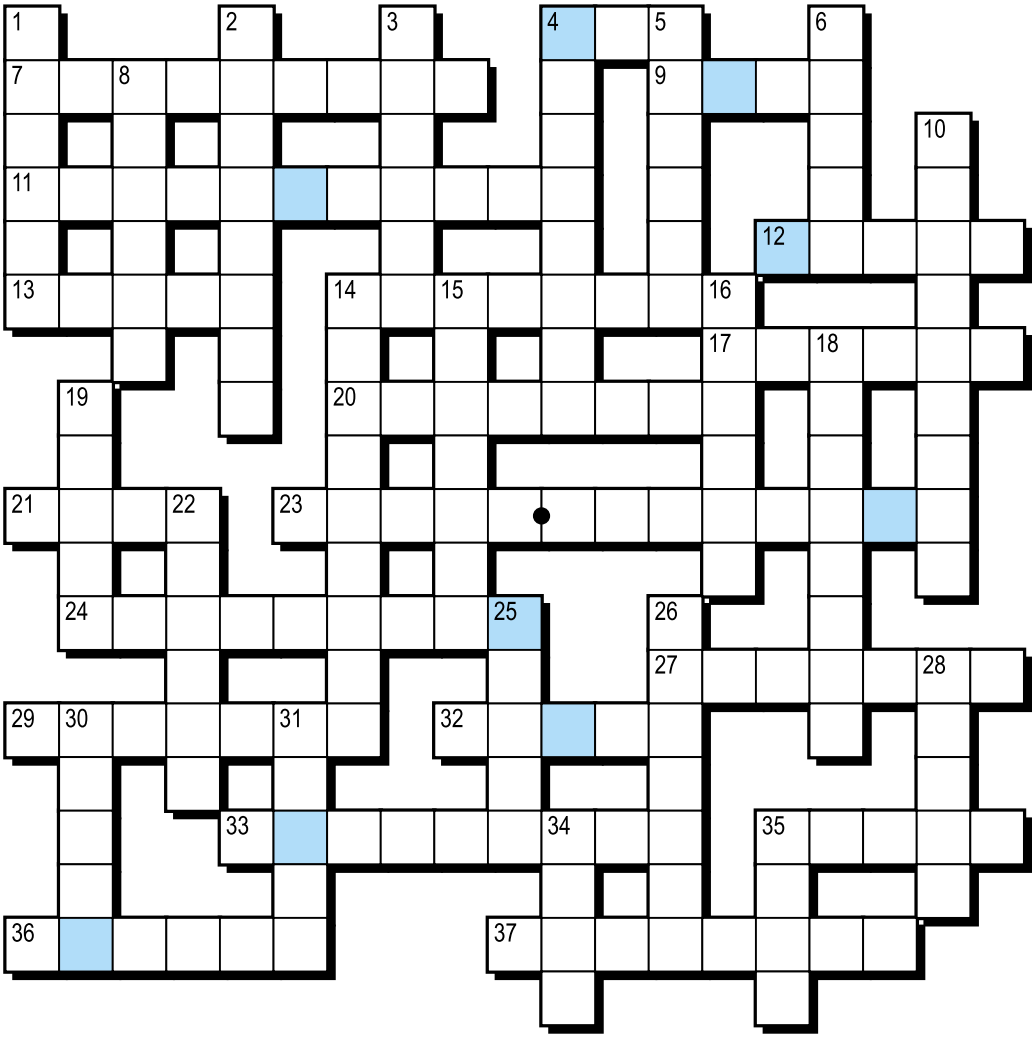
W Polsce już w czasach panowania dynastii piastowskiej – stać miał za pomysłem Bolesław Chrobry - istniała instytucja podwód czy też podwodów, która nakładała obowiązek odnawiania na użytek władcy koni wierzchowych, za pomocą których posłańcy mogli przewozić królewską korespondencję. Lokalni władcy musieli też utrzymywać stajnie, by wspomniane wierzchowce miały schronienie

Pisanie listów było istotne, bo raz, że nie istniało zbyt wiele innych sposobów komunikacji, a dwa – nie istniały media, więc niejednokrotnie list przekazywano sobie z rąk do rąk trochę niczym gazetę.

W tym miejscu „zataczamy koło”, jak zakrzyknął w „Krzyżakach” Wielki Mistrz Ulrich von Jungingen, i wracamy do Skaldów. Bo generalnie ludzie tych listów piszą mniej coraz. Wiadomo, bo są mejle, bo są wszelakie komunikatory, bo generalnie sztuka pisania upada, a ludzie zaczynają bazgrać jak kura pazurem, bo nie ćwiczą ręki do piór i długopisów. Niedługo obowiązkowy punkt wyjazdów wypoczynkowych, czyli kupienie atrakcyjnej (albo „atrakcyjnej”) widokówki i posłaniu pozdrowień z wakacji najbliższemu, dziś niestety wykreślony został z listy „rzeczy do zrobienia” podczas kanikuly.

Tak się jednak składa, że 18 października świętowaliśmy Dzień Poczty Polskiej. W 1557 roku odeszła z tego świata Bona Sforza, wdowa po Zygmuncie Starym, matka jego następcy, Zygmunta II Augusta. Polski władca musiał trzymać rękę na pulsie jeśli chodzi o sprawy spadkowe po matce, która przebywała we Włoszech, a zmarła w Bari. W tym celu ustanowił więc, 18 października 1558 roku stałe połączenie pocztowe między Krakowem a Wenecją przez Wiedeń. To uznawane jest za początek poczty polskiej i tę datę właśnie Poczta Polska wybrała na swoje święto. A my, z tej okazji, zapraszamy do „Weekendówki” pocztowej.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 124
z 12.10:

Poziomo: 7) wyspa, 9) Izabela, 11) Hispaniola, 12) Kargul, 13) anegdota, 14) biel, 16) złoto, 17) karawela, 18) peso, 19) nasiona, 20) Kanada, 21) port, 23) bogactwa, 27) Gerard, 29) Armstrong, 31) więzień, 32) Roman Bratny, 33) Columbia, 34) Cooper.

Pionowo: 1) Palos, 2) Niña, 3) Vangelis, 4) żeglarz, 5) Barcelona, 6) wahadłowiec, 7) wyprawa, 8) Santa, Maria, 10) załoga, statku, 12) Kuba, 15) Genua, 17) konkwista, 19) niob, 22) tkacz, 24) anagram, 25) grób, 26) gniazdo, 28) Diego, 30) Indie.

HASŁO:
WIELKIE ODKRYCIA

POCZTÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) imię listonosza z miejscowości Greendale, bohatera brytyjskiego serialu animowanego
7) ... radiowo-telewizyjny, opłacany w urzędzie pocztowym
9) listonosz polski to ... gołębia
11) miejscowość kojarząca się z serialowym listonoszem Józefem Garlińskim
12) listonosz z serialu o rodzinie Kiepskich (rola Bohdana Smolenia)
13) ... pocztowy, przedsiębiorca pośredniczący w świadczeniu usług w imieniu i na rzecz Poczty Polskiej
14) Zenon z kabaretu Tey, przez pewien czas pracował jako listonosz

- 17) ... kopertowe, planowane w czasie pandemii, ostatecznie nie odbyły się
20) pocztowe – zwykle czerwone
21) np. formularz nadania przesyłki
23) sposób wysyłki, gdy list, paczkę lub przekaz kieruje się na adres danego urzędu pocztowego, gdzie czeka na odbiór
24) nagrali piosenkę „Medytacje wiejskiego listonosza”
27) puste – kojarzą się z Piotrem Szczepanikiem
29) blankiet pocztowy przeznaczony do wypisania zlecenia przesyłki
32) przestarzałe o znaczkach pocztowych
33) Jack ... i Jessica Lange, wystąpili w filmie „Listonosz zawsze dzwoni dwa razy”
35) ...-Zdrój, miasto „występujące” w pocztowej scenie w komedii „Miś”

- 36) pocztowa lub z zeszytu
37) Charles, amerykański poeta i prozaik, autor powieści „Listonosz”
Pionowo:
1) ważona przy nadawaniu
2) w filatelistyce: koperta lub karta pocztowa z nadrukowanym znaczkami
3) kraj, w którym działa Royal Mail
4) list wysyłany za pokwitowaniem
5) instrumenty kojarzące się z Poczta Polska
6) np. listonosz
8) kilka(naście) osób w kolejce do okienka
10) sprawa, że list dostaje przyspieszenia
14) ten z pocztowej paczki
15) ... pocztowe, wynajmowane i opłacane w urzędzie pocztowym
16) można je wystać solenizantce, jubilatowi

- 18) formularz, druczek do wypełnienia
19) zwrotny – umieszczany na kopercie
22) niejednen na półce filatelistki
25) wysłany z małpą
26) szkiełko pocztowe
28) Jerzy, odtwórca roli z określenia 11 poziomo
30) pieniądze, które może przynieść listonosz
31) zostawiane, gdy adresaci niezastani
34) ... pocztowy, dawniej stawiany przy drodze na trasie przejazdu pocztyliona
35) „... był do wujka Leona, a skrzynka była czerwona” (w wierszu o Grzesiu kłamczuchu i jego cioci)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację